



IWONA WALCZAK

# Malinowa Trufla

Muszę jeszcze tylko posklejać  
tę rodzinę, dopiero wtedy  
odkryję siebie na nowo...

  
Replika



# Malinowa Trufła



---

IWONA WALCZAK

---

Malinowa  
Trufla

  
Replika

*Jestem zaledwie małym akapitem w opowieści o byle jakim życiu, właściwie nikiem szczególnym. Ucieczka nie okazała się dla mnie dobrym sposobem na życie. Zrozumiałam, że muszę wyjść poza świat opowiedziany samej sobie, świat pełen iluzji, wypełniony miejscami, gdzie ukrywałam się przed wszystkim, co budziło mój strach. Czeka mnie bitwa o dom i o tożsamość. Straciłam Juliana. W tym cholernym mieście nie został mi już nikt bliski. Są tylko Oni. Tych dwoje...*

*Czy coś osiągnę? Nie wiem. Już się tak bardzo nie boję.*

## *Śliska droga do domu*

Pozornie nic się nie zmieniło w drodze na moje osiedle, poza porą roku – Poznań zasypany był śniegiem. Tramwaj enerdowskiego pochodzenia wypuł mnie przez wąskie drzwi na placu Cyryła Ratajskiego.

– Dalej nie da rady – mruknął motorniczy. – Awaria prądu, przy takiej pogodzie wszystko może się zdarzyć!

Zmierzałam na przystanek autobusowy, energicznie brnęłam przez zaspy świeżego śniegu. Na Fredry spojrzałam na wieżę kościelną – było piętnaście po jedenastej. Późno. Towarzyszyło mi irracjonalne wrażenie, że w tej dzielnicy byłam wczoraj, co było przecież niemożliwe, bo od mojej ucieczki z domu minęło trochę czasu. Kilka miesięcy szczęścia to bardzo dużo, prawda?

Jeszcze parę dni wcześniej wielkim łukiem ominęłabym tę część miasta, to były miejsca święte, bo jeśli odwiedzałam je z Julianem, to musiały być namaszczone. On i ona. Oni. My.

Cudnie to brzmi.

Przyzwyczajalam się do niebytu, powinnam się ułożyć z faktami, wrócić do miejsc, gdzie jadaliśmy lunch, chodziliśmy na spektakle, koncerty. Spacerowaliśmy. Bywaliśmy. Nasza ławka w parku za Centrum Kultury „Zamek” była pusta, zatopiona w śnieżnym puchu, wyglądała, jakby na coś (a może na kogoś?) czekała; wystarczyłoby tylko strzepnąć śnieg, mróz nie byłby ważny.

Kilku przechodniów skracało sobie drogę między drzewami z szadzią na gałęziach, przemierzając aleje skweru. Czuć było pośpiech, nerwowość, żeby zdążyć, zakończyć, wywiązać się, przygotować. A może w petardy się zaopatrzyć i szampana dokupić? Nie miałam tego rodzaju planów, snułam się po zakamarkach zranionej duszy, byłam zrozpaczona, a moje serce wyło z bólu. Tęskniłam. On i ja. Ja i On.

Był ostatni dzień 2009 roku.

Podjechał autobus i nagle strach wrócił. Widmo wrogiego domu, a przede wszystkim obawa przed powrotem *tam*. Po co? Dlaczego? Czy...? Właśnie, „czy” było tu najbardziej wątpliwe. Drzwi zamykają. Się. Jak zawsze, z akcentem na „się”. To usłyszałam najpierw.

W przejściu natknęłam się oczywiście na wózek inwalidzki. Jak zawsze wypchany zniczami, siatkami z jedzeniem i foliowymi torbami, tarasował przejście. Uznałam, że to niedobry znak, skoro nawet w sylwestra, gdy zdecydowałam się wrócić, znowu się na nie natykam. Stara miała załzawione oczy i minę niczym doberman koleżanki, gdy ktoś chciał mu zabrać kość. Młodsza – jak zawsze harda – przypatrywała się ludziom, spojrzenie miała wrogie, świdrujące. Jej poświęcenie było bezdyskusyjne, o ironio! – jakże podobne do mojego. Porządek naszego, wspólnego skądinąd, świata jest taki, że córka pomaga matce, matka jest naburmuszona i z córki zawsze niezadowolona. Właśnie tak, nigdy na odwrót. Ujemne emocje dawało się wyczuć z daleka, powód nie był ważny, dostać się mogło każdemu, za całokształt. Skąd ja to znam?! Przemknęłam obok, kierując się na tył autobusu, tam z ulgą klapnęłam na siedzenie.

Rozglądałam się, szukałam różnic, a może podobieństw do mojego „kiedyś”. Było kilka osób znanych mi z widzenia, na szczęście dla mnie neutralnych. Znajomych „na słówko” nie było, ani tych na „co słyhać”. Z ulgą przyjął fakt, że w autobusie na pewno nie ma Kapelusznika z Dużym Łbem i Wielkim Dupskiem. Uff!

Dojeżdżaliśmy na mój przystanek, mijaliśmy właśnie Osiedle Kopernika. Wszystko zasypał śnieg, trzeba było bardzo uważać na chodnikach i na jezdni. Zdrapywałam szron z okna, gdy nagle... Coś takiego! Przez skrawek szyby dojrzałam Kilkakrotną Wdowę. Wchodziła właśnie do kościoła – w białych kozaczkach za kolana i pod rękę z kandydatem do obdarowania jej kolejnym wdowieństwem. Jak ona to robi? Niestychane! Tym razem poczułam z nią dziwną więź.

Babiszony sposobiły się do wyjścia, młodsza sadowiła starą na wózku, torby z zakupami wieszala na ramieniu i na rączce wózka, rozpychała się. A ja się przyglądałam. Co tam! Mogę patrzeć, jeśli chcę, nikt mi już tego nie zabroni!

– Najlepiej na starych śmieciach swoje giry wachać. Dobrze, że mnie do siebie zabierasz, Marianowa by mnie wykończyła! – zbulgotała stara, ignorując moje spojrzenie.

– No widzi mamusia. Teraz mamusia doceniła! – zachrypiała młodsza. Zsunęła starej czapę z czoła i przywarła do pomarszczonej suchej skóry matki spierzchniętymi ustami. Niezgrabnie to wyglądało, niezwyczajnie. Tak, jakby robiła to pierwszy raz. Odwróciłam się, bo ta czułość otwierała moją ranę. Usłyszałam głośne cmoknięcie. Jakże im pozazdrościłam! I ja chciałabym budować ze swoją matką chociaż taką więź!

Była dwunasta. Zabiły kościelne dzwony, ich melodia brzmiała jak wdowi albo starczy rechot. W ten sposób wracałam do niego, do niej, a nawet do odpadających klepek na posadzce i grzyba w łazience. Nieważna była wystająca, złamana sprężyna w kanapie, wracałam, żeby odzyskać swój dom, żeby od nowa budować swoje życie.

Wracałam, żeby być blisko niej, dużo bliżej niż kiedyś.

*Dopóki sił, będę biegł...*

Szłam powoli, uważałam, by się nie poślizgnąć, w ten sposób opóźniając powrót. W torbie niosłam pudełko z mosiężną kołatką. Cacko udało mi się wylicytować na aukcji internetowej dzień po tym, gdy przyszła ta okrutna wiadomość. To był śliczny, bardzo stary bzdecik. Przymocuję go na drzwiach wejściowych, nie na tych, które są teraz – kupię nowe, bo na tych, obdartych przez psa, żadna kołatka nie będzie dobrze wyglądać.

Tak. Drzwi to pierwsza rzecz, o której powinnam pomyśleć. Na pewno nie będą brązowe ani beżowe. Na pewno! Kolor błękitny byłby intrygujący, mógłby być też turkusowy. Generalnie lubię wszystko, co pastelowe. (Bo teraz najważniejsze jest to, czego ja chcę, a nie, co inni preferują). O, jeszcze liliowy kolor też może być, taki jasny, dlaczego nie? Że co? Że te barwy nie są dobre do wykończenia domu w Wielkopolsce? Niech sobie gadają, a ja będę robić, co uważam za słuszne. (W końcu pokocham ten dom!) Przy wejściu posadzę fioletowego klematisa, żeby wszystko do siebie pasowało. Pnącze na pewno szybko urośnie, odplaci się mięsistymi kwiatami, kolorem obsypie wejście.

Wyobraziłam sobie, że do naszego domu będą pukać goście. Czy kiedy będą kołatać, dźwięk na pewno do mnie dotrze? Jaki będzie? Donośny i dźwięczny, czy delikatny, cichutki? Chcę, żeby był cichy! JA tego chcę. Ale ona na pewno będzie życzyła sobie donośny. Znowu będzie niezadowolona!

Ona, Babcia Krysta *vel* Krysta, moja matka.

Potknęłam się o zaspe, siatka wpadła w śnieg. Dźwigałam w niej wielkiego żółtego melona. Dla siebie. Prezent tak jakby. Od Juliana. Bo to on nauczył mnie delektować się egzotyką, cały świat mi dał na talerzu. Na wskazującym palcu zatknęłam uchwyty kartonika z marcepanami. Niewiele ich było, jeden w kształcie choinki, drugi – czekoladowa imitacja kasztana. I mały słoik dżemu z suszonych fig też wiozłam. Dla Krysty. Lubiała słodczyce. Kupowała sobie półkilogramową czekoladę, którą natychmiast zjadała wielkimi gryzami. Żeby się tylko nie podzielić! Kilka razy ją przyłapałam. Udawała, że siedzi i odpoczywa, a policzki miała wypchane, jak napełnione powietrzem balony. Oczu w ogóle nie było widać. I krzyżeć na mnie wtedy nie mogła, a gdy miała puste usta, to owszem, ciągle się zdarzało. Wchodziłam w tę grę. Że nie zauważyłam, że nie jestem spostrzegawcza! Wychodziłam z pokoju i przez szparę w drzwiach podglądałam, jak balony ruszają się i ruszają, czasem bardzo długo, aż w końcu opadają, gdy już przeżuły czekoladowe mazidło.

W ogóle się z moją rodzinną traumą nie godziłam. To brzemię, którego bardzo chciałam się pozbyć. Ale nie mogłam, a czas biegł, i biegł... I tak sobie żyłabym jakoś...

Jednak stało się inaczej.

Rzut okiem na podły blaszak, a w nim zamknięty sklep spożywczy. To tam poznałam Malutkiego Sklepikarza, tam opowiedział mi swoją historię. Obok, zamiast wypożyczalni filmów z moim ulubionym Znaczą Arcydzieł za kontuarem, zastałam kolejny bar z szybkim żarciem. Zamiast szewca zapraszała pralnia. Ciekawe, jak długo. Na skraju mojej ulicy, za płotem sąsiadów, przywitały mnie dwa psie olbrzymy. Warowały przy siatce jak zwykle, nie było wyjątków – zima czy lato, wiosna czy jesień.

Otworzyły paszcze i zabulgotały. Fúj! Wstrzymując oddech, przemknęłam obok jazgoczących potworów. Byłam niedaleko, już było widać dwa łyse modrzewie i wielkie sosny, całe w śniegu.

Za naszym płotem senior Kędziora odgarniał śnieg ze ścieżki prowadzącej do ich ogrodu. On kochał pracę, bawił się obowiązkami. Niedobrze, gdy w pobliżu mieszka taki „społeczny przykład”. Kończył nucić swoją (i moją też) ulubioną balladę indiańską – „*to nic... to nic... to nic... dopóki sił... jednak iść... przecież iść... będę iść... to nic... to nic... to nic... dopóki sił... będę szedł... będę biegł...*”<sup>1</sup>. Bezwiednie zaczęłam powtarzać za Kędziorą: „dopóki sił, to nic, to nic, to nic”.

Otworzyłam furtkę, nie była zamknięta na klucz. Ciemnozielona farba odłaziła z niej płatami, podobnie było na płocie. Bałam się wejść w tę już obcą dla mnie otchłań, w zimne mury z odpadającym tynkiem, bez oznak życia. Kroczyłam chodnikiem przed domem, a raczej dróżką z wybojami, w której od dawna brakowało kilkunastu kostek betonowych, przez co było jeszcze bardziej nierówno. Poślizgnęłam się. Wreszcie dotarłam do obgryzionych drzwi wejściowych; rudą bejcę wymył śnieg. Zamek był ten sam, wsadziłam klucz, przekręciłam.

– Dobrze, że pani wreszcie wróciła. Co tu się działo?! – Senior Kędziora jednak mnie dostrzegł.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się blado.

– Mówiła mi żona, że widziała, jak do pana Bogusia prawie codziennie zaglądała Kilkakrotna Wdowa. I taką niziutką waszą wspólną znajomą też ponoć ktoś przywoził. Potem pan Boguś ją odwoził do domu. I jeszcze kilka pań całkowicie nam nieznanymi, ja sam też widziałem... Nic dziwnego, że pani matka się rozchorowała, ale ona już wcześniej musiała się źle czuć. Kiedyś zasłabła w kościele, a raz żona widziała ją siedzącą na przystanku autobusowym. Była taka bladziénka, nikogo nie poznawała...

– Tak...? – udałam zdziwioną, po czym prędko weszłam do domu.

Za drzwiami wdepnęłam w psie posłanie. Apatyczny Szaki łypnął na mnie i nawet nie wstał z wyliniałej skóry. Lekko zawarczał. Śmierdziało. Poza tym straszył wielki wór z pampersami XXL i zimowe buty Bogdana z poprzedniego sezonu, z Tesco, za dwadzieścia złotych – ohyda. W lustrze na korytarzu szukałam swojego odbicia, a tam, wymizerowana, elegancka kobieta o niepewnym spojrzeniu rozpaczliwie szukała tego samego u mnie.

Tak. Boguś... Przecież to jest nadal mój mąż, z którym spędziłam wiele wieczorów, większość w milczeniu. Jednak mimo wszystko mąż, w zasadzie nieważne jaki. Nie mnie oceniać. Jeśli na takiego tylko było mnie stać, to i ta ocena mogłaby być nic niewarta.

Zatrzasnęłam drzwi wejściowe. Na schodach prowadzących na półpiętro panował zaduch. „Świeże powietrze zabija. Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, ale od mrozu wielu”. Krysta często powtarzała tę herezję. A poprzedniej zimy doszła nowa opowiadka o tym, jak nasz dalszy sąsiad (moczymorda, że hej) zeszywniał na amen na działkach, w mroźną noc. Wóda go nie rozgrzała, a od mrozu i świeżego powietrza zdechł! Takie wywody w naszym domu były na porządku dziennym. Buntowałam się, bo to nie ja, naprawdę, to ona miała pogardliwy ogląd rzeczywistości. Ech, szkoda dalej wymieniać.



Z Julianem było inaczej... Wszystko z nim było inne. On był inny, ja przy nim byłam lepsza, kobieca, zmysłowa, dużo bardziej wartościowa, więc i szlachetności nabyłam.

Rozglądałam się. No tak. To się porządzili! Na regale w przedpokoju nie było w ogóle moich rzeczy! Książek, słoni na szczęście, drewnianych ptaszków zbieranych od dzieciństwa, Baby-Jagi, portretu Żyda, pamiątek. Dostałam kiedyś w prezencie od ulubionej cioci śliczny stary serwis kawowy, istne чудо. Miniaturowe filiżanki miały złoty rancik i maleńkie uszka. Lubiłam je polerować, choć wcale tego nie wymagały, zawsze były lśniące i czyste. Na krzepiące, mocne espresso nadawały się idealnie. (Uwielbiam się wzmocnić taką aromatyczną, małą kawką). Nie używałam ich, oszczędzałam na specjalne okazje. W zasadzie bałam się, że potłukę, że zniszczę, dlatego gościom zaparzałam kawę w porcelitowych kubkach kupionych na wagę. Zresztą któż do nas przychodził? Nikt ważny! Teraz o porcelanowych cudeńkach muszę mówić w czasie przeszłym... Do siostry pewnie pojechały.

– Widzisz, co zrobiłaś z moją mamusią?! – krzyczała przedwczoraj do słuchawki Aga. Śliczne imię dali mojej siostrze. Agnieszka dzień wcześniej wyrzuciła mnie ze znajomych na Naszej Klasie i na Facebooku. Jej dzieci też to zrobiły. Szwagier na razie nie. Ona lubiła mnie ranić, obwiniać, choć prawie nigdy nie miała racji. A może miała? Sama nie wiem. Tym razem nie powinnam się sprzeczać, mój cel był dużo poważniejszy, był misją. Wróciłam, żeby Matkę wyciągnąć z paraliżu. Żeby jeszcze sobie pożyła. Po policzku zaczęły mi płynąć łzy.

To nie tak ma być, że będę miękka, to nie tak. Weszłam do łazienki, w dłonie nabrałam zimnej wody, spryskałam oczy, wytarłam nos. Wstydziałam się łez, nie jest rozsądnie pokazywać światu słabość, to już wiedziałam. Puściłam mocniej strumień, ochlapałam twarz, a nawet włosy. Osuszyłam się zielonym ręcznikiem z azteckim wzorem (lubię zielony kolor, optymistyczny jest, wprawia mnie w lepszy nastrój). Jeszcze raz przyłożyłam ręcznik do oczu. Było dużo lepiej, mogłam się rozejrzeć.

Wówczas doznałam szoku. Ściany w łazience zostały wyrównane i pomalowane brzoskwińową farbą! Były idealnie równe! Nie czułam zapachu wrogości, którą latami chłonęły. Nie zauważyłam też absolutnie żadnego pajaka czy śladów pajęczej nici. Muszla klozetowa nowa. Czysta. I umywalka też. W wannie ktoś zamontował nowy syfon i bielusińkie sitko. Wypucowana terakota odzyskała miodowy kolor. Odetchnęłam; pachniało jabłkiem, piękna woń. Stałam jak posąg, albo nie: jak klinkierowy filar, to brzmi lepiej, bo generalnie lubię klinkier. Zmiana była tak nieprawdopodobna, że musiała być prawdziwa. Poszłam do kuchni. Rękoma oparłam się o stół.

Czekałam na karetkę. Lekarz zatroszczył się o wszystko, miał nie ujawniać mojego udziału. Czas płynął. Tik-tak, tik-tak. Nasłuchiwałam, opierając się o stół, aż zdrętwiały mi nadgarstki. Na stole ktoś postawił papierową torbę. Zajrzałam. To gryka z mojego tobołka pod głowę. Miała podobno powstrzymywać zwyrodnienia kręgow szyjnych. Tak pisali. Bujda! Obok torby leżała wyprasowana żółta powłoczka, a przy niej kartka.

„Nie wsypuj, Elżuniu, gdy wrócę, to Ci pomogę. Wszystkie bibeloty umyłem, nie martw się, nie zginęły, są w piwnicy. Wieczorem możemy je razem poustawiać w kredensie. Rozpoczniemy nowy rozdział. Bogdan”.

1 Fragment tekstu Edwarda Stachury *Wędrowką życie jest człowieka.*

## *Pandemonium*

Było pół godziny później. Sanitariusze wepchnęli wózek do domu. Mieli wprawę, ale zasapali się straszliwie, bo prowizoryczne wejście utrudniało jakikolwiek manewr. Bogdan wskazywał drogę, otwierał drzwi. Pies plątał się pod nogami, piszczał i wskakiwał na wózek. Lizał jej pomarszczone ręce.

Głowę miała opuszczoną, popielaty beret zsunięty na oczy. Sam się zsunął, czy ona to zrobiła, żeby mnie nie widzieć? Poprawiłam go delikatnie. Łza powoli spływała po jej policzku. Musnęłam jej pomarszczoną rękę, była chłodna i obojętna. Nie czułam bliskości, tylko ziąb. Westchnęła. Ja też, głośniej. O losie mój przewrotny! Losie niesprawiedliwy... Ech! Potem, przy pomocy sanitariuszy, położyliśmy ją na łóżku. Beżowy sweter pozwijał się pod jej plecami. Nic to, potem poprawię – pomyślałam, szukając koszuli nocnej w szafie.

– Musi czuć potrzebę współdziałania, wtedy szybciej wyjdzie z paraliżu. Udar nie uszkodził mowy, jednak ruchowo nie jest najlepiej – rzucili na odchodnym sanitariusze. Podziękowałam. Wcisnęłam im w dłonie po dwadzieścia złotych. Strach przed spotkaniem z matką gdzieś zniknął, a i niepewność co do wzajemnych relacji odpłynęła w dal. Wpadłam w rytm prozaicznych czynności, nic nie czułam, tylko zmęczenie, ciężar, obowiązek. To mnie zaskoczyło, przyniosło ulgę.

Pandemonium wybuchło chwilę później.

Karetką odjechała, a ja usiłowałam zmienić matce pieluchę i założyć nową nocną koszulę. Było to bardzo trudne, z wysiłku i pośpiechu spuchła mi szczęka. Rzuciłam zmoczonego pampersa na podłogę, obmyłam matkę, potem Boguś zapiął nowego. Szaki obwąchiwał wszystko: nas, ją, łóżko. Biegał podniecony i odurzony nową, trudną do zniesienia wonią. Kręcił się wokół własnego ogona, jakby zwariował albo dostał coś w łeb. Są jednak takie widoki, których nawet pies nie powinien oglądać.

Przykryłam ją kołdrą. Uczesalam rzadkie, pogniecione włosy, spojrzałam w zrezygnowane oczy. Nie grała! Czułam, że jest dużo słabsza, bardziej nieporadna, że może da sobie wreszcie pomóc. Jak to „da sobie pomóc”?! To JA sprawię, że przyjmie tę opiekę! JA! Przypatrywałam się zmęczonej twarzy starej kobiety. Westchnęła, zamrugwała, podniosła powieki, ale potem rzuciła mi znajome spojrzenie, od którego każde mleko musiałoby skisnąć. A ja? Byłam już kimś innym. Ta „nowa ja” była opanowana, obojętna i pragmatyczna. Uśmiechnęłam się do siebie, bo przecież wróciłam, żeby ją ratować. Siebie zresztą też.

Szaki kręcił się po pokoju.

– Idź stąd! Sio! – zasyczałam. Zrazu nie zareagował, spojrzał na mnie beczelnie, przystanął koło oparcia kanapy i znowu łypnął na mnie. Potem na matkę. I znowu na mnie. Jeszcze raz na nią. Pokręcił się wokół własnego ogona, po czym przystanął obok nogi bordowej kanapy, popatrzył na mnie. A potem podniósł nogę i siknął! Siknął na mebel! Uczucie tonięcia w rodzinnym bagnie powróciło z podwójną mocą, ale w inny sposób, dużo bardziej motywujący do działania. Nareszcie!

– Idź stąd, natychmiast! – krzyknęłam do psiny. Łypnął na mnie okiem i warknął.

Na mnie warczeć?!

– Marsz mi stąd! – powtórzyłam. Pies wycofywał się z pokoju.

– Przez ciebie miałam udar. Po co wróciłaś? Domu i tak ci nie przepiszę. Agusia w nim zamieszka, przyjedzie do mnie, bo mnie kocha. – Znad łóżka dobiegł mnie zachrypnięty głos matki. A potem szloch.

– Przestań już, to do niczego nie prowadzi!

– I nie rządz psem. Szaki jest mój. – Jej głos nabrał zimnej, starczej tonacji.

Tupnęłam nogą. Nie! Tym razem nie ustąpię.

– Mamo, dziesięć lat straciłyśmy na walkę. Na obwinianie się. Całą dekadę. Czy ty to rozumiesz? Ten dom jest tak samo mój jak i twój, i żaden pies nie będzie już sikał w nim na kanapy.

## *Że jesteśmy*

Tak. Tutaj już na pewno nie będzie nieświeżo, bo to jest mój dom – myślałam godzinę później. Dodam mu duszy, wybuduję kominek tak wielki, że zmieści się w nim metrowe polano. W mroźny dzień usiądę przed nim i usłyszę trzask palącego się drewna. Może być nawet sosnowe, chociaż nie doradzają, ale pachnie pięknie. Wokół kominka, na podłodze, poukładałam baranie skóry z długim włosiem. Białe albo prawie białe. Jaśmin w donicach posadzę. Julian lubił ciepło i rośliny. Tak, bardzo lubił.

W głowie roilo mi się wiele pomysłów.

Boguś wyszedł z łazienki. Nie patrzyłam na niego, omijałam wzrokiem, odkąd wróciłam. Stanął za mną, poczułam jego ręce obejmujące mnie w pasie i oddech na swojej szyi. Objął mnie mocniej, przyciągnął do siebie, moje ciało odebrało jego tęsknotę i radość, ale nie odwzajemniałam tych uczuć. Z trudem powstrzymywałam szloch, pełen dziecięcej rozpacz.

– Ślicznie pachniesz i pięknie wyglądasz! Wróciłaś do swoich ciemnych włosów. Schudłaś... Wyglądasz ładniej niż Wolszczak. Taką cię pokochałem... Już mi stoi! Dotknij.

Tak?! Najpierw mi spieprzyli kilkadziesiąt lat życia, a teraz? Co teraz niby ma być? Rodzina? Miłość? Bzykanie?

– Usmażyłem dla ciebie zraz zawijany i melona kupiłem. – Mówiąc to, całował mnie w kark.

Moje życie zataczało właśnie wielkie koło. Czy było warto? Na pewno tak, pokochałam przecież, uwierzyłam w siebie. Doświadczyłam innego świata.

Westchnęłam ciężko. Wyrwałam się z uścisku i wyszłam.

Wieczorem siadłam w zagraconej stróżówce po Marcinie, włączyłam muzykę i wyjrzałam przez okno. U sąsiadów na dachu utworzyła się wielka zaspą. Na ogromnej choince przed ich domem paliły się kolorowe światełka. Kilka złotych łańcuchów przywołało wspomnienie mego macierzyństwa, tych wspaniałych, mlecznych dni, kiedy miałam się na kim oprzeć, mogłam się kimś nacieszyć. Krzysiek i Marcin byli tacy spontaniczni! Oni dali mi dom, poczucie, że gdzieś jest moje miejsce. Teraz im się odwdzięczę, stworzę prawdziwy zajazd rodzinny, żeby przyjeżdżali, żeby nigdy nie zbaczali z drogi. I niechby wreszcie przestali się wstydzić!

Na czubku naszej choinki przed domem jarzyły się zielone kule, niżej żółte, mniejsze światełka, a jeszcze niżej niebieskie sople. Na samym dole wielkie czerwone bombki. Bogdan stanął na wysokości zadania. Jednak mógł!

Nadal z nieba spadały wielkie płaty śniegu, przykrywając parapet z rozbiórkowej cegły klinkierowej, tworzyły coraz grubszą warstwę. Boguś w kufajce po moim ojcu odgarniał śnieg, fioletowa szufla śmigła szybko. (Dobrze, że ją kupiłam, stara zardzewiała i źle by o nas świadczyła). Sypał chodnik piaskiem, musiało być bezpiecznie – obok naszego płotu wiodła droga do kościoła i sklepów. Szaki wariował, szczyrzył kły, warczał to na szuflę, to na Bogdana, unosił fafle, na wszystko się denerwował. W końcu zrezygnował i zaczął bawić się śnieżnymi płatkami. Wyciągał język, żeby je złapać,



skakał, merdał ogonem. Wszystko, co za oknem, było niezwykle i malownicze, jak z amerykańskiego obrazka albo jak z mojego dzieciństwa u dziadków.

W telewizji zapowiadali dalsze śnieżycy, ostrzegali, że w górach zejść lawiny, a ślizgawica będzie właściwie wszędzie, że zawieje mocno... Tak mówili. A ja byłam w swoim domu, daleko od pogodowej zawieruchy, samotna, smutna, ale bezpieczna.

Matka spała, porcję lekarstw przyjęła bez zgryźliwego komentarza. Zgasiałam światło, wcale nie pytałam, czy mogę. Zawsze oszczędzała prąd, lubiła żyć w mroku. Tak przynajmniej mówiła.

Pies skrobał w drzwi, ale nie tak brutalnie, jak mogłoby na to wskazywać jego wcześniejsze zachowanie. Gdy go wpuściłam, zaczął biegać po korytarzu i otrząsać się ze śniegu. Z podłogi odpadło kilka kolejnych klepek.

– Tu, leżeć! – Moje komendy były oschłe. W bezkoliczniku. Prawdziwa tresura taka właśnie powinna być. Za dużo słów ogłupia psa. Może się uda... Przywołany do porządku (a może wyczuł powagę mojego dialogu wewnętrznego?), położył się karnie przy drzwiach wejściowych. Czyżby rozumiał, że moje życie to jedna wielka kupa popiołu? Że mam już tego dość? Los Szakiego został przesądzony – weterynarz, potem psi fryzjer, a dopiero na końcu koszyk z nowym pościeleniem. I nowa miska.

Rozsiadłam się w fotelu, do komputera włożyłam płytę z ariami Walewskiej. Zamknęłam oczy. Zrosłam się z muzyką, dzięki niej oddalając się od galimatiasu, w jakim dawno temu ugrzęzłam.

Nie słyszałam, że wrócił. Poczułam jego zmarznięte ręce na swojej twarzy. Skostniałą dłonią próbował zmasać mi łzy. Niechętnie otworzyłam oczy. Stał przede mną nieporadnie, jak małe, oczekujące klapsa dziecko. Był kimś innym. Wychudł, wyciszył się; bardzo krótko obcięte ciemne włosy ujawniły, jak ładny ma kształt głowy. Włożył mój ulubiony granatowy sweter z szetlandzkiej wełny i wąskie džinsy. Patrzyłam na niego jak na przedmiot przywieziony z renowacji. Postawił na stole talerz z kawałkami melona.

– Dziękuję, kochana... – powiedział cicho.

– Za co? – Wzruszyłam ramionami.

– Że jest sylwester... że jesteśmy... że śpiewa Walewska...

Siedziałam nieruchomo z niewypowiedzianymi słowami na końcu języka, potem powoli opuściłam głowę. Nic jeszcze nie wiedziałam. Zastanawiałam się, czy ze swoim dotychczasowym życiem właśnie się żegnam, czy może dopiero na nie godzę.

Muszę tę historię koniecznie opowiedzieć, ale nie wiem, od czego zacząć... Może od środka? Tak chyba będzie najlepiej.

## *Zostaw mi jakieś pieniądze*

Było to jakieś dziesięć miesięcy temu.

Pobudka! Rankiem, jak co dzień, obwieściła to moja czerwona komórka. Od kilku dni na równe nogi stawiało mnie szczekanie psów. Przedtem zmieniłam na syrenę okrętową, ale okazała się nie do wytrzymania, zmieniłam więc dzwonek w trosce o swój system nerwowy. Ku radości mojego Bogusia także, bo nieszczęśnik miał syndrom zbyt gwałtownego wychodzenia ze snu. Budził się bardzo nerwowo, tak nerwowo, że pewnie wiele razy chciało mu się zakląć! Ale nie mógł, choć był stuprocentowym cholerykiem, wiem to.

Jak zwykle najpierw wypuściłam psa do ogrodu, potem wpadłam do łazienki. Śpieszyłam się, bo za chwilę zapewne wstanie Marcin, zacznie się ruch. I nerwy. Z torebki leżącej w przedpokoju odezwał się budzik drugiego telefonu. Trzeba go wyłączyć, bo za chwilę wstaną wszyscy i każdy będzie chciał wyegzekwować swoje prawo do zajęcia jedynej w domu łazienki! Takie momenty wytrącały mnie na długo z równowagi, a tamtego dnia miałam moc spraw do wykonania i załatwienia.

Madonna, polska Madonna.

Na szczęście w domu nadal panowała cisza. Uff, udało się! Mogłam spędzić w łazience tyle czasu, ile potrzebowałam. Potem biegiem na autobus. Ale zaraz – przypomniałam sobie. – Przed wyjściem trzeba przecież zawołać Marcina, żeby wstawał. Znowu zaśpi, nie zdąży na wykład. W końcu wyrzucą go z uczelni, nie będzie mógł znaleźć pracy, zabiorą go do wojska, a tam będzie fala. Zgnoją jego psyche... Gdy stamtąd wróci, będzie – jak tych dwoje – siedział na moim garnuszku, a do tego jeszcze pewnie ćpał i pił... Jakież to byłoby straszne! Tego rodzaju scenariusze często powstawały w mojej głowie. Bałam się...

Marcin to młodszy syn, nie był jeszcze samodzielny. Mieszkał z nami. Wypadał ze swojego pokoju z potarganymi jasnymi włosami, bez góry od pidżamy, a w tym domu taki ziąb! Na pewno się przeziębi! Gdy chciałam go czymś nakryć albo pogłaskać, otrząsał się. Nie znosił bliskości, a ja jej tak bardzo potrzebowałam. Do łazienki wpadał wściekły, nie wolno było wtedy wejść mu w drogę. Gdy gulgotał, płucząc gardło, Szaki sterczał pod drzwiami i nasłuchiwał. A gdy długo nie wychodził, pies drapał w drzwi i szczekał. W naszym domu wszystkie drzwi były obzarte i porysowane pazurami. Ten zwierzak musiał mieć ADHD! A ja? Zatykałam uszy i zamykałam oczy. Rano każdy hałas odczuwałam ze zdwojoną siłą. Kiedyś z tego rozdrażnienia krzyknęłam na psa, przyznając, brzydko. Krysta wypadła wówczas ze swojego pokoju i wstawiła się, oczywiście nie za mną.

– Żeby tak nawet nad psem się znęcać! Jak można? Straż miejską zawołam! Wstyd. A niechby cię użarł. Za cyce! Chodź, piesku, chodź. Tylko ty w tym domu jesteś moim przyjacielem.

Tak, zdarzało mi się denerwować na psinę, to prawda, bo dlaczego szczekał z byle powodu i na cały głos? No, niech mi ktoś to wytłumaczy!

– Zostaw mi jakieś pieniądze! – Wzdrygnęłam się na dźwięk głosu dobiegającego

z pokoju. Z pokoju? Ni to salon, ni to gabinet, ni sypialnia. Garderoba też nie do końca. Właściwie wszystko po trochu. Czyli pomieszczenie, w którym ludzie z nizin społecznych spędzają całe życie.

Boguś obudził się już dawno i od razu zinwentaryzował stół. Nic na nim nie leżało, bo skąd? W portfelu miałam tylko na bułkę i sok. No, może jeszcze na gazetę, bo miał wyjść dodatek „Praca”.

– Na co znowu? – Zatrzymałam się w drzwiach. Pozostała mi tylko jedna minuta w zapasie. Nie powinnam się zatrzymywać, autobus pewnie odjedzie z przystanku beze mnie, będę musiała szukać innego połączenia, spóźnię się, a wcześniej rano miałam zaksięgować kilkadziesiąt dokumentów. Ktoś je wyciągnął z kieszeni i rzucił na moje biurko.

– Jak to, na co?! Nawet papierosów nie mam! Poza tym nie udawaj, że nie pamiętasz! Znowu chcesz mi dokopać, tak?! Dzisiaj wychodzi miesięcznik „Partycja” i ma być artykuł o pisaniu wirusów.

Boguś usiadł na kanapie. Szlafmyca obsunęła mu się z głowy. Czarne kłaki miał przylizane jak po deszczu albo jakby krowa całą noc lizała mu łeb wielkim, mokrym jęzorem. Zawsze lubiłam jego kręcone włosy, lubiłam je nawijać na palec albo burzyć. Były miękkie jak jedwab. Opowiadałam znajomym, że wyszłam za mąż za Jimmy’ego Hendricksa.

– Ty akurat musisz wiedzieć, jak tworzyć wirusy! Zabawne! Naucz się najpierw je usuwać!

O rany! Czy potrzebna mi ta dyskusja? Czy takie ptapy w ogóle coś wnoszą? Byłam zdenerwowana, bo wybił mnie z rytmu poranka. Niestety, on znakomicie wiedział, kiedy podjąć temat, miał mnóstwo czasu, by obmyślić strategię. Wyczekiwał na odpowiedni moment, bo wiedział, że nie znoszę się denerwować. O tak. To on ciągnął za sznurki, sterował mną jak drewnianym pajacykiem! Klik, klik. I jeszcze raz. Klik, klik! Nieco mocniej. Znałam te mechanizmy znakomicie, ale moje życie w tamtym czasie można było określić jednym słowem

ZANIECHANIE.

– No, daj te parę groszy! – Było coś tak żebraczego w jego tonie, że... No właśnie, co mądrego można było na to odpowiedzieć? Z portfela wyciągnęłam ostatnie dziesięć złotych.

– Następnym razem już tak nie będzie. Nie tak miało być. Umawialiśmy się – powiedziałam bardzo niepewnym głosem. Nie dałabym wiary, że usłyszałam to z własnych ust. A jednak! Prędko wybiegłam z domu.

## *Osobista wartość dodana*

Znakomicie wiedziałam, że w dalszej części tamtego dnia Boguś, jak zwykle zresztą, snuje się po salonach niczym swąd spalonej kaszy. Ów zapach psiego żarcia niestety w naszym domu dominował. Wstawanie nie przychodziło Bogusiowi łatwo, o nie. Nie miał dokąd się śpieszyć, od kilku lat był na moim utrzymaniu. I tak gnił sobie i gnił. I tył sobie, i tył. To przy mnie zrobiło się z niego wielkie bydlę. Sto dwanaście kilo wagi i sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, tyle już miał dużo wcześniej. Jego to bynajmniej nie martwiło. Owo miłe przysporzenie spłynęło na niego jako osobista wartość dodana, że się tak wyrażę, używając ekonomicznego terminu.

– Nie ma w kraju pracy dla humanistów – twierdził niezmiennie. Sam w to uwierzył i swojego życia nie próbował zmienić. Starzał się. I staczał. Czekał na państwową daninę dla zaawansowanych wiekiem, przy czym czekać przyjdzie mu jeszcze ze dwadzieścia lat! O rany! Bo to przecież nie była jego wina! O co chodzi wszystkim dookoła? Nie ich sprawa! Dlaczego sugerowali, że powinien intensywniej szukać, zmienić zawód, uczyć się lub nawet wyjechać za pracą do innego kraju? Na obczyznę?! On jest patriotą! W tym kraju się urodził i tutaj powinien godnie żyć – to była, tak w skrócie, odpowiedź Bogdana na zarzut czynienia fanaberii i tworzenia problemów przy poszukiwaniu pracy.

Ja też mu sugerowałam, że jednak coś powinien zrobić ze swoim życiem. Nawet bardzo często to się zdarzało, ale co z tego? Małżeństwo zobowiązuje i w biedzie trzeba sobie pomagać. Na tym polegać ma wyższość tej instytucji nad luźnymi związkami. Boguś wtłoczył mi ten pogląd do głowy i pilnował, żeby tam tkwił. Miał czas. A ja, zniechęcona, szybko zaprzestałam wygłaszania podobnych kazań. Bo może rzeczywiście byłam wszystkiemu winna? Pcham się, za przeproszeniem, ze wszystkim do przodu, spieszę się, nie czekam na niego. Na nikogo zresztą nie czekam. Mogłabym przecież przystanąć, wyczuć człowieka, zrozumieć, może by mnie w końcu dogonił.

– Kobieta powinna iść pół kroku za chłopem. Ty ze swoim podłym charakterem nigdy porządnego męża nie znajdziesz – tymi słowami pouczała mnie Babcia Krysta, czyli matka. Rodzinne guru. Zawsze miała głos decydujący, donośny, nawet wtedy, gdy byłam dzieckiem. Krysta to, Krysta tamto, słyszałam w dzieciństwie. Tak ją nazywały ciotki i dziadkowie. Ja zaś w myślach dodawałam: Krysta od Antychrysta, Krysta od Antychrysta, i śmiałam się wniebogłosy. Niektórzy myśleli nawet, że zwariowałam.

Bogdan twierdził, że to moja wina, iż znalazł się w takim położeniu, bo stawiam na swoim. Na przykład, kilka lat temu, po śmierci ojca, kiedy zdarzyła się ta historia z nagłą przewodzką do rodzinnego domu. No, bo jak to? Czy miałam prawo bez uzgodnienia spakować siebie, Krzyśka i Marcina, zlikwidować dom i wyprowadzić się do owdowiałej matki, Bogdana nawet nie informując?! Po co to było? Mogliśmy nadal mieszkać sami, nie byłoby tych awantur, tego poniżenia. Zawsze mi to powtarzał!

A ja? Nieporadna była, siedziałaby przy kaloryferze po ciemku, nic do nikogo nie mówiąc. Krzywdę sobie robiła, tak nie można, ocknąć się trzeba! Życie biegnie, wiele może się jeszcze zmienić na lepsze, trzeba tylko uwierzyć. Była bardzo samotna.

Wiedziałam, że czeka, aż przyjadę. W oczach matki widziałam zapowiedź miękkiego dotyku, ciepłych matczynych rąk, czego zawsze dla siebie szukałam.

Moja siostra Aga mieszkała w Londynie, miała znakomitą pracę, nie mogła... „To ty powinnaś – powiedziała. – Jesteś starsza. Co ty zarabiasz w tym Koninie, no sama powiedz, głodowe pieniądze, na pewno w Poznaniu znajdziesz lepiej płatną pracę”. Nie zapytała mnie, czy mogę. Przyjechałam, bo mam dobre serce. Bo chciałam zasłużyć na jej uczucie, oj, jak bardzo tego chciałam! Mogłabym zrobić wszystko, żeby tak się stało. Żeby wspólnie wygrzewać się w ciepłe miłości, czuć zapach rodzinnego szczęścia.

Wówczas z takiego obrotu sprawy cieszyli się wszyscy. Aga, Krysta, ja... Nawet Marcin. No, może tylko Boguś niespecjalnie był szczęśliwy. I Krzysiek, który skorzystał z sytuacji i się... ożenił.

– Dam wam dwa pokoje – obiecywała matka na powitanie. – Sama się do jednego przeniosę. Obiady będę dla was gotować, zakupy robić, tylko mi pieniądze zostawisz. Wszystkim się zajmę.

Tak było na początku. Bogdan przeprowadził się po czterech miesiącach, niestety już po to, żeby mnie przed Krystą ratować.



## *Geniusz przeksięgowañ*

Kiedy zamieszkałam w domu rodzinnym, rozpoczęłam pracę w małej, bardzo zwyczajnej firmie. Mieteks się nazywała. Schowana za cyframi, rubrykami, memoriałami i stornami czułam się bezpiecznie. Nikt nie potrafił tak doskonale czyścić kont. Nikt. Wielu młodych absolwentów ekonomii przychodziło do mnie po poradę. A ja... cóż, przy tych mało spektakularnych czynnościach mogłam się zająć własnymi myślami. Robiłam zapisy w księdze, tworzyłam storna, a jednocześnie zastanawiałam się, co przygotować na jutrzejszy obiad. Kompensowałam rozrachunki, a w głowie tworzyłam listę zakupów do zrobienia w osiedlowym sklepiku.

Każdy ma błahe, błakające się po mózgu myśli, ale żeby błędne zapisy mi się zdarzały... Nie. Absolutnie. Wszystko się zgadzało, co do grosika. Firma naprawdę miała ze mnie pożytek, a szczególnie zadowolony był Mieczysław Jęchorek, mój naczelny pryncypał.

– Pani Beciu, będziemy musieli jutro przekazać wniosek z załącznikami do towarzystwa leasingowego. Mówiłem, że mamy wreszcie zgodę na leasing? – zakomunikował mi rano, od razu po tym, gdy wpałam spóźniona do firmy.

Jęchorek, jeśli mówił, że ma zgodę, to oznaczało, że tę zgodę ma dopiero mieć. Ale nie okazywałam po sobie, że wątpię, nigdy. On zaś był pewien, że wystarczy tylko poruszyć myszką, żeby z drukarki wyszły gotowe, nawet oprowione wnioski leasingowe, kredytowe, o cesję, gwarancję i tym podobne. Inna sprawa, że ćwiczony aktualnie leasing zwrotny był formą w miarę szybkiego pozyskania pieniędzy potrzebnych na działalność bieżącą, ale i na zapchanie dziur, opłatę ZUS-ów, podatków, mediów, telefonów. I oczywiście wynagrodzeń.

Wiedziałam, co znaczy uważnie wydawać pieniądze, przy oszczędnym gospodarowaniu i spłacie kredytu zdołałam odkładać tysiąc złotych miesięcznie z przeznaczeniem na bieżące remonty i modernizację. Miałam jednak chwile słabości. Człowiek podlega przecież różnym pokusom: a to ładną bluzkę widziałam na wystawie, innym razem buty albo bieliznę. Marzyłam o markowych kosmetykach. Lubię rzeczy markowe... Nawet bardzo. Ale nic z tego. Byłam uzależniona od ciucholandów, dzięki temu czasem mogłam sobie pozwolić na szaleństwo, zwłaszcza gdy trafiałam na tak wyjątkową okazję jak jedwabna apaszka z Kopenhagi za dwa złote albo angielski, wełniany sweterek ze ślicznym wzorem za osiem (to nic, że zmechacony, w domu miałam urządzenie do golenia dzianin). Czasem trafiały się różne bibeloty, stareńkie drobiazgi, precjoza, a przy tym odrobina adrenaliny – aukcje internetowe.

Bardzo łatwo przychodziło mi przyzwyczajanie się do złego. Zawsze i w każdym szukałam dobra, a całą ludzką niegodziwość potrafiłam sobie w mig wytłumaczyć. Z tego powodu, tak myślę, nie zawsze dbałam o własne interesy.

Na przykład – Krysta jest moją matką, starszą kobietą, nieporadną, zatem to ja powinnam opłacać wszystkie domowe rachunki, a nie obciążać nimi sędziwą osobę – tak postanowiłam, gdy zamieszkaliśmy razem. Mąż nie ma pracy, ale żyć musi. To była moja druga finansowa deklaracja.

Było trochę po szesnastej. Wbiegłam do domu. Boguś jak zawsze okupował komputer. Klikał, tępym wzrokiem patrząc w monitor, siorbał herbatę. W popielniczce leżały dwa ogryzki po jabłkach, obok stały cztery puste kubki po napojach, a z komputerowych głośników wydobywał się muzyczny staroć, którego szczerze nie znosiłam. „Zachodni wiatr spienione goni fale, wysoko gdzieś zawisnął mewy krzyk. Gasnący dzień zachodem się rozpałił, stoimy tak bez słowa ja i ty”. Przecież kiedy Marta Mirska pierwszy raz zaśpiewała tę piosenkę, on jeszcze się nie urodził! Ale to nie było najgorsze, bo oprócz zawodzenia Mirskiej, w radiu i telewizji leciały sprawozdania z posiedzeń wszystkich możliwych komisji śledczych, a na podglądzie kanał ekonomiczny, bo Bogdan monitorował ewentualny kierunek kryzysu. Fachowiec się znalazł!

Trzasnęłam drzwiami, zdjęłam czapkę, płaszcz, buty. I co zauważyłam? Że dopiero teraz zaczął piec rybę! Nie wyłączył ani komputera, ani telewizora. Mirskiej też nie. Przyjął pozę szarego, niby spłoszonego króliczka, zawsze jednak gotowego dać długiego susa przed komputer.

– Mają rację, tak jest, mają. Praca potaniała, towary potaniały, jest odskocznia do wzrostu... – dobiegło mnie z kuchni. Samozwańczy ekspert stawiał światu ekonomiczną diagnozę.

Jakież to było denerwujące! Przecież prosiłam, żeby rybę dobrze wysmażył. Siedzi, kurde, całe dnie w chacie! Śpi do dziesiątej, potem podobno odkłacza dom, niestety niedokładnie.

– Po raz kolejny mnie upokorzył! – westchnęłam rozzalona. Wstydziłam się konfliktów, swojego położenia, Bogusia, matki...

To samo, ale o mnie, myślała Krysta.

## *Masz dla mnie te PIT-y?*

I tak żyliśmy sobie od wypłaty do wypłaty. Płynność finansową dzięki bankom miałam w miarę dobrą. Największy minus straszyl na pożyczce odnawialnej, drugi, nie mniejszy, na kredycie remontowym. Dwie następne karty kredytowe też świeciły pustką. Pomyślałam, że koniecznie powinnam porozmawiać o tańszym kredycie konsolidacyjnym. Na okna może wystarczy z bieżących środków, nie pozwolę już, żeby mróz czynił z szyb – bez śladu kitu – pole do ornamentów i płaskorzeźb. Nie pozwolę!

Moje życie odbywało się w cyklach – od dwudziestego do dwudziestego oraz od końca miesiąca do końca następnego. I tak w kółko. Najpierw zeznania, potem wypłata wynagrodzenia. I znowu to samo. Jeśli się przyzwyczaić i powiedzieć sobie, że już nic więcej mnie w tym podłym życiu nie czeka, jest nawet dobrze. Rezygnacja nie jest jednak całkiem zła! Wystarczy sobie wmówić, że nie ma innego życia, że nie istnieje kraina, którą tak doskonale znam z własnych marzeń. Nie istnieje! Naprawdę, wystarczy tylko siebie do tej myśli przekonać. Do czasu! Bo jednak zaglądam księżycowi w oczy, jakbym chciała z nich wyczytać zapowiedź lepszego losu albo błagać o protekcję.

Dzień przed dwudziestym marca wibrująca komórka złapała mnie w Mieteksie na gapieniu się w okno.

– Beta, bądź dzisiaj po południu, przyjadę. Masz dla mnie te deklaracje podatkowe?

– Mam. Już wczoraj miałam. Tak się umawialiśmy.

Wszyscy mówili do niej Kinga, ale tylko ja wiedziałam, że w papierach ma Mieczysława. Nieładnie. Nawet moje „Becia” było lepsze. Kinga mawiała, że jesteśmy przyjaciółkami. Może i tak było, znałyśmy się długo i w ogóle. Dawała mi czasem zarobić.

Poznałyśmy się kilka lat temu. Zgłosiła się na mój anons na Gratce. Pojawiła się w moim jakoby biurze, czyli obleśnym salonie dla ubogich, i natychmiast wślizgnęła się w nasze życie jak jęzor ognia po drewnianej szczapie. Opanowała mnie od samego początku. Tylko mnie, reszta jej nie interesowała. Są ludzie, którym do życia nie są potrzebne tłumy, wystarczy jedna wielbiąca istota. Ja widocznie na takową wyglądałam. Zresztą, w istocie, taka też byłam! Słuchająca, kochająca.

Poznałam Kingę i od razu spodobała mi się jej ruda gęsta czupryna, którą widać było z daleka. Ale nie tylko, beżowe dzinsy z dziurami na kolanach miała świetne, cudowną torbę od Wittchena i krótkie kozaki z beżowej skórki. Wszystko miała w najlepszym gatunku. Pięknie pachniała, a ja na zapachach się znam znakomicie. Patrząc na Kingę, na jej gładką cerę, żelowe paznokcie i długą jedwabną tunikę, przeżywałam tak wielkie upokorzenie, jak jeszcze nigdy przedtem. Nasze spotkanie było niewątpliwie zderzeniem piękna z brzydotą. Pewności siebie z niepewnością. Towarzyskiego obycia z „płonieniem raka”!

Wprawdzie Bogdana wtedy nie było w domu, ale Krysta kilka razy przeparadowała przez korytarz, głośno zamykając wszystkie drzwi. Kinga wówczas na mnie spojrziała, położyła mi rękę na nadgarstku i powiedziała, patrząc mi głęboko w oczy:

– Proszę się nie wstydzić! Ja też kiedyś tak mieszkalam! Dzisiaj mogę każdego

zapewnić, że z tego można wyjść, jeśli się bardzo chce. Czyli co? Zaczynamy współpracę?

– Tak – wyszeptałam tak cicho, jakbym wyznawała grzechy, a nie zawierała umowę o współpracę na lata.

Tak było na początku naszej znajomości.

Ale wracając do zeszłorocznego spotkania – tego dnia ucieszyłam się, że dzwoni, i że przyjedzie. Jednak tym razem nie tyle chodziło mi o spotkanie, ile o gratyfikację za moją pracę. Przed weekendem zawitał do domu inkasent, zbierał za prąd od maruderów z mojej ulicy. Mnie wtedy nie było, a gdy wróciłam, Krysta przywitała mnie krzykiem:

– Znowu prąd nieopłacony! Sąsiedzi patrzą, że chcą nam go odciąć, tylko wstyd mi za was przed ludźmi z ulicy! Nie życzę sobie długów – kontynuowała już ze swojego pokoju. Czyli z centrum zarządzania parobkami.

Nie, nie zapytała, czy się dołożyć. Ponoć w ogóle nie zużywa prądu – w takim razie kto, do cholery, te sześćset złotych przez dwa miesiące nabił?! O nie, nie będę się denerwować. Ureguluję wszystko. Kinga mi zapłaci, to z tego dam inkasentowi.

– Coś blada jesteś, idź na solarium. – Kinga patrzyła na mnie krytycznie. – Zimą i wczesną wiosną też trzeba się naświetlać, bo w ten sposób unika się depresji. A ty zawsze jesteś jakaś skwaszona! Masz dla mnie te PIT-y? W piątek miałaś mieć, nie mogłaś zadzwonić?!

O nie! Ja nie zadzwoniłam?! Ja?! To ona powinna mnie pilnować! Miała interes, to powinna. Ale nie... Kinga, czyli pani, każe, więc Becia, czyli... a szkoda gadać... musi!

– Ile mi wyliczyłaś? – Przeglądała deklaracje, blednąc.

– Co „ile”? Trzy tysiące. Niecałe – wyszeptałam bladymi ustami. To tylko jedna piąta jej dochodu. A ile zysku będzie mogła skonsumować! Wyda na kolejne obcisłe dzinsy, jedwabne tuniki, torebki i włoskie botki! A ja? Klientka lumpeksów! Roczne zeznanie podatkowe składam już w styczniu, żeby jak najszybciej zainkasować od państwa zwrot nadpłaty. W głowach biedaków z pierwszego podatkowego proggu zachodzą inne procesy myślowe.

Poczułam się Kingą rozczarowana. No bo jak to? Niby taka wielka bizneswoman, a dwóch dokumentów sprzedaży i czterech kosztowych nie mogła zliczyć?! No tak! Cienka, foliowa koszulka papierków, a głowę obnosi, jakby spółką giełdową zarządzała. Mitomanka. Tak, dobrze liczę, trzy rachunki telefoniczne, dwa za paliwo... Ach nie, sześć, bo jeszcze amortyzację za fiata jej dodaję. Też mi firma! Pfff.

– Skąd tak dużo? Nic nie mówiłaś, że aż tyle wyjdzie! Nie mogłaś wcześniej przedstawić mi symulacji? To ja mam dbać, żeby nie za wiele zapłacić? Od czego mam ciebie?

„Od czego mam ciebie?” To mną poruszyło. Generalnie jestem dla nich wszystkich „od czegoś”. Tak. Jestem białą, jasnowłosą Murzynką zamieszkałą na wielkopolskiej ziemi! A kogo mam ja?

– No właśnie, czy mogłabyś mi mój stary rachunek dzisiaj zapłacić? Bo mi prąd wyłączą – wyszeptałam z panicznym prawie strachem, że może mi nie dać.

– No coś ty?! Myślisz, że ja śpię na pieniądzach? Nie mam. Jestem zwyczajnym człowiekiem ze zwyczajnymi kłopotami. – Kinga wcale się nie zawstydziała.

– Aha. Ale... No to kiedy będziesz miała? – wydukałam płaczliwie. Bo skąd wezmę dla inkasenta?

– Za dwa tygodnie może jakoś uzbieram. Może, bo przecież mam swoje płatności.

– No dobra. – Tylko to mogłam powiedzieć. Bo co innego? Przyjaźnimy się przecież i w ogóle. Rzeczywiście – widziałam jej łóżko, pokazywała mi. To fakt, nie śpi na pieniądzach. Ale pościel zawsze ma najdroższą, subtelną, nabłyszczoną, jak mgła delikatną, w śliczne pastelowe kwiaty. Do tego znakomicie napięte prześcieradło z takiej samej tkaniny – myślałam z zazdrością, całkiem już zrezygnowana. Widać moje ciało – tak samo jak twarz – się zestresowało, bo Kinga spojrzała na nie krytycznie, już wyraźnie rozluźniona.

– Ale sobie fałdy na brzuchu wyhodowałaś! W ogóle nie masz wcięcia. Zobacz moje, ale ja nie to, co ty. Nie zapuszczę się. Chodzę na drenaż limfatyczny, rolki i masaż. Mówię ci, warto! Też powinnaś, dam ci adres. Albo nie, zapiszę cię na jakiś termin, bo ty nigdy sama się na nic nie zdecydujesz. Fryzjer też by ci się przydał. – Zajrzała do lustra i poprawiła swój rudy, kręcony skalp. – Wyobraź sobie, że dostałam się wreszcie do Lucjusza.

– Serio? – Przyglądałam się swoim dużym dłoniom, po babci Antosi, ze strony ojca. Że są zbyt duże, mawiały ciotki, siostry ojca. I Krysta też sobie z nich ciągle dowcipkowała. Że niekobiece. Ja tamtej babci ze strony ojca wcale nie pamiętam, ale że dłonie są wielkie jak od pracy na roli, to mam wkodowane w każdy mały stawik każdej swojej wielkiej łapy.

Ale co do Kingi, może i ma rację – pomyślałam. Wprawdzie jej nowa fryzura wcale mi się nie podobała, za krótko się ścięła, no ale nie miała nawet minimalnego odrostu. I chyba ten cały Lucjusz doprawił jej kilka pukli, bo włosy jakieś sterczące były, sprawiały wrażenie jeszcze bardziej gęstych niż zwykle. Zdecydowała się na asymetrię, ale mogła pozostawić włosy nieco dłuższe.

– Ile kosztuje ten drenaż? – spytałam, gdy zapadła cisza. Pro forma, to oczywiste, bardziej dla samego dialogu. Nie powinno mnie to naturalnie wcale zainteresować, bo teraz inkasent był ważny, jedynie on. I skąd mam na jutro wziąć sześćset złotych za ten prąd?! – zastanawiałam się gorączkowo, jednym uchem słuchając wynurzeń Kingi.

– Dwieście złotych. To i tak dobrze, że nie w euro. Ten drenaż jest znakomity. Trwa zaledwie pół godziny, a wychodzisz jak nowo narodzona. Trochę chce ci się pić, ale to nie jest ważne. Seks, mówię ci, jak nam po tym seks wychodzi! Dawno nie miałam takich orgazmów. Jakbym eksplodowała. Jeszcze teraz czuję to podniecenie.

Seks... – myślałam po wyjściu Kingi. No cóż, nie byłam orłem w tym temacie, ani tym bardziej Boguś, który stał się męską kurą domową. Płeć męska dla kury to kogut, ale on kogutem bynajmniej nie był, przynajmniej przez ostatnie kilkanaście lat. Nie był, bo mówiłam, że nie chcę, posiłkowałam się nawet takim nowoczesnym określeniem, że mamy porozumienie, to znaczy, ja mu pomagam, i owszem, ale to, co było między nami kiedyś, nie ma już świeżości. Czułam się wygasła jak chilijski wulkan Ojos del Salado, poza tym często bolała mnie głowa.

No i Krysta mogłaby nas usłyszeć, a potem wyśmiać.

Wiem, w zasadzie powinnam być dla Bogdana lepsza, bo przyjechał za nami,



czasem nawet dawał mi oparcie. Jednak fundament naszego ułomnego związku tworzyła jego finansowa zależność ode mnie, a w moim zaś przypadku było to emocjonalne (i nie tylko) osamotnienie, przywiązanie do tradycji i brak czasu na jakąkolwiek fluktuację na stanowisku męża. Boguś był klasycznym utrzymankiem, jednak na wypadek ewentualnych zagrożeń wykazywał czujność i nie umknął jego uwadze żaden potencjalny konkurent. Zawsze na czas zdążył się z takim zaprzyjaźnić, a potem już zaczynała działać męska solidarność. I było po sprawie.

Tak było, gdy poczułam sympatię do Piotra, dziesięć lat temu. Wtedy jeszcze coś w swoim emocjonalnym życiu chciałam zmienić. Teraz skryłam się przed światem za łachami z ciuchbudy.

Te dwieście złotych to dużo kasy. Dwieście za mnie, dwieście za Bogdana, bo i jemu by się przydał drenaż – wyhodował sobie ruszające się brzuszysko, prawie jak łóżko wodne. Tak, jego też musiałabym w to włączyć, by nie pomyślał, że mam kochanka, skoro ostatnie pieniądze wydaję na bzdety zamiast na utrzymanie rodziny jak każda przyzwoita kobieta. Nie, nie i jeszcze raz nie! Inkasent jest ważny. Co na to powiedziałyby Krysta? Poza tym – po co mi to? W tym wieku się modelować? W mojej rodzinie, nawet dalszej, nie było takich przypadków! Że fryzjer by się przydał, to fakt. Okej – negocjowałam z samą sobą. – Gdy za dwa dni wpłynie ochłap z Mieteksu, udam się do osiedlowego.

Zbliżał się wieczór... Nie, to chmura deszczowa powodowała ten mrok. Po mroźnych dniach na początku marca trawa zaczęła się zielenić i pokazały się pierwsze kwiaty. Często powracałam myślami do dnia, gdy wróciłam do pustego po śmierci ojca domu, po to, żeby przekopać ogród i zasiać trawę. Była jesień, zaczął padać zimny deszcz, który zamieniał ogród w błotny ugór, a ubranie, w którym pracowałam, w zimne, mokre i nieprzyjemne łachmany. Dam radę – myślałam przemoknięta. – To nic, że sama. I dałam radę!

Potrzeba mi tylko jeszcze posklejać tę rodzinę, dopiero wtedy odkryję siebie na nowo, poczuję swoją obecność. Bo spokój to cisza, a cisza to obecność.

Teraz wokół jest zgiełk, w nim czai się samotność...

## *Lichotki na głowie*

Było to tydzień później. Ósma rano, ziąb na dworze, niby kwiecień, a pogoda zupełnie jak pod koniec listopada. Firma była zamknięta, chipa przykładałam do zamka kilka razy, ale nic to nie dało. Kolesia z administracji miało dzisiaj nie być, no cóż, on zwykle te wrota otwierał. Bernard miał przyjechać później, zresztą ponoć zgubił klucze. Dojeżdżał już Tomek, a za nim swoim peugeotem powoli sunął Fredka. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szła Czesia, nasza sekretarka. Jej rude poncho i blond loki rozwiewały się jak wierzba płacząca na wietrze. Czesia nie była już młoda, ale widać ją było z daleka. Nie wstydziła się siebie. Potrafiła szokować. Jaskrawoczerwona pomadka jeszcze bardziej uatrakcyjniała jej upierzenie. Też bym chciała być atrakcyjna. Też chciałabym się wyróżniać! Chwilę potem staliśmy już wszyscy przed drzwiami i naradzaliśmy się, co dalej robić z tym zamkniętym fantem.

– Trzeba zadzwonić do Jęchorka, bo nie ma nikogo innego z kluczem. – Tomek miał telefon służbowy, ale przecież nie będzie się wychylał. Spoglądał wyczekująco na Fredka. Tomek był szarym trybikiem w maszynierii pod tytułem Mieteks. Nikt o nim nic nie wiedział, a on sam nikomu się z niczym nie narzucał.

Spojrzałam na Fredka, a on zerkał na mnie, pocierając swoją łysą główkę. Z natury całkiem łysy nie był, ale odkąd go znam, miał zakola i wielką, nieporosłą włosami polanę z tyłu głowy. Młody był, przed trzydziestką jeszcze, fryzura na pożyczkę absolutnie nie wchodziła w rachubę, to zsiekł wieniec jasnych rzadkich włosów porosłych dookoła głowy. Wstrzelił się w czas łysych, moda mu sprzyjała. Zawsze odziewał się w bardzo eleganckie garnitury, czym drażnił niechlujnego Jęchorka i nieprzejawiającego elegancji w ubiorze (w przeciwieństwie do swojej żony) Rafała.

– To kto zadzwoni? Aż strach. Boss pewnie jeszcze śpi – spytałam nie tyle z ciekawości, ale by wywołać jakąś reakcję. Po co ja mam wybiegać przed szereg?

– Zadzwonię, niech będzie. Jak mnie wypieprzy, będziecie się składać na zasiłek – powiedział Fredka z telefonem przy uchu. – Nie odbiera! Głupi nie jest. Widzi, że to ja, Fredka, firmowy sierściuch, znowu mu zawracam dupę, więc ma to w nosie. Przyjdzie nam sterczeć na tym zimnie, aż się wyśpi. Kapitalista jeden!

– No dobra, spróbuję, mój numer się nie wyświetla, może odbierze. – Drżącymi palcami wystukiwałam cyfry na klawiaturze. – Halo, szefie, nie obudziłam?

Jęchorek odebrał od razu.

– Skądże, co też pani wymyśliła? – warknął. – Już od piątej jestem na terenie firmy. Zaraz tam u was będę.

– Powiedział, że zaraz będzie, bo jest od piątej rano gdzieś tutaj – relacjonowałam kolegom. – Ciekawe zresztą gdzie – dodałam z powątpiewaniem w głosie. Wiedziałam, że Jęchorek jest mistrzem kamuflażu, ale nigdy jeszcze na mnie tak nie warknął. Jakbym zwrotem: „nie obudziłam?” wytrąciła mu berło z ręki. On musiał być silny! Słaby facet w ręce nie trzyma nic, co najwyżej puszkę z piwem! Albo puszkę z piwem plus pilot.

– Nic, tylko muszę wreszcie tę Babę Jagę dla pani kupić! Jęchorka pani wybudziła.  
– Czesia zachichotała.

Babę Jagę? Dla mnie, oazy spokoju? Krętacz upatruje krętacza w drugim, nie w sobie, złodziej zawsze widzi wokół samych złodziei, awanturnik o kłótniwość na pewno oskarży spokojniejszego od siebie. A złośliwa Czesia Babę Jagę zamierza przekazać w najmniej właściwe ręce!

– Becia, tylko nie stój twarzą do bramy wjazdowej, bo gdy w końcu się zdecyduje i będzie wjeżdżał, zobaczy, że zauważyłaś, że dopiero teraz z chaty do firmy przyjeżdża – szepnął mi do ucha Tomek.

To mnie zaskoczył!

– Skąd wiesz?

– Kiedy przejeżdżałem obok jego pałacu, widziałem, że jego bryka stoi jeszcze przed bramą. Na sto procent zasnął. Ciekawe tylko po czym, bo ostatnio wcale się nie przemęcza. Ma przecież nas, którzy dobrobyt mu na barach wnosimy.

No tak – pomyślałam. – Udaje zapracowanego, żeby było, że to on na nas pracuje, a nie my na niego.

– Trzeba założyć związki zawodowe w Mieteksie. Ze Śniadkiem warto by się dogadać – włączył się Fredek.

– A dla Beci koniecznie kupić Babę Jagę! – Czesia znowu zachichotała.

Po dziewięciu godzinach, wracając z Mieteksu do domu, pomyślałam, że nadszedł czas na porządki. Wiosna wymusza wietrzenie wszystkiego, najpierw na sznurach za domem wywieszam wysłużone kołdry, następnie dokładnie je trzepię. Potem koce i pledy. Trzepię. Na końcu psie legowisko z baraniej skóry. Kurzu z niego leci tyle, ile pyłów podczas wybuchu wulkanu Krakatau. Zimowe płaszcze i buty wynoszę do piwnicy. Na końcu wietrzę własny łeb. Wysiadłam, zupełnie ad hoc, przystanek wcześniej, z zamiarem dotarcia do fryzjera.

– Mamo, gdzie jesteś?

– U fryzjera Teodora.

– Gdzie? Przecież on cię obetnie jak od garnka! Zainwestuj wreszcie w porządnego fryzjera na mieście. Ale twoja wola. Mogę cię odebrać. Chcesz? – zapytał mnie telefonicznie Marcin, gdy wreszcie usadowiłam się na fotelu w osiedlowym salonie fryzur.

Marcin od pół roku miał prawo jazdy. Miesiąc temu zaś, czyli kiedy zatrudnił się na ćwiartkę etatu w firmie reklamowej, dostał samochód, najlepszy i najbardziej luksusowy środek lokomocji, bo służbowy. Czasem lubił mnie gdzieś podwieźć. „Podwieźć” – to słowo nie opisuje w pełni czynności Marcina. Miał przy tym niezły ubaw! Niestety – moim kosztem. Marcin też „miał mnie”, jednak ja służyłam mu do dostarczania innych nieco wrażeń. Kolekcjonował moje dziwne zachowania! Wygłupiał się za kierownicą, puszczał głośno muzykę, jechał slalomem, potem ostro hamował albo zajeżdżał innym drogę. Miał wielką radość, gdy krzyczałam albo zaczynałam płakać.

No więc siedziałam w zakładzie fryzjerskim, w którym od lat nic się nie zmieniło. Klientela starzała się wraz z salonem i równocześnie z Teodorem. Śmierdziało płynem do trwałej ondulacji starego typu. Wdowia i babciowa fryzura nie zakładała zmian. Loczki, loczki i jeszcze raz loczki – to hasło mogłoby wisieć na banerze przed przybytkiem Teodora.

Spojrzałam w lustro, ale tylko na chwilę. Moje jasne włosy układały się na zewnątrz, wyglądały jak łan przejrzałego żyta po tornado. Teodor zawsze strzygł mi je w podobny sposób i zawsze, przy każdej wizycie, dziwił się, jak mógł mi je ktoś tak postrześcić. Tracił już pamięć, prawdopodobnie.

– Ojej, kto pani zaaplikował tę cytrynę? Po co cieniować tak rzadkie włosy?! Jakie pani sobie życzy uczesanko? Ścinanko też będzie? – Teodor był fryzjerem osiedlowym od zawsze.

– Kolor platynowy chyba bym chciała i skrócić pewnie też by wypadało. Zdaję się na pana doświadczenie.

Urody nie była mi w stanie poprawić żadna fryzura. Twarz najpierw powinnam zmienić, potem włosy. Dwie bruzdy idące od wargi w dół już dawno temu powinny skłonić państwo polskie do przyznania mi ulgi w rocznym Picie. Ale nie tylko to – ciało również szło sobie tylko znaną, błędną drogą.

– Podetniemy je mocniej. Wymodelujemy i damy na żelik. Lichotki te włosięta, ubóstwo, oj, ubóstwo, podtapirować trzeba będzie... Dam dużo lakieru, żeby udało się spanko w tej fryzurze. – Teodor długim wąskim grzebieniem sprawdzał stan skorupy na mojej głowie.

Przejechać się natychmiast – bezzwłocznie poprawić fryzjera. Dlaczego niektórzy mówią, że u fryzjera się relaksują? Ja nie. Nie patrzeć w lustro – dla mnie to było teraz największym priorytetem. Zapłacić, a potem natychmiast wyjść z zakładu i szybko dotrzeć do domu.

Uff, wypadłam wreszcie z zakładu. Synek słowny jest, czeka już biedaczek w samochodziku przed zakładzikiem – myślałam zdrobniale, bezwiednie naśladowując styl fryzjera. Chętnie schowałabym łeb w plastikową reklamówkę, Teodor czesał mnie zawsze w kaczy kuper, ale nie zdierał kasy!

W oczach Marcina na pewno nie znalazłam aprobaty, choć muszę się przyznać, że właśnie tego w nich szukałam.

Co tam – myślałam, gramoląc się na siedzenie. W domu przeczeszę się po swojemu. Nie mam odrostu, hurra! To najważniejsze!

– Mamo, uważaj, bo mi tapirem sufit w aucie przebijesz!

## *A szlag by trafił te wszystkie kociska*

– A szlag by trafił te wszystkie kociska! – wrzeszczałam w drugim tygodniu kwietnia, bo z okna łazienki dostrzegłam znowu wielkiego rudego kocura. Kilka miesięcy temu upodobał sobie ogromny kamień nad naszym oczkiem wodnym, skąd śledził moje śliczne, maleńkie rybki. Nie było dnia, żebym ich nie przeliczała.

Tamtego dnia też zajął swoje ulubione miejsce. Siedział nieruchomo jak drewniany dziad, nastroszony, jedną łapę miał przyczajoną blisko lustro wody, drugą wbił w korzeń miniaturki cedru i w tej pozie czatował na swoje ofiary, tratował trawę pampasową.

Dzień później zaś, wczesnie rano, Zośka, koleżanka, która onegdaj się do mnie dratwą przyszyła, przywiozła nam swojego zwierza na przechówek. Uznała, że jej rasowy kot jest na tyle dobrze ułożony, że naszego psa drażnić nie będzie. Szepnęła mi, iż bardziej obawia się o Bogusia. Nie znosiła go od zawsze, czyli długo, bo znamy się jeszcze z czasów studiów. Ale nie jest to dla mnie bliska znajomość, ot, luźna raczej, jak kopczyk z gałązek gruszy w naszym ogrodzie.

Zośka wyglądała, jakby uciekła krasnoludkom, zawodowo była nauczycielką pierwszych klas, więc pasowała. Była moim przeciwieństwem. Ona mała – ja wysoka, ona drobna – ja właścicielka dorodnej figury, ona kolorowa – ja szara. Ciemnowłosa – ja blond. Odważna – ja tchórz. Rozpalona – ja sopol. I to jeszcze nie byłby koniec wyliczanki... Być może chciałabym, tak jak ona, umieć to i tamto, ale... miałam Bogusia. Zośka była niewątpliwie radykałem w podejściu do facetów. „Na mój lep zawsze się jakiś truteń skusi” – to było jej ulubione powiedzonko. I drugie, w zasadzie jej życiowe credo: „Facet musi mieć swoją historię!”. W tym mieściła się też historia przestępcza! Wolałam nie myśleć o jej kochankach ani nawet nie wiedzieć! Zośka, podobnie jak Kinga, zawsze próbowała mi coś o sobie opowiadać. Ale tym razem, gdy tylko usłyszałam, że ją bardzo, ale to bardzo podnieca seks w stanie zagrożenia, bardzo stanowczo powstrzymałam jej zwierzenia.

Móc komuś coś przekazać! Mieć kogoś, na kim można zawiesić swoje wątpliwości. Wreszcie, mieć taką osobę, na której można się oprzeć! To były jedne z największych życiowych pragnień kobiet, które znałam. Po głębszym zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że Zośka konfabuluje. Krysta, która zawsze z okna obserwowała okolicę, nie zostawiła na mojej drobnej znajomej suchej nitki! No cóż! Często jest tak, że ludzie wiedzą o kimś więcej niż on sam.

Wracając do tematu. Przywiozła tego kota, a ja nigdy nie mówię: „nie”. Poza tym rozumiałam ją bardzo dobrze, nie miała alternatywy, musiała wyjechać – sprawa życia i śmierci (konkretnie śmierci jej związku z największym kloszardem, jakiego dane mi było znać osobiście), a w sądzie niewątpliwie powinna być bez kota.

Szaki oka z intruza nie spuszczał, kot cały się trząsł i zaraz się zaszył w stercie kabli pod moim biurkiem. Boguś dostał zadanie pilnowania spokoju ogniska domowego i jakoś nad tym zwierzyńcem zapanował. Jedyne postukał się w głowę, że mam niby jakiś problem z prawidłowym myśleniem. Krysta tradycyjnie rozpoczęła lamenty, czy aby to kocisko nie podrapie jej psa. Na wszelki wypadek zamknęła rozjuszonego Szakiego

w centrum, nie zważając na to, że w drzwiach postanowił wydrapać dziurę. Pazury zasuwały po laminowanej płycie szybciej niż kiedyś nogi Szewińskiej na setkę.

Czmychnęłam prędko do firmy, odprowadzana wściekłym szczekaniem naszego wilkołaka, nieśmiałym pomiaukiwaniem kota Zośki, gromkimi okrzykami Bogusia w rodzaju: „cicho!” i głośnym gderaniem Krysty, że drugiego takiego głupka jak ja to ona nie zna i że mogłabym się wreszcie nad sobą zastanowić i zmądrzeć. Ciekawe, co można do nocy robić poza domem. Ona ponoć dobrze wie!

No i wróciłam pod wieczór, zapomniałam, że przecież opiekuję się kotem, beztrudno otwierałam drzwi na oścież, a tutaj coś z piskiem czmychnęło między moimi nogami. Kot. Uciekł. A za nim pies. Omal mnie nie przewrócił. O nieba! Przecież taki kot ze dwa tysiące kosztuje na dzień dobry! I gdzie go mamy teraz po nocy szukać? Jeszcze jakieś obce psisko go zagryzie albo, na nasze finansowe nieszczęście, własne. Psisko, rzecz jasna. Boguś wziął jednak sprawę na siebie, rzucił w moją stronę słowo, którego ja na pewno wstydziałabym się użyć w stosunku do kogokolwiek, nawet w myślach. Latarkę pochwycił w rękę i oddalił się szukać kota w egipskich ciemnościach ogrodu. Szaki też nie dawał znaku życia, znikł w czeluściach rosochatego drzewostanu. Na chwilę jeszcze mignął mi w krzakach jego ogon, ale potem pies przepadł jak kamień w wodę.

– Bronisław, Bronisław! – pobrzmiewało po ogrodzie. Boguś nawoływał coraz głośniejsze.

Jak można dać kotu takie ludzkie imię?! Może właśnie z powodu tego imienia mężuś Zośki nie wytrzymał i zasilił kloszardzi i żebraczy stan, a ona biedna musi teraz do młodszego i przestępczego zbioru sięgać? Filemon jest ładnie, Bonifacy też może być. Mopsik, Mruczek albo Buczek. Dropsik czy Gucio. Ale Bronisław?! To przecież jest bardzo ludzkie miano. Tak właśnie było na imię mojemu nieżyjącemu już ojcu!

– Bronisław, Bronisław – dobiegało z ciemnego ogrodu. Snop światła z latarki myszkował po kniejach. Ja z okna zarządzałam całą sytuacją, z nerwów obgryzałam paznokcie, bo wiadomo, te dwa tysiące tłuły mi się po głowie. Nagle zdałam sobie sprawę z absurdalności tego, co się dzieje. Co sobie pomyślą sąsiedzi?! Że Bogdan sfiksował, chodzi z latarką po ciemnym ogrodzie i woła mojego ojca nieboszczyka!

– Ciii – zasyczałam z okna. Boguś nic, dalej nawoływał Bronisława! Wysłałam na dwór, by jak najszybciej zatuszować całą tę historię, tym bardziej że w oknie sąsiadów z drugiej strony ulicy nagle zrobiło się ciemno i poruszyła się zasłonka. Chciałam się zapaść pod ziemię z tej kulminacji wstydu.

(Tak. Wstyd mi przed wszystkimi. Rodziny się wstydzę, tego, że mamy chore relacje, się wstydzę. Że nie jestem choć trochę atrakcyjna – też się bardzo wstydzę. Generalnie poczucie wstydu prawie nigdy mnie nie opuszcza.)

I wtedy go dostrzegłam. Bronisław siedział mniej więcej na środku wielkiego, lekko pozieleniałego modrzewia, obok wejścia do domu. Maleńki, ciemnoszary, trzęsący się kotek. Przywarł kurczowo łapkami do suchej, prawie gołej jeszcze gałęzi i smutnymi ślepkami błagalnie patrzył na mnie. Pod drzewem stał podekscytowany Szaki i warczał.

– A szlag by trafił te wszystkie kociska! – wrzeszczał Bogdan z ostatniego szczebla drabiny. Na głowie zrobiła mu się lwia grzywa albo szopa Hendriksa, jak kto woli. Rękę miał zakrwawioną, trzymał w niej wyrrywającego się i miauczącego kota.

– A ty... – Zwrócił twarz w moją stronę. – Kup sobie wreszcie pukawkę czołową!  
I dla twojej matki przy okazji. Dla niej dwie! Zapomniałbym, zaschniętej Zośce też  
sprezentuj!

## *Słowa mają dziwną moc*

Kilka dni później byłam u Kingi, zaprosiła mnie na pierogi, tak bez okazji, zamiast zapłaty za usługi zapewne. A może miała chandrę, w końcu prowadzi te swoje biznesy, jest kryzys, kiepsciutko, wszyscy ubolewają, a ona – jako przedstawicielka klasycznej warstwy średniej z aspiracjami, by należeć do wyższej – jest przecież kręgosłupem polskiej gospodarki.

Jaka jest Kinga, każdy wie, ale ja, ze swoimi masochistycznymi skłonnościami, czasem odbierałam ją jako kogoś w rodzaju osobistego trenera duchowego, bo nie mogę jej przecież nazwać psychoterapeutką. Porad i terapii dobrego psychologa ona sama czasem wymaga. Wtedy jestem ja. Wzywa mnie do siebie, nastawia zdartą płytę Cohena i jej ekshibicjonizm na klatkę przyjmuję. Na przykład zwierzenia o czterdziestoparoletnim ogierze, którego podobno uwiodła. To był ponoć uciekający w seks prezes salonu samochodowego, będący w finansowych tarapatkach. Już wiem, jak się pieprzą (ona twierdzi, że kochają), ile razy, jak mokre ma orgazmy. I co robi z pościelą „po”. Mówi mi o swoim uczuciu i jego miłości do niej też, ale nie wydaje mi się, żeby to była prawda.

Zresztą, miłość – cóż to jest? Przereklamowane monstrum, zawsze doprowadzające do stanu nierównowagi. Ja kocham mniej albo on kocha mniej, nadchodzi czas licytacji albo rezygnacji, jak u mnie. Poczucie rezygnacji jest stanem emocjonalnie bardzo bezpiecznym, pod warunkiem, że jest się gotowym na własny niebyt. Ja wtedy byłam skondensowanym niebytem.

Wracając do Kingi, w jakimś sensie mogłabym uznać ją za kreatora kariery tudzież moderatora mojego życia. Bo Kinga mną wstrząsa. Gdy się nasłucham o kosmetycznych i modowych nowinkach, to i ochota mi przychodzi, żeby coś zmienić. Kinga uważa, że jestem całkiem normalna, tyle że funkcjonuję w nienormalnym świecie i mam w sobie za dużo dobroci (czytaj: naiwności i uciążliwej dla samej siebie głupoty), a co za tym idzie – daję przyzwolenie uczuciowym manipulantom (z tym jednak nie potrafię się zgodzić). Według niej utknęłam w matni, przystałam na taki wariant spędzania życia, powiedziałam sobie: „pas” i poszłam w niesłuszną rezygnację. No cóż, może Kinga ma rację, że tylko rozbestwiam swoich – pożałuj się Boże – bliskich. Daj palec, a wezmą ci całą rękę, i tak dalej.

Jednak tego dnia obyło się bez pouczeń, Kinga była wyraźnie nie w sosie, jakaś przygaszona, niczego mi nie zarzuciła. Dała te obiecane pierogi i kieliszek czerwonego wina, jak zawsze. Nawet poczułam się rozczarowana, bo to jest bardzo doświadczona kobieta, a od takiej przyjmie się każdą krytykę. Zresztą, do krytyki nawykłam. Miałam przeczucie, że tym razem to ona sobie coś zarzuca, że mi chce o sobie opowiedzieć. Przyjęła mnie w małym pokoju, skąd jej były mąż wciąż nie zabrał swoich rzeczy.

– To jest samcze pieczętowanie terenu, żeby na starość mógł do mnie wrócić – wściekała się kiedyś.

Zawsze mi się ten pokój podobał, męża Kingi też lubiłam, ale ponoć do siebie nie pasowali. Dorosłe dzieci się wyprowadziły, a ich zaskoczyło uciążliwe sam na sam. Czas



leciał, a Kinga chciała jeszcze coś przeżyć, potrzebne były jej nowe doświadczenia. Mąż też jest nadal sam, czeka, aż Kinga wróci do podstaw, czyli do tego, co ich kiedyś łączyło. (Niektóre pary eksperymentują, inne zaś czasem dokonują autodestrukcji, chociaż z powodzeniem mogłyby swój związek poddać renowacji. Ja to wszystko znakomicie wiedziałam, ale... moje życie składało się wyłącznie z aktów renowacji własnej osoby. Zazdrościłam Kingie odwagi i woli działania.)

Mimo mnogości sprzętów, miałam nieodparte wrażenie, jakby czegoś w tym gabinecie brakowało. Rozglądałam się uważnie, rejestrując wzrokiem książki i bibeloty: strzemię i siodło końskie wisały przy drzwiach jak zwykle, tam-tam też stał na swoim miejscu, w kącie znajdowała się harmonia (notabene starsza od nas dwóch razem), skrzypce z dziewiętnastego wieku wisały na ścianie...

A jednak coś było nie tak.

Kinga skubała frędzelki obrusa, milczała, oczy miała skierowane w dół. Ożywiła się, gdy wodząc wzrokiem po podłodze, dostrzegła moje buty:

– Cóżes ty włożyła! Te buciory są dłuższe niż butelka po merlocie! Ach, kobieto...

Później się rozkręciła, znowu, po raz enty, snuła opowieść o seksie, ale tym razem bez pikantnych szczegółów. Pomyślałam, czy nie należy zacząć się o nią martwić. Nie dlatego, że ubyłaby mi klientka, o nie, kiepski z niej był płatnik, ale to w końcu też człowiek. Zaskoczył mnie nastrój Kingi.

Wychodziłam i wtedy zdałam sobie sprawę, że przecież nie widziałam jej kotki! To dziwne, że o niej zapomniałam. Koty wśród moich koleżanek były bardzo popularne, rysowała się nawet pewna prawidłowość. Najpierw odchodził stary, czasem (jak w przypadku Zośki) patologiczny mąż, potem pojawiał się kot, a później pojawiał się młodszy kochanek. Według Bogusia – kolejny jeleń z łapanki, do dzielenia się dobrobytem. (Jakby zapomniał, że w naszym związku to nie on pełni rolę jelenia.) Po krótkim okresie euforii ów kochanek zniknął.

– A gdzie jest Madonna? – zainteresowałam się.

I wówczas się dowiedziałam! Madonna dzień wcześniej nagle i niespodziewanie zdechła.

O, Madonno! Słowa jednak mają bardzo dziwną moc...

## *Reforma Mieteksu*

W drugiej połowie kwietnia roczne rozliczenia miałam już za sobą. Do firmy przyjechałam godzinę wcześniej niż zwykle, bo miałam zamiar posegregować dokumenty, spać, zapakować w obwoluty archiwizacyjne, przenieść do piwnicy, aktualne dać do szafy na dolne półki. Na moim biurku leżały szare, archiwizacyjne teczki. Opisywałam je i odkładałam na bok, kiedy zadzwonił telefon. Że mam zaraz zejść do szefa.

– Właściciele drugiej spółki mnie docenili i chcą, żebym był szefem rady nadzorczej. Zresztą sam też planowałem odejść od zarządzania, bo jestem Mieteksem już bardzo zmęczony. Powinien mnie zastąpić ktoś młodszy, nowy... – Jęchorek był bezpośredni, można powiedzieć, że wiele lat współpracy stworzyło między nami pewien rodzaj zażyłości, a może zaufania. Przy czym bardziej mojego do Jęchorka niż odwrotnie.

W moim życiu generalnie brakowało wzajemności. Może na wzajemność trzeba sobie zasłużyć? Z Jęchorkiem było inaczej, zdarzało się, że prosił mnie o opinię. Oj, to było coś. Bo wtedy ja – zwykła, szara księgowka – mogłam się pochwalić. Czym? Swoją wiedzą, kompetencjami, a może intuicją. Ktoś mnie wreszcie uważnie słuchał... Brałam głębszy oddech i robiłam minę niczym entuzjastka psychologii paschalnej (spotkałam kiedyś jedną taką, więc wiem, co mówię).

– Przepracowuje się pan, o kontrakty powinien dbać ktoś inny – rozkręcałam się. – Tak intuicyjnie wyczuwam. Stagnacja jest cofaniem się. Za wszelką cenę nie może pan do tego dopuścić!

Zamilkłam gwałtownie. Zmieszałam się. Patrzyłam, jak przygarbiona sylwetka Jęchorka się prostuje, blada twarz ożywia, nawet blizna po operacji zajęczej wargi zrobiła się płytsza... Byłam pewna, że wygłaszam frazesy, coś, co jest powszechnie wiadome, jednym słowem – bzdety nadmuchane. Ale Jęchorek był zainteresowany. Wstał z krzesła, drapał się po czole i sprawiał wrażenie, jakby wziął sobie do serca moją klepaninę.

Ludzie mają tendencję do pouczenia innych, nachalnie popisują się wiedzą niezależnie od tego, czy ktoś jej pragnie, czy nie. Ja też nie jestem bez winy, bywa, że przylapuję się na wygłaszaniu truizmów, jak te dzisiejsze. Jednak – i to mnie zawsze zaskakiwało – Jęchorek szanował nasze rozmowy. Cieszył się, gdy udawało mi się coś sensownego powiedzieć, a jeśli jakiś mój pogląd sprawdził się w praktyce, to już w ogóle...

Dobrze jest spotykać ludzi słuchających. Bo według mnie (można się z tym nie zgodzić) społeczność dzieli się na słuchaczy i mówców. Generalnie wolę słuchać, ale nie tym razem. Gadałam jak najęta, jakbym była topowym ekonomistą.

– Stagnacja jest cofaniem się – powtórzyłam raz jeszcze na koniec.

Kobiety mają intuicję, a pryncypał bardzo, ale to bardzo na niej polegał. Wstał z fotela, by za chwilę w zadumie kroczyć po pokoju.

– No tak, święte słowa, stagnacja jest cofaniem się, musimy działać. Tak, tak musimy! Wie pani co? Ale niech to będzie naszą tajemnicą. Pozostali współwłaściciele prosili mnie, żebym wskazał kogoś na swoje miejsce. Nie chciałbym na tak wysokie

stanowisko proponować nikogo z zewnątrz, myślałem, żeby powołać Bernarda.

– Bernarda?!

Dlaczego tak spontanicznie zareagowałam? Sama nie wiem. Zazwyczaj się przecież nie wychyłam. Wydaje mi się, że nauczyłam się mieć o kimś zawodowo niedobre zdanie. Znowu użyłam sformułowania: „Wydaje mi się”. Nie powinnam tak mówić, ani nawet myśleć, lepiej powiedzieć „wiem na pewno”. Umacnia się w ten sposób swoje ego. Wracając do tematu, wtedy zaoponowałam gwałtownie, przynajmniej jak na mnie. No cóż, utożsamiałam się z firmą, a Bernard mógł tę firmę położyć.

– Uważa pani, że jego nie? – Jęchorek był zaskoczony.

– Myślę, że Rafał byłby lepszy. Jest tuż po czterdziestce, robi jakieś podyplomówki z zarządzania, ma za sobą fizykę, jest pragmatykiem.

– O nim zupełnie nie pomyślałem. – Jęchorek drapał się po głowie. Chodził zamyślony po pokoju i długo nic nie mówił, po czym podszedł do okna i je otworzył. Stał tam i wciągał powietrze, potem się odwrócił.

– Dziękuję, pani Beciu, przemyślę tę sugestię.

Parę dni nic się nie działo. Zbliżał się majowy weekend, o niczym innym się w firmie nie rozmawiało. Niektórzy szykowali się do wyjazdu, inni planowali porządki w ogródkach, jeszcze inni leżenie na leżakach. Ja byłam pełna obaw, ostatniego dnia przed weekendem mieli zacząć u mnie naprawę dachu. Oczyma wyobraźni widziałam domowy horror, Boguś zajęty nadzorem, Krysta udawaniem umierania, a pies szczeka i próbuje wydrapać dziurę w drzwiach. Ekipa robotników z właścicielem firmy, nie lada przystojniaczkiem w czerwonej koszuli, miała zrywać papę. Wyobrażałam sobie, jak pokruszone, porwane, zmurszałe resztki dachu spadają na śliczny wczesnowiosenną barwą trawnik. Gniotą trawę, zaburzają moją radość z wiosny. Ten dach był kilkakrotnie łatany, ale i tak przeciekał. Wilgotne plamy na suficie już zaczęły pleśnieć. Jeśli fachowcy zdejmą papę, pozostaniemy bez ochrony przed deszczem. No i bałam się, czy wystarczy na to wszystko pieniędzy.

Matka nawet nie zapytała, czy się nie dołożyć. Rozliczeniem pozostałych kosztów wspólnego mieszkania też głowy sobie nie zaprzętała. Nawiasem mówiąc, jeśli się postawi sprawę: „To ty będziesz wszystko opłacać, bo chciałaś tutaj zamieszkać”, tworzy się dla siebie komfortowy układ, jakby podjęto się decyzję o przyznaniu sobie do emerytury dodatku kombatanckiego. Tak, ja chciałam z matką zamieszkać, bo jak mogłabym zostawić ją w wielkim domu, samą, bez opieki?

– Też ciebie utrzymywałam, gdy byłaś dzieckiem. Obsikane pieluchy prałam, zaharowywałam się, dupę obsmarowaną gównem wycierałam. Masz wobec mnie dług do spłacenia, a długi trzeba regulować, nie myśl, że ci ujdą na sucho – powiedziała kiedyś, a minę przy tym miała taką, jakby było jej niedobrze. Takie słowa usłyszałam od własnej matki. Urocze, prawda?

Czyli odgorną decyzję dotyczącą również mojej osoby główny domowy strateg podjął już dawno, sobie pozostawiając absolutnie niepodważalne prawo do przesądzenia o wszystkim.

Smutne myśli przerwał Jęchorek. Było po południu, zaprosił mnie do pokoju

z owalnymi stołami, na jednym z nich stała parująca herbata w blad różowej filiżance z Ikei. Przed nim zauważyłam taką samą.

– Postanowiłam, pani Beciu, tak, jak pani mi doradziła. Rafała powołam na stanowisko prezesa. Już rozmawialiśmy i zgodził się pomóc firmie. Na poniedziałek jesteśmy umówieni na podpisanie aktu notarialnego. To dziękuję bardzo, pani Beciu. Dobrego wieczoru, również dla rodziny. Miłego majowego weekendu!

– Wzajemnie, i życzę, żeby się pan na Rafale nie zawiódł.

Pod wieczór wróciłam do domu. Na dachu nie było widać żadnego postępu.

*Nic z tego nie będę jadła!*

Niech się święci pierwszy maja! Rano Bogdan wywiesił biało-czerwoną flagę za oknem naszego salonu dla nizin, Krysta taką samą w swoim centrum pomiatania parobkami. Czyli okno obok.

– To mówisz, siostra, że coś jeszcze będziesz robić z tym domem? – Aga z mężem, będąc w kraju, wpadli odwiedzić matkę, a przy okazji nas. Jednak głównie przyjechali po to, żeby pokazać nowe, bielutkie volvo. Lśniło. Dorobkiewiczze jedni. Nie znosiłam wciskającego się w oczy bogactwa mojej siostry i jej męża, zresztą i ja, gdybym tyle lat siedziała w Anglii, przywiozłabym wór pełen funtów. Też coś!

Było południe. Podjechali przed nasz płot, zaakcentowawszy to klaksonem. Szaki wyprysnął z domu jak rażony piorunem, skakał przy ogrodzeniu, łamał płożące się iglaki, merdał ogonem w tempie szybszym niż wycieraczki samochodowe podczas ulewy gigant. Unosiły się tumany kurzu, a ta toksyczna chmura pyłów osiadała najpierw w moich oskrzelach, a może i nawet w płucach, na parapecie, na meblach i w dywanie! Ponadto czekał ochryłym psim basem, jego jazgot świdrował mi mózg. Czułam ciarki na plecach, rozstrojone nerwy, podrażnione nogi, zresztą, wszystko mnie drażniło. Że oni mają dobrobyt, a ja nie – to najbardziej.

Szwagier wysiadł z auta z wciągniętym brzuchem, wodząc wzrokiem po oknach sąsiadów. Przystojny był zawsze, to fakt. Może niezbyt wysoki, ale miał w sobie coś bardzo ujmującego. Czy to był bielusieńki uśmiech, czy błyszczące radością oczy... A może włosy jasne jak len... Nie wiem. Mógł się podobać, tak jak i jego nowiusieńkie volvo. Widziałam, że w domu po przeciwnej stronie ulicy ruszają się firanki. W moim zresztą też. Wymizerowana Aga, wystrojona w fioletową, bardzo wciętą w taliu marynarkę, wygrażała psu, który skakał na nią, drapał, lizał i obśliniał.

– Agusia! Bo ci ten śliczny skórkowy żakiecik poszarpie! – wołała z okna zatroskana Babcia Krysta.

Źle wygląda, nie tak dobrze jak ostatnio – pocieszałam się, obserwując siostrę zza firanki. Jednak w istocie się wściekałam, bo dlaczego ja też nie mam tak szczupłej talii?!

Zawsze miałam do siebie żal o tę zazdrość! Zawsze! Bo Aga wszystko miała ode mnie lepsze. Z ojca wzięła zgrabny, maleńki nosek, poza tym jędrny, dumnie sterczący biust, taki w sam raz, po cioci Zuli. A ja płaska jak spiłowana decha byłam! I gęste, kasztanowe włosy Aga miała, a ja blond w nieładzie, jak po burzy. Jej stopy...! Także o niebo ładniejsze od moich, wyglądały znakomicie w każdym buciku, a ja ze swoimi poobcieranymi od niewygodnych, zbyt małych buciorów po czterdziestkę do Niemiec musiałam wyjeżdżać! To nie było fair... Niektórzy mówili, że Krysta na pewno nie mogłaby się mnie wyprzeć! Że geny i takie tam... Może dlatego faworyzowała Agnieszkę, tak różną ode mnie, ale i – a może przede wszystkim – od niej samej?

– Szaki, nie wolno skakać! No mówię, że nie wolno! – Aga komenderowała sopranem.

– Jak ślicznie wyglądasz. I młodo – cieszyła się Babcia.

– A twój Szaki taki kochany – przypochlebiała się Aga.

– Pies zawsze wyczuje dobrych ludzi. Jak on was kocha! I wcale nie zapomina. – Krysta była szczęśliwa.

– Becia! Jesteś, a słyszałam, że miałaś być w pracy! – Aga przyłożyła chłodny policzek do mojego ucha.

– Ja nie wiem, wychodzi w nocy, wraca po nocy, nie wiem, co tam robi. Zupełnie nieogarnięty ten dom, a ja sama wszystkiego nie dam rady tutaj robić. Zresztą nie pozwolę, żeby ze mnie, starej, robili służącą – użalała się Krysta.

– Pfff – prychnęłam pod nosem, zamiast odpowiedzieć coś sensownego. Bo niby kto tu sprząta? – Pfff – dodałam ciszej, już dla siebie. Na pocieszenie.

– Miałaś jakieś większe remonty zaczynać... – kontynuowała wywiad rodzinny Aga.

– Tak, będę robić kilka rzeczy: podłogę, kominek, nowe tynki w pokojach, strukturalne chyba, ale jeszcze nie podjęłam decyzji – kłamałam niezrażona. I rozmarzona.

Zużywałam się w tej rodzinie, pompa mi od dawna siadała, ścisła, zaciskała, kręciło mi się w głowie, drętwiała ręka, a w nocy nawet bezdechy miałam. Powinnam się popłakać. W ten sposób pomagałam sobie. Płukałam smutek. Bardzo często. Wraz ze łzami uchodziły ze mnie emocje.

– No, mamusiu, widzisz, będzie robić. A ty martwisz się, że nie. Zupełnie niepotrzebnie. – Aga głaskała Krystę po ręce. Siedziały blisko siebie. I ta czułość... dotyk, bliskość... Krysta wyprostowana, wniebowzięta. Ja wprost przeciwnie, jak intruz. Nie patrzyły na mnie. A ja na nie tak.

– Przewieźć cię autem? – Siostra w końcu podniosła na mnie wzrok.

– Nie – bąknęłam, bo przypomniało mi się, że kiedyś zabić mnie nawet mogła, czy może chciała... Nie potrafiłam odczytać intencji. Bo nie wsiadłam jeszcze do auta, a ona ruszyła z piskiem, jakby powietrze wiozła. Nie chcę. Zresztą, co to znaczy „przewieźć”? Czy ja pierwszy raz widzę na oczy samochód? Czyli nie. Dziękuję. Przybrałam pozę wyrażającą opanowanie, a nawet flegmę. Chwilę tak wytrzymałam, a potem prędko wyszłam do kuchni. Zaczęłam kroić cebulę, młoda dużo bardziej drażni, z moich oczu potoczyły się łzy, wielkie strumienie. Kapały za kołnierzyk bluzki, kupionej dwa dni temu w ciucholandzie. Może i było ich za dużo, ale co tam, wreszcie poczułam ulgę. Powycierałam się w rękaw i wróciłam do pokoju.

Krysta stała przy oknie. Aga siedziała na sofie w drugiej części pokoju. Stałam obok matki i też wyjrzałam zza firanki. Tak zwany zięć, czyli mój szwagier, stał razem z Bogusiem na ulicy, nadal podziwiali cacko. Boguś obniżał sobie fotel, dopasowywał się do kierownicy. Krysta, patrząc na auto, nie kryła miłości i dumy, aż jej się nozdrza rozdymały. Przysunęłam się bliżej, chciałam dotknąć jej ręki, była po raz pierwszy od dawna uśmiechnięta. Ale ona wcale na mnie nie spojrzawszy, zaraz się odsunęła. Gwałtownie otworzyła okno i zaczęła krzyczeć:

– Halo, halo! Nie pozwól mu siadać do auta, bo ci zaraz coś zepsuje! Też coś! Nierób, pchać się będzie do takiego drogiego samochodu!

Może byłoby inaczej, gdybym była posłuszna, bardziej ufna? Doradzała mi, a ja brałam to za wyśmiewanie. Mówiła na przykład:

– Powinnaś zawsze iść pół kroku za mężem.

Albo:

– Ale nieudacznika sobie wzięłaś. To nie to, co mój mąż.

Westchnęłam. Wspomnienia przywołały mola, przyfrunął i natychmiast wżarł się w moją duszę. Wyszłam do kuchni i zaczęłam przygotowywać kolację. Wymyśliłam małe placki z poszatowanej piersi kurczaka, posiekanych pieczarek i zmielonej cebuli, oczywiście z jajkiem i obtoczone w tartej bułce. Wrzucałam je na głęboki olej, w drugim garnku gotowała się kapusta. Pachniało kminkiem.

Oczekiwałam pochwał, myślałam, że im nareszcie dogodzę. To znaczy – im też, ale przede wszystkim jej. Czyli matce. Wykrawałam ozdoby z papryki, pomidora, potem nawet z kiszzonego ogórka. Prawdziwe cacka! Dodałam nać pietruszki, połówki brzoskwiń i gruszek, cudnie to razem wyglądało. Cały dom pachniał smakowitościami, w duszy zaś ubolewałam, że następnego dnia wcześniej rano znowu muszę biec do pracy, a przecież wcale w ten weekend nie wypoczęłam.

Gotowe dania wносиłam w miskach i półmiskach, biegałam, żeby nie wystygły, aż zahaczyłam kapciem o brzeg dywanu! Krysta prychnęła.

– Co tam masz do jedzenia? – Zajrzała do półmiska ze zrazikami. Machnęła ręką z rezygnacją i zrobiła pogardliwą minę, kąciki ust opuściła ku dołowi. Tę sztukę miała opanowaną od zawsze. Gdyby mnie ktoś zapytał, jak z dzieciństwa pamiętam swoją matkę, odparłabym bez wahania: tęgą, odpoczywającą, złą na mnie. I że mnie nie kochała.

– A pies coś dostał? – zapytała, wbijając widelec w największy ze zrazów. Skosztowała.

Boguś głośno siorbał herbatę, usta wycierał węgierskimi serwetkami z wytłaczanej bibułki, które kupiłam z myślą o spotkaniu z Krzyśkiem i Kaśką. Potem wyciągnął łyżeczkę i zaczął ją wycierać następną śliczną węgierską serwetką. Zmiętą rzucił na podłogę. Już drugą! Aga też piła herbatę. Łyżeczką o mało nie wybiła sobie oka. Posrebrzany trzonek sztuczca pozostawionego w duraleksowym kubku poruszał jej gęste, wyszczotkowane i podkreścone zalotką rzęsy. Nie chciała pić z mojej porcelany, wołała zastawę Krysty, żeby się znowu, kurde, przypodobać! Szwagier przeglądał książeczkę o marce Volvo.

– To wszystko jest strasznie przesolone! Nic z tego nie będę jadła! – Krysta głośno odsunęła talerz.

Wyprowadzony tym stwierdzeniem z równowagi Boguś równie dynamicznie odsunął filiżankę z herbatą. Kilka kropel rozlało się na obrus. I znowu sięgał do serwetnika!

– Ręką zetrzyj, szkoda serwetki! – Nie wytrzymałam.

– Ty zawsze wszystko musisz spieszyć! Szaki, Szaki! Psa mi też zagłodzą! – wykrzykiwała swoje rytualne bzdury Krysta.

Aga się uśmiechała, siedząc, jak zawsze, nieruchomo. Raził mnie ten jej przyklepiony uśmieszek, przeciwwaga do niemych oczu! Płaski, drobiowo-pieczarkowo-cebulowy kotlet z talerza Krysty lądował na dywanie. Obok spadła rozetka z pomidora. A przeżarta psina klapnęła obok ochłapu, łypiąc na mnie okiem, i zaczęła warczeć.

## *Podchody przyczajonego rysia*

Minęły ze dwa tygodnie. Ślicznie się na świecie zrobiło, tak majowo. Kwitły grusze i jabłonie. Morela nie zmarła tego roku, dużo owoców się pozawiazywało. Będzie morelowka i może kilkanaście słoików dżemu. Parę razy posiedziałam sobie na leżaku.

Kiedyś... w ogrodzie pod pergolą z piernikowym dachem (senior Kędziora ją tak nazywał, mówił, że jest jak z bajki) zleciłam stolarzowi wybudowanie i zainstalowanie stołu, który pomieściłby ze dwa tuziny ludzi. W planach miałam jeszcze budowę grilla tak wielkiego, żeby móc upiec na raz prosiaka wielkości malucha. Cały byłby z kamienia. Rodzina mogłaby się zbierać, spędzać tam wolny czas, jeść, grillować, rozmawiać. Może nawet wypić wspólnie piwo czy wino, albo nalewkę mojej produkcji. A niechby i wypić za dużo! Marzyłam o rodzinnych biesiadach, o rozmowach, ba, nawet o sprzeczkach. A siedziałam tam sama. Nie obchodziłam nikogo, nikt za mną nie tęsknił.

Dlatego posadziłam w trawie drewnianego dziada. Kupiłam go na aukcji.

Od tafli oczka wodnego odbijało się słońce, pływały trzy czerwone rybki, ścigały się pomiędzy tatarakiem. Mlaskały. Albo wyskakiwały ponad tafelę wody, jak delfiny. Otwierały pyszczki, by połknąć kolorową karmę o kształcie kulek. Patrzyłam to na rybki, to na drewnianego starca, to na ogród. Myślałam, że sadzonek truskawek trzeba dokupić, a na jesień grzybnię kani i pieczarek. Pod sosnami nawet i maślaki by się sprawdziły. Marzyłam i się relaksowałam. Mogłam tak siedzieć godzinami. Ja plus myśli. Albo myśli moje i ja, bo czasem i one nade mną dominowały.

Tego dnia posiedziałam niedługo, bo cuchnęło. To któraś z wdów podlała pewnie swój ogród fekaliami. Że niby pomidory i zielony groszek tak użyźniane szybciej rosną. Może i tak, na pewno można w ten sposób pomyśleć, ale pod warunkiem, że podczas konsumpcji się zapomni, czym te biedne roślinki pojono w okresie wzrostu!

W firmie też nastał czas względnego spokoju, banki nie potrzebowały żadnych zestawień, wierzyciele ucichli. Wiosna, proszę państwa, wiosna!

Był wczesny poniedziałkowy poranek, do mojego pokoju wpadła Gośka. Nie lubiłam tej dziewczyny. Była ładna, młoda, karzełkowata i głupia. Poza tym miała krótkie i masywne nogi, a eksponowała je, jakby była Joanną Krupą. Uważała się za jedyny filar firmy.

– Widziała pani, jakiego wachała ma dzisiaj Czesia?

– E tam, niech sobie ma. – Wzruszyłam ramionami. Nie interesowały mnie sensacje z nudów, z ciasnych horyzontów myślenia. Owłosienie, tusza, ubiór, zasobność. Te, często podlegające ocenie walory, wady bądź cechy człowieka, nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Nie szukałam sensacji. A może uciekałam od porównań?

– Aż razi ten wachał.

– E tam. Nie zauważyłam. Więc chyba nie jest tak źle...

– Niech się pani dobrze przyjrzy, z takim wyglądem to na tych swoich portalach randkowych może tylko baby szukać. Błeeee.

Lubiłam, gdy w firmie było spokojnie. Gośka wyszła, i zaraz zajrzał Jęchorek, zaprosił mnie do pokoju narad.

– Pani Beciu, Rafał chciał z panią porozmawiać, ale powiedziałem mu, że będzie



lepiej, jeśli ja to powiem... Bo wie pani... – Jęchorek się zawahał. – Musimy oddać większość spraw poza firmę. Rafał znalazł dwie, które zgodziły się pomóc, jedna podatkowa, zresztą bardzo nowoczesna, a druga obsługuje firmy w zakresie sprzątanania, a także administrowania biurem i nieruchomościami. Przejęłyby też czynności, które do tej pory pani wykonywała...

Sparaliżowało mnie. Od razu poczułam, że nie mam lewej strony ciała. Czyli co? Mam teraz sobie spadać, tak? Usiłowałam myśleć resztką przytomnej części mózgu. Ale mnie urządzili! Na własną prośbę! Już dawno tak bardzo nie bałam się o egzystencję, przyszłość zwyczajnego bytu. Robiło mi się na przemian ciepło i zimno. Ciemno i jasno. Ciasno i luźno. Czułam się jak miazga, gnieciona na żywca rękoma w białych rękawiczkach. Gnieciona, bo się nie nadawała. Bo się znudziła, bo była błeee.

– Jedną i drugą firmą zarządzają mężczyźni, nie chcieliśmy kobiet – tłumaczył się Jęchorek. W moich oczach tymczasem coraz bardziej się pograżał. – Sama pani rozumie, teraz są takie czasy, że lepiej, jeśli w firmie pozostaje tylko działalność tak zwana operacyjna. Zresztą z kilkoma innymi osobami będziemy musieli się, niestety, pożegnać. Panią widzielibyśmy na bardzo ważnym stanowisku, w istocie najważniejszym w firmie. Byłaby pani koordynatorem naszych wszystkich poczynań. Nadzorowałaby pani te firmy zewnętrzne, będzie pani miała wgląd w ich systemy. To bardzo ważne czynności. Sama pani mówiła, że Mieteks trzeba zreformować. To jest awans, pani Beciu! Serdecznie gratuluję! – Starał się mnie nie urazić. A może tylko sprytnie spacyfikować ewentualny odwet?

O nieba! Oby tylko nie włączył mi się na czole tekstowy wyświetlacz myśli! Ratunku! Co on mówi?! Nie czułam żadnej ulgi, byłam pełna podejrzeń, spiskowa teoria opanowała moje myśli, wiedziałam, że to dopiero początek zagrywek.

Odtąd nie wierzyłam już w żadne jego słowo. Od razu zawładnęła mną mania prześladowcza, kobieca, jakby okołomenstruacyjna. Albo intuicja. Od jakiegoś czasu czułam, że za moimi plecami odbywają się podchody przyczajonego rysia. Że nowy prezes, z mojej poręki, odbywa tajne rozmowy z firmami działającymi w mojej branży na rynku outsourcingowym. Dobrze, że nie przyodział się na tę okazję w maskującą panterkę. Wydawało mu się, że nic nie widzę, nic nie słyszę ani nic nie czuję. Że nic nie rozumiem! Tego, jako odmieniec płciowy o szowinistycznych przekonaniach, musiał być pewien. Pewnie myślał, że zachowuje się elegancko, bo knując za czyimiś plecami, nie robi nikomu krzywdy, a zwrot „cięcie kosztów” z mety go wytłumaczy? Tak jak tłumaczy każdą ludzką pokrętność.

Ryś zarządzania zasobami ludzkimi! O nie, niech tnie na sobie! Albo na tych leniach, którzy nic nie wiedzą ani nic nie robią. Tak zwanych kolesiach. Kolesiach spółki oczywiście. Przecież ja mogłabym jeszcze bardzo długo robić w tej firmie to, co do tej pory. Nie czułam się znudzona. Modne pojęcie „wypalenie” mnie nie dotyczyło. Lubiłam swoją pracę. Byłam konserwatywna i nie znosiłam zmian.

– Zastanowię się – powiedziałam spod opuszczonej głowy.

Niech nie myśli, że nie mam wyboru – kalkulowałam. Wydawało mi się, że tak powinnam to rozegrać, żeby nie dać po sobie niczego poznać.

– To będzie dla pani nowe wyzwanie. Firma potrzebuje pani wiedzy

i doświadczenia. Musieliśmy podjąć tę decyzję, bo tego od nas oczekiwał też nasz partner niemiecki.

W swoim pokoju, rozglądając się, czy nikt na mnie nie patrzy, łyknęłam tabletkę uspokajającą. A potem głóg, który stanął mi w gardle. Zaczęłam połykać go jak kaczka, krztusić się, wreszcie udało mi się odkręcić butelkę z wodą. Wzięłam łyka.

Sytuacja mnie przerosła. Patrzyłam w okno, z komina przemysłowej kotłowni leciał ciemny dym, po granatowym niebie przemykały burzowe chmury, zaczął wiać wiatr.

Cwaniak! Nie wiatr, oczywiście! Jeden z drugim. Jęchorek! Rafał! Palcami bębniłam po biurku. W ogóle się nie czułam. To awans poprzez wykop! Zaczynałam rozumieć, jak mógł czuć się kiedyś prezes geesu, „rzucany” do tak zwanego zjednoczenia za brak wyników na szczeblu niższym. Bałam się, że nie dam sobie rady na szerszym polu, że nie potrafię zarządzać, bo to przecież mało konkretne zajęcie. Że nie dla mnie.

Zielona trawa i kartony pod mostem stawały się coraz bardziej realne. Zaczęłam się zastanawiać, który most należałoby brać pod uwagę. Most Starołęcki jest duży, a Chwaliszewski bardzo uczęszczany, więc odpada. Najlepiej, gdyby był to „klimatyczny” most Rocha.

Poczułam, że z nadmiaru emocji kręci mi się w głowie.

#### Aukcja 34872978

Jeszcze z firmowego komputera weszłam na Allegro. W oko wpadł mi mały cynowy kubeczek na długopisy. Miał wytłaczane obrazki myśliwskie i ornamenty. Licytacja właśnie dobiegała końca. Odczekałam, aż zrobi się poniżej minuty do finiszu aukcji, podałam swoją cenę, dużo wyższą niż wszyscy.

Udało się! Wygrałam! Śliczny cynowy kubek był mój. Poweselałam nieco. Jak to mówią: mała rzecz, a cieszy.

## *Krzesany bez dzyndzla*

Całe popołudnie przeleżałam w łóżku. Najpierw przy dźwiękach *Krzesanego Killara*, potem przestawiłam się na jego równie podniosły *Exodus*. Nałożyłam słuchawki. To znaczy, chciałam nałożyć, ale tak niezgrabnie się oparłam, że pękł trzpień, na którym jedna z nich była osadzona. Muzyka płynęła w pełni tylko ze sprawnej słuchawki, drugą oparłam na uchu.

Pomyślałam, że jeśli się wali, to wszystko naraz.

– Nie możesz ciszej tego słuchać? Cała chata trzęsie się w posadach, znowu Kędziora będzie brzęczał, że płoszymy mu gołębie. – Boguś pojawił się w drzwiach pokoju z sobie tylko właściwym, prawie zupełnym luzem. Jego ciało mówiło: „Brak trosk”.

– Mamo, czego ty słuchasz? Depresji dostaniesz – wspomagał go Marcin. – Nie widzisz, że słuchawka dynda ci przy szyi?

– Bo jak można było osadzić ją na takim cienkim dzyndzlu?! Brak wyobraźni!

– Teraz ty kupujesz nowe – zawyrokował Marcin.

No tak. Tak by było elegancko. W końcu te popsute sam nabył za pierwsze zarobione przez siebie pieniądze.

– Boguś, to wszystko jest straszne! Życie moje staje się wielką niewiadomą. Nie wiem, co będzie dalej z moją pracą – wystękałam, odkładając słuchawki na stolik. Wprawdzie chciało mi się wyć, ale co tam! Nie teraz. Na to zawsze będzie czas.

– A co? Napyskowałaś im wreszcie?

– Ojciec! Nie obniżaj morale matce! Dawno już nie nawilżała źrenic.

– Przestańcie. Naprawdę może się za chwilę okazać, że nie będziemy mieli za co żyć. Nie mówiąc o spłacie kilku kart kredytowych. Masz pracę i banki wszelkimi siłami wciskają ci kasę, ale gdy tracisz stały dochód, to zaraz się o całość upomną. To akurat jest pewne. Gdybyście wiedzieli, jak ja się teraz czuję...

W swej samotności byłam podobna do orlicy. No dosłownie! Czy jednak wypadało mi porównywać się do tak szlachetnego ptaka? Powinnam chyba z tego miejsca przeprosić orlicę. No to przepraszam.

– O, widzę już to mokre coś w oczach mamy... Ojciec, się nie zagalopuj.

– Najwyższy czas, żeby zrozumiała coś z tego świata. Beta, posłuchaj! Przecież cię awansowali. Po co znowu rozmieniasz całą sytuację na drobne? Nie mogłabyś żyć bez ciągłego wyszukiwania sobie problemów. Skowyt męczennicy wydajesz. Kup sobie pukawkę czołową i przestań! Ciesz się, nie gderaj. W ogóle życzę nam kufeczka stóweczek, więc się nie maź! Słuchaj, czy pies dostał? Bo coś tak smętnie wygląda.

Westchnęłam ciężko. Co mnie tam pies?...

Na ścianie nad kanapą szła olbrzymia czarna tarantula. Wylazła! Znowu! Patrzyłam, jak przebiera tymi swoimi włochatymi nogami, grubymi niczym igły do szaszłyka. Gdzieś te ohydy muszą mieć swoje gniazdo. Pewnie w piwnicy! Albo za kanapą, której nikt od dziesięciu lat nie odsuwał. Nie znoszę pajaków, brzydzę się i nie tylko, boję nawet, a te były nad wyraz żwawe. Zasuwały po ścianie, że nadażyć za nimi

nie można. A jeśli w nocy po mnie łożą?! Okropieństwo.

Przyczaiłam się, a potem psiknęłam w obrzydliwca lakierem do włosów. To był domowy patent, mocne lakiery do włosów stały wszędzie: przy fotelu, obok łóżka, w kuchni, a nawet w przedpokoju. No i w łazience, tam przede wszystkim. Ufff. Czarny, owłosiony stwór zastygł i odpadł ze ściany. Schyliłam się nad kanapą, żeby nabrać trupa na kartkę papieru. I wtedy się to stało! Poczułam porażające ukłucie. W co? Wstyd powiedzieć. W najbardziej wrażliwe miejsce.

Co się dzieje?! Tak jakby poraził mnie prąd. Poderwałam się z kanapy. Masowałam tyłek. To mi dało jakąś ulgę. No nie! Pod palcami, w spodniach, wyczułam dziurę. Takie dobre spodnie! Z welenki. W takich oto okolicznościach pękła jedna ze sprężyn w kanapie.

– No i jeszcze się blokujesz? Posłuchaj mnie w końcu. Uważam, że już dawno powinnaś napyskować Babci, a potem tym swoim kapitalistycznym wyzyskiwaczom. Kurde, ty naprawdę masz bardzo słabą psychikę! Jest ci u nich źle, mów. Mało ci płacą, mów. A nawet krzycz.

– Akurat. To teoria. Boguś, to tylko teoria.

– I dobrze, bo teoria jest podwaliną pod czyny. Pamiętaj! W każdym z nas jest godność lidera... Beta! Mówię do ciebie! Co tam zobaczyłaś na tej kanapie, że tak patrzysz i patrzysz?

– Nic. Kolejny dowód na naszą bylejakość.

## *Uściski mdłych rąk*

– Czyli co ja teraz mam właściwie w tej firmie robić? – Po weekendzie (i po indoktrynacji Bogusia, dodajmy) odważyłam się i zadałam to pytanie świeżo mianowanemu prezesowi.

– Tak jak mówiliśmy, na pewno w rachubę wchodzi wszystkie nieprodukcyjne działy. Które? To pani wie. Musimy się zabrać za wynik na działalności. Umówmy się, przychody na pewno nie wzrosną, czyli musimy ciąć wydatki. Koszty pracy są za duże. Trzeba, kurwa, zwolnić wszystkich, którzy zarabiają powyżej tysiąca osiemset na łapę. Znajdą się chłopcy i dziewczynki za tysiąc z obejściem umowy o pracę.

Reforma, żalodne. Przyjmiemy stado małych sierściuchów. No, fajnie się robi – pomyślałam. – Jak nic, wywali mnie, cwaniaczek jeden. Po raz pierwszy w swoim zawodowym życiu byłam zmartwiona, że zarabiam dużo więcej niż tysiąc osiemset. Na trzech wiecznie głodnych w chacie i wszystkie opłaty. Dlaczego znowu wychyliłeś łba, zagmatwany ludzki losie? Przykleiłeś się do mnie na zawsze? I pomyśleć, że to ja zasugerowałam Jęchorkowi Rafała jako prezesa... Znalazła się matka sukcesu firmy!

– Panie Rafale... Prezesie – poprawiłam się szybko. – Wynagrodzenia i wynikające z nich obciążenia to zaledwie jedna trzecia kosztów w ogóle.

Wybudowali hale jak monumenty, ze ślepymi piętami, bo nie było pomysłu na zagospodarowanie, podczas gdy wszyscy gnieździliśmy się w kilku zatłoczonych pokoikach. Kupowali maszyny, mówili, że wszystko mają wyliczone. Że to działalność niszowa i w ogóle sam cud-miód, więc już zaraz, za chwileczkę niewielką, strumieniami będą na konto firmy wpływać pieniądze. Tak było kilka lat temu, wiem to, mam bardzo dobrą pamięć! On też z notatnikiem pod pachą chodził po firmie i nadzorował prace, a teraz gryzie ten swój zielony długopis.

– Potrzebuję osoby, która by mnie wspomogła, bo ja muszę poświęcić się kontaktom z klientami. Rozmowy, spotkania i te rzeczy, co ci mam tłumaczyć. – Popatrzył na mnie. – Poza tym sama musisz się wpasować w nową sytuację, żeby za rok nie okazało się, kurwa, że ta praca nie daje ci satysfakcji. I będziesz chciała odejść... Bo przecież na pewno monitorujesz rynek pracy.

Monitoruję rynek pracy! Dobre sobie. Powiem, że nie, to mnie wywali, powiem, że tak, to samo, bo nie będzie miał wyrzutów sumienia. Skoro szuka, to sama jest sobie winna... A jeśli nie szuka, to musi być głupia...

– Trzeba zrobić nowy schemat organizacyjny, spłaszczyć strukturę organizacyjną, bo ta obecna, kurwa, jest zbyt mocno rozbudowana. Tutaj widzę dla ciebie zadanie. Najlepiej zajmij się tym od razu. Ja jutro na parę dni wyjeżdżam, więc bardziej szczegółowo porozmawiamy po powrocie. To do zobaczenia.

Uśmiechając się krzywo, wyciągnął w moją stronę rękę, w dziwny i absolutnie nietypowy sposób unikającą dotyku. Zawsze tak było. Bo na początku kierował ją w moją stronę w miarę zdecydowanie, ale kilkanaście czy kilkadziesiąt centymetrów przed hipotetycznym punktem styku jego dłoń nagle wytracała prędkość, zatrzymywała się, trwała chwilę w zawieszeniu, równoległe do mojej, niespokojnej w oczekiwaniu na

następny ruch... Po czym dotykała lekko i natychmiast, jakby rażona prądem, wycofywała się w rejon kieszeni jego spodni. I nigdy nie wiedziałam, czy przywitaliśmy się już, czy jeszcze nie, tak wielkie podekscytowanie z mojej strony towarzyszyło tym czynnościom.

Dzisiejsza rozmowa nic mi nie dała. Nie wiedziałam, na czym stoję, ani nawet czy w ogóle stoję. Byłam w zawieszeniu niczym pierniczek na choince.

Gryzoni generalnie nie znoszę, szczególnie myszy, ale mysie dziury tak. Marzyłam o dużej, śmierdzącej myszami dziurze.

I bardzo chciałabym móc się w niej zmieścić.

### Aukcja 371356821

Wpadłam do swojego pokoju. Było po szesnastej, ale włączyłam jeszcze firmowy laptop i weszłam na kończące się aukcje. Wpadła mi w oko mosiężna wygaszaczka świec, kosztowała niewiele ponad dwadzieścia złotych. Była przepięknie rzeźbiona i miała maleńki uchwyt w kształcie łezki. Dzięki zakupowi – muszę to przyznać – humor mi się nieco poprawił.

## *Mój malutki Marcinek*

Cierpiałam na bezsenność, ale tej nocy musiałam chyba się zdrzemnąć, choć nie wiem tego na pewno. Dość, że nagle usiadłam na łóżku w panice. Nie powinnam, nie wolno mi teraz zapalać lampki – upominałam samą siebie – bo co się stanie, jeśli oni odkryją, że znowu miałam makabryczne sny? Jako domowa instytucja, wstydziłam się swej słabości. To nic, że moje serce waliło jak młot pneumatyczny po betonie, to nic, że w ręce trzymałam wypowiedzenie, bez obowiązku świadczenia pracy. To nic? Nie! To przecież było dla mnie o wiele za dużo! Co robić?

Zebrać myśli, miałam jeszcze trochę czasu. Trzy miechy, mamó – powiedziałyby Marcin. Odkładałam wypowiedzenie na stół. Odkładałam... a w zasadzie miałam zamiar odłożyć, kiedy zaczęło do mnie docierać, że oto jestem w domu, w koszuli nocnej w błękitne kwiatki, w łóżku, pod własną kołdrą, i słyszę spokojne pochrapywanie Bogusia. Wyświetlacz na budziku pokazywał trzecią nad ranem.

Wiem, co mnie przstraszyło! To moja rozbuchana podświadomość! Marcin poszedł z grupą świętować zaliczenie z technik sprzedaży i do tej pory jeszcze nie wrócił, a zapewniał mnie, że najpóźniej o pierwszej będzie w domu! Musiało się coś stać!

Już trzeci raz wybierałam jego numer, znów nikt się nie zgłosił. Z nerwów, po raz trzeci tej nocy, zachciało mi się do łazienki. Kiedy wrócę, zadzwonię do Jarka i innych kolegów Marcina. Na wszelki wypadek wszystkie potrzebne numery miałam w swojej komórce. Zawsze tak robiłam. Do jego byłej dziewczyny też zatelefonuję, co tam... Może jest u niej, na pewno się pogodzili, ostatecznie nie była taka zła. Że też wcześniej na to nie wpadłam! – myślałam w drodze do toalety.

Chrrrr! – dało się słyszeć zza drzwi pokoju Marcina. To znowu Szaki musiał wleźć do łóżka Marcina! Zmyślna bestia, bezczelny jak niejeden człowiek! Tak nie będzie, że odczeka, aż zwolni się miejsce na kanapie, i hops! – narzekałam w myślach, wchodząc po omacku do pokoju syna.

– Szaki, złaż! – świszczalałam szeptem, ręką potrząsając kudłatym ciałem psa, panoszącego się na nieswoim posłaniu. Wyczułam, że jeszcze jakimś dziwnym trafem udało mu się wleźć pod kołdrę! Tego już było za wiele! Jutro porozmawiam z jego właścicielką! – myślałam, ze złością patrząc na drzwi od pokoju Krysty.

– Mamó, co ty wyprawiasz?! Jest noc!

Czyli to nie Szaki?! To Marcin! Mój malutki Marcinek! A więc nic mu się nie stało! Jest we własnym domku, śpi sobie smacznie, niech śpi! Jego głos wydał mi się teraz najpiękniejszy na świecie. Zachciało mi się tańczyć z tej ulgi po „cudownym” odnalezieniu się Marcina.

– Nic, nic. Śpij, syneczku. Myślałam, że to Szaki.

– Taaa, a w twoim pokoju zamiast ojca, w jego łóżku śpi babcia, najlepiej od razu to namacalnie sprawdź. Co za wariactwo! – wymruczał, przekręcając się na drugi bok na trzeszczącej kanapie.

Koniecznienie muszę mu kupić nowy tapczan – myślałam, wracając do swojego pokoju. – Nowoczesny i wygodny, nie może mój synek spać na takim rupieciu, będzie się

potem – jak ja – swojego domu i rodziny wstydził!

Drzwi od centrum zarządzania otwarły się z hukiem, z autentycznym hukiem, bo znad ościeżnicy odpadł kawał tynku. Betonowy kłopot spadł na podłogę, Krysta go kopnęła, filcowy kapeć poszybował w moją stronę. Zobaczyła mnie, zanim zdążyłam uciec. Popukała się po czole.

– Co to za łażenie po nocach?! Porządni ludzie śpią, a nie jak te łajzy. U Agi już o dwudziestej drugiej wszyscy są w łózkach, a ci potem za dnia siły na nic nie mają, to i dorobić się niczego nie mogli! Na moim garnuszku tylko siedzą!

Wkurzyłam się, ale objawy miałam, jakbym się wystraszyła. Waliło mi serce. Chciałam coś powiedzieć o tym garnuszku. Powinnam, ale nie mogłam, bo przecież to starsza osoba. Babcia Krysta, Krysta, Babcia, a raczej Matka. Moja Matka.

Wpadłam do swojego pokoju, do uszu włożyłam stopery, zjadłam dwie pastylki głogu, ale kręciłam się w łóżku. Potem musiałam jednak zasnąć, czy to z radości, że Marcin się odnalazł, czy może ze strachu przed Krystą. Nie wiem, który z tych powodów zadziałał najbardziej nasennie. Spałam znakomicie.

Rano budziki zerwały mnie na równe nogi. Połknęłam letrox, dałam łyka wody, po półgodzinie beta-bloker, witaminę B i magnez. Popiłam.

Spojrzałam na śpiącego Bogdana.

Bardzo często z wielkim trudem trzymałam przy nim nerwy na wodzy. Widząc jego tępe spojrzenie, gdy o coś prosiłam, też miałam problem z panowaniem nad sobą. Mimo że miałam go dość, nie myślałam o rozstaniu, ciążył na mnie rodzinny przekaz o życiu razem, na dobre i złe. Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek w bliższej lub dalszej rodzinie kiedykolwiek wziął rozwód. Byłam uwikłana w surową doktrynę. Po śmierci ojca, gdy zamieszkałam z Krystą, a Boguś został jeszcze w starym mieszkaniu, ta mi często wytykała:

– Ciebie nawet twój własny chłop zostawił. Taki nieudacznik, a zostawił!

Gdy pierwszy raz mnie wyśmiewała, zaczęłam płakać i błagać, żeby mnie nie raniła, ale ona się śmiała, coraz głośniejsze, i mierzyła we mnie palcem.

– Zostawił, zostawił – powtarzała, leżąc na kanapie.

– To nieprawda! Nie zostawił, ale nie chce tutaj na razie przyjeżdżać. Nie może! Nie mów tak do mnie, błagam! – Klęczałam przed jej kanapą.

Wtedy wyznaczyła dla mnie miejsce w tym domu.

– Czyli zostawił, bo jesteś nieudana – reasumowała z miną lady Makbet.

Krysta od Antychrysta!

Potem z walki o swoją tożsamość w tym domu zrezygnowałam. Nie klękałam więcej. Nie błagałam o nic. Trudno jest przekonać do siebie kogoś pełnego pogardy. Ucieszyłam się, gdy Boguś w końcu przyjechał. Udowodniłam jej, że mnie jednak nie zostawił!



## *Posłuszne komputery*

Pod koniec maja postanowiłam znaleźć sobie jakąś pasję, miejsca ucieczek albo skuteczne antydepresanty czy coś w tym stylu... Zacząć tworzyć swoją historię, samej sobie coś opowiedzieć. W laptopie wgrałam nowszego Worda, powyrzucałam tony zdjęć, te ważne przegrałam na płyty. Boguś nie chciał ze mną rozmawiać, podobno mówiłam bez ładu i składu. Starszy syn i synowa, ponieważ mieszkali w innym mieście, w odpowiedzi na moje e-maile z pytaniami w rodzaju: „Syneczku, czy wszystko dobrze, bo się martwię?”, milczeli albo ślali lakoniczną wiadomość: „OK, mammo, dajemy radę”.

– To kiedy przyjdziecie? – dopytywałam się niecierpliwie.

– Mamka, jeszcze nie wiemy, ale już gotuj pierogi.

Muszę się przyznać do następnej swojej słabości, a mam ich całą masę. Ta polega na tym, że nauczyłam się żyć z rozczarowaniami. Jeśli ktoś mi coś obieca, wystarczy, że pomyślę, iż nie dotrzyma słowa, a wówczas – jeśli tak się zdarzy – przykrość nie boli. Prosty rachunek oparty na latach prób na własnej psychice, ale wykorzystywałam go również do wielu innych dotkliwości. Myślałam na przykład, że to nie ja wzięłam sobie Kaśkę za synową, ja tylko Bogusia... sobie wzięłam... Tylko...?

Dlaczego nie uśmiechałam się bardziej do Janusza?! Jego żona już dwudziesty rok puszy się w najnowszym modelu audi i nie wydaje mi się, żeby Janusz na tym poprzestał, choć ona wcale nie jest młodsza ode mnie.

– Nie rób ze mnie maminsynka – warknął do mnie dzisiaj Marcin, kiedy zapytałam go, czy jeszcze bardzo cierpi po odejściu Asi. Bo jeśli tak, to przyrządziłabym mu smakowite jedzonko albo pogadaliśmy o nim. O jego emocjach. Asię też moglibyśmy obgadać. Że najpewniej głupia jest, skoro go tak źle potraktowała! Gdyby tylko chciał pogadać... Marzyłam, żeby chciał...

Ale znów się zawiodłam. Nie chciał.

„Z tobą nie można normalnie pogadać” – mawiała już w dzieciństwie moja matka, już wówczas największy rodzinny strateg. Już wtedy Krysta od Antychrysta! Zresztą, czy w ogóle warto rozprawiać o ciuchach, aktorach i wszystkich tych plotkach z kolorowych gazet pod tytułem: „kto z kim”?! To nie jest prawdziwe życie. Prawda jest w nas, w tym, co tworzymy. To jest wartość.

– To, że ludzie nie mają pracy, to jest tylko i wyłącznie ich wina. Ja i mój mąż zawsze ją mieliśmy – dowodziła ostatnio, negując tym samym zapieklenie się Bogusia w chronicznym już bezrobociu.

– Nie mów tak, bo jednak nie dla wszystkich miejsc pracy wystarcza. Siłą rzeczy zawsze znajdzie się grupa, która nie będzie jej miała. Za waszych czasów wszyscy pracowali, więc to oczywiste, że i wy też. Zresztą, patrzmy na dokonania, a one były żadne, jak to w socjalizmie – polemizowałam.

Co mnie znowu, do diabła, podkusiło, żeby prezentować swoje zdanie? Czy rzeczywiście to było moje zdanie? Bo wolałabym, żeby bezrobocie przytrafiło się komuś innemu, a nie akurat Bogdanowi. Niechby inni sobie go doświadczyli, nie tylko my. Ze mną w ogóle działy się dziwne rzeczy. Gdy Krysta krytykowała mojego Bogusia,

stawałam w jego obronie, nawet sprzedając swój prawdziwy pogląd, jak wtedy. Bo miała rację. Ale przecież w ten sposób znowu negowała moje życie! Znowu z nas szydziła, w moim odczuciu.

– Mnie zarzucać brak dokonań! I to kto?! Z Agusią jest mi dużo lepiej, Agusia zawsze ma dla mnie dobre słowo, od dziecka tak było. A gdy się urodziła, to tak na nią spojrzelaś... Tak spojrzelaś, jakbyś zabić chciała... – powiedziała i wyszła obrażona.

– Pięć lat wtedy miałam...

Tego już nie usłyszała.

– Beta, zastanów się, ty od razu każdego zagnałabyś do pokoju zwierzeń. Nie bądź taka konkretna, uogólniaj, zmyślaj, mów, co chcą usłyszeć. Wyłącznie. A to, jaka jest prawda, bardzo głęboko schowaj w swojej głowie. A zresztą! Jeśli nie masz z kim rozmawiać, to pisz – rzucił zza gazety Boguś.

Też wymyślił. Co mam pisać? O czym? Dla kogo? Do kogo? – zastanawiałam się.

A gdyby tak zapisywać marzenia? Albo to, co komuś chciałabym powiedzieć? Za tego kogoś mogłabym od razu odpowiadać, i to tak, jak by mi się podobało. Polemistów wokół mam w bród. Komputer jednak jest bardziej posłuszny i nigdy nie był w stosunku do mnie polemicznie nastawiony.

Kocham mój posłuszny komputer – pomyślałam. Boguś mnie zainspirował, to fakt. Od tamtej rozmowy siadałam wieczorem koło okna, laptop stawiałam na parapecie.

Okno jest przepustką do świata innego niż nasz. Zawsze bardzo lubiłam uczestniczyć w życiu sąsiadów. Podglądałam kilkunastoosobową rodzinę Kędziorów siadającą do kolacji. Zawsze o tej samej porze. O dziewiętnastej. Nigdy wcześniej ani później. Stół jest nakryty kolorowym obrusem w kwiaty, chyba lnianym. Sama nie lubię takiej pstrokacizny, ale u nich podoba mi się wszystko. Kilkuletnie wnuczki sadowią się obok dziadków, dalej córki z mężami. Chleb rwą palcami, moczą w mleku albo w oliwie. Całą godzinę trwa ich ucztą. Nikt nie połyka kęsów w biegu, absolutnie, w żadnym stopniu nie czuć pośpiechu, nikogo nie ciągnie przed telewizor, widocznie wieści ze świata są dla nich nieważne, podobnie jak i prognoza pogody. Senior Kędziora pochwalił się kiedyś, że w domu mają własny barometr.

Chciałam, żeby i w moim domu było podobnie. Stary, drewniany barometr już nawet kupiłam. Na aukcji, oczywiście.

Marcin nie pozwalał mi siadać w swoim pokoju, zarzucał mi, że mu grzebię w biurku. To prawda, kiedyś szukałam baterii i znalazłam zdjęcie jego z dziewczyną. Stali na kamiennej uliczce prowadzącej do rynku w Dubrowniku, cali w bieli, wymuskani słońcem. Mój Marcinek i Kinga. Ta dziewczyna to też już przeszłość, ale ja czasem wracam do przeszłości, zastanawiam się, co by było, gdyby...

Lubię pokój Marcina. To nic, że jest mautki, to nic, że tuż przy drzwiach wejściowych, zupełnie jak stróżówka. Ma dwa okna. Z jednego widzę dom Kędziorów, a z drugiego inny dom, niewielki, biały, z dużym trawiastym ogrodem.

Jakieś półtora roku temu sprowadzili się do niego bardzo sympatyczni ludzie, małżeństwo. Młodziutka sąsiadka spodziewa się dziecka. To piękny stan. Oczekiwanie małego człowieka, rozpychającego się łapczkami w brzuchu matki, jest największym cudem życia. Ta sąsiadka na tyłach swojego ogrodu, pomiędzy brzozą

a klonem, często pod wieczór tańczy. Wcześniej też tańczyła, nie tylko, gdy jest w ciąży. Latem i wiosną na trawniku, jesienią na błotnym ugorze, zimą na śniegu. Czasem towarzyszy jej mąż. Bardzo lubię na nich patrzeć. Wyczekuję w oknie nawet z godzinę, czasem odchodzę zawiedziona, ale kiedy już są, nie potrafię odejść od okna, chcę, żeby tańczyli do zmroku, jak najdłużej. Dziewczyna jest lekka, stąpa z wielkim wyczuciem i ręce ma pięknie ułożone na pośladkach męża. To czysta erotyka, bez udziwnień. Potem mąż zabiera żonę na ręce i wnosi do domu. Wzruszający są, tacy... mgielni, eteryczni.

Oni tańczą również dla mnie, to wiem. Gdy spektakl dobiega końca, wracam do swojego salonu dla ubogich i podchodzę do regału. Na półce poustawiałam zdjęcia synów, oba oprawione w równe, złote ramki, a oni... tacy przystojni, piękni. Krzyś ma ciemne, kręcone włosy, a Marcin jasne, też kręcone. Całuję ich podobizny przez szybki. Pomiędzy ramkami stawiam flakony z perfumami. Wszystko, co luksusowe, jest na tej półce właśnie. Perfumy to moja słabość, zawsze mam kilka, ale używam bardzo rzadko. Ja wiem, to do mnie nie pasuje, a tutaj taka fanaberia!

Najważniejszy jest *Mademoiselle Coco*. *The one* też lubię, albo *Eternity* Calvina Kleina latem, ale zachwyam się wyłącznie tamtym. *Mademoiselle Coco* jest cudny, luksusowy, ostatnio psiknęłam się nim, gdy odwiedzili nas Krzyś z Kaśką.

Malinowa Trufla pisze:

*Jak zapisać miłość? Jak podzielić się szczęściem? Nie każdemu jest ono dane, to już wiem. Zaczynam pisać tego bloga, żeby pochwalić każdy dzień. To znaczy ten, który tego wymaga.*

*Nie jestem niezwykła. Dzisiaj postanowiłam posadzić astry i lilie, poszli sobie już zimni ogrodnicy, razem z zimną Zośką. Moje irysy już pączki dostały, tak samo rododendrony, chociaż to inny gatunek i czego innego wymaga... Gleby innej. Mam rękę do kwiatów, rosną jak na zawołanie. Takie to – bardzo prozaiczne, ale jednocześnie piękne czynności mam dzisiaj za sobą.*

## *Nie wyrażam zgody na klimakterium!*

Następnego dnia od rana szukałam w firmie prezesa. Planowaliśmy pojechać do banku, żeby porozmawiać o kredycie. Ponieważ nie odbierał telefonów, zbiegłam do działu sprzedaży. Przez wielkie szklane drzwi widać było doskonale, że jest i właśnie robi odprawę. Gestykulował. W jednej dłoni zielenił mu się wielki, poobgryzany długopis, w drugiej zauważyłam niezapalonego papierosa. Nałogowiec. Wsadziłam głowę do pokoju.

Spojrzał na mnie jak na intruza. Palcem popukałam w zegarek, że przecież jesteśmy umówieni.

– O kurwa, zapomniałem! Już się zbieram!

– Dzień dobry wszystkim – rzuciłam w głąb sali.

– Dzień dobry – bąknęli niektórzy, choć właściwiej byłoby stwierdzić: nieliczni.

Moje pojawienie się nie zrobiło wrażenia na kolegach zaabsorbowanych zajęciami, powiedzmy, służbowymi. Nawet nie oderwali głów od komputerów. Przyzwyczaiałam się już do tego. Bernard z wypiekami na twarzy klapnął na siedzenie i udawał, że szuka czegoś w segregatorze. Fredek machnął ręką, nie patrząc w moją stronę. Licytował na aukcji. Skąd on ma na to wszystko pieniądze?! Ha! Behapowiec oglądał makabryczne zdjęcia wypadków przy pracy. Patologia! Tomek i Gośka mieli na ekranach komputerów włączony program z podglądem terenu i co jakiś czas monitorowali, czy nie zbliża się Jęchorek. Gośka głośno waliła paluchami w klawiaturę, bo jak zwykle prowadziła ożywiony dialog na Gadu-Gadu. Że też jej te plastikowe pazury z czerwonymi serduszkami nie odpadną!

– Pani Beciu, co ja widzę? Ma pani nowe brwi! – pisnęła Czesia, która siedząc twarzą do drzwi, zawsze dużo widziała. Jedną rękę wzniosła w geście, że jest okej, kciukiem do góry, drugą przewijała zdjęcia starych grzybów na portalu randkowym. Zatrzymała się przy jednym. Był siwy, mały, a okulary zajmowały mu całą twarz. Ustawił się na tle nowego porszaka. Dźgnęła ekran palcem.

– Też coś! Widziałam go w realu! Siedział z zaciętą twarzą na ławce na poczie, potem zaczął się kłócić, a tu pisze, że dla niego dzień bez uśmiechu jest dniem straconym. Kłamliwy dupek! Kobieta musi się bardzo strzec, żeby w konfrontacji z tymi draniami wyjść choćby na zero. Ale brwi masz po zbóju!

Normalnie bym się roześmiała, ale wszyscy – jak na zawołanie – oderwali głowy od komputerów i zaczęli (przynajmniej tak mi się wydawało) rozpracowywać topografię mojej twarzy. Obecnie czerwonej jak nieoszukany przecier pomidorowy. Portal w komputerze Czesi nie wzbudził w nikim emocji, podobnie opowieść o ramolu z poczty. Miałam wrażenie, że wyłącznie mój wygląd wywołał nagle zainteresowanie. Zresztą sama Czesia też się śmiała perliście znad sterty poczty, którą miała do wpisania. A ja czułam, że muszę się natychmiast czymś ochłodzić, tak mi się zrobiło gorąco. Nie, to nie może być uderzenie klimakteryjne! Zresztą ja w ogóle nie zgadzam się na klimakterium!

Odwet! Odwet na Czesi wezmę na sto procent! Niech no tylko pojawi się okazja!

– Nie ma solidarności damskiej – zapowiedziałam, siląc się na złowieszczy ton.

Podeszłam i zajrzałam do jej komputera.

– A pani ma u mnie zarezerwowaną Babę Jagę. Muszę ją w końcu przynieść, bo w walce o to trofeum nikt inny nie ma szans. O, jaki towarek do schrupania! Świetny! Tak, ten jest przystojny, że też nie widziałam go wcześniej! Pewnie nowy. Szkoda tylko, że z Zielonej Góry, ale to przecież niedaleko... – Czesia nie odrywała wzroku od komputera.

– O kurczę! – wymsknęło mi się. Bo z ekranu patrzył na mnie, na Czesię też, i nawet się bielusieńko uśmiechał mój szwagier, mąż mojej siostry, Agi. I co najważniejsze, zięć Krysty! Stałam ze słowami, tym razem różnymi, na języku, a cisnęło mi się jeszcze wiele następnych!

– Kurczę nie kurczę, ale dobrze wypierzone. Przystojniaczek. Muszę do niego natychmiast napisać, bo potem zrobi się tłok, że się nie dopcham! Od razu swoje zdjęcie mu załączę, z plaży w Egipcie najlepiej. – Czesia miała w „de” biurową etykietę.

To jasne, że w takim stanie rzeczy zapomniałam o brwiach! Czerwieniłam się z jakiejś nieracjonalnej radości! Bo okazało się, że moja siostra wcale nie jest ideałem, skoro ją też własny chłop porzucił.

– Jedziemy, jedziemy – zawołał w tym momencie Rafał. – Bo znowu, kurwa, jesteśmy spóźnieni! Bacia, rozmawiałaś z naszym drogim Adasiem Królikiem?

– Nie znam żadnego Adasia Królika.

– To jeszcze, kurwa, z nim nie spałaś? – powiedział zbyt głośno, podśmiechując się pod nosem. To chyba miał być żart, ale w bardzo kiepskim stylu. Nowa, jaskrawa czerwień nałożyła mi się na tę wcześniejszą, spowodowaną brwiami. Poczulałam, że natychmiast muszę się powachlować.

– Ten z banku? Żurek się nazywa – sprostowałam speszona.

Pewnie wszyscy zauważyli moje zażenowanie. Swoją drogą, cóż za pytanie! Nie, nie spałam. Nie widać?

Z nikim nie sypiam.

Aukcja 14789456

Ależ byłam zdenerwowana! Czy podekscytowana?! Po powrocie z banku weszłam na Allegro. Szybko wypatrzyłam coś, co mnie wielce zainteresowało. *Krzyżacy* z 1929 roku w precudnej skórzanej oprawie! To nic, że sto złotych to kosztowało. To nic. Warte było, w końcu własnego szwagra, ulubieńca Krysty, nie widuje się codziennie na portalu randkowym! Kliknęłam i już książka była moja. I tylko moja!

## *Triumf Bogusia*

Kilka dni później zrobiło się parno. Coś wisiało w powietrzu. Powrót do domu w takich warunkach był katorgą. Spodziewałam się najgorszego. Tłok, zero świeżego powietrza i te wszystkie zapachy, letnia mieszanka autobusowa była nie do zniesienia.

Już w drzwiach autobusu rozpoczęłam walkę o miejsce, od lat ćwiczyłam tę sztukę. Nawet miałam upatrzone miejsce na przystanku, taką swoją wyszczerbioną płytkę chodnikową, gdzie, gdy stanęłam, zawsze byłam pierwsza przy drzwiach. Udało się – zwolniło się siedzenie przy oknie, po nienasłonecznionej stronie. Klapnęłam z ulgą.

Drzwi zamykają. Się. Ufff. Ruszyliśmy, a potem wlekliśmy się zatłoczoną Bukowską, trzy metry do przodu, stop, kolejne trzy metry, stop... Na następnym przystanku wsiadło kilka osób. Nikt nie wysiadł. Drzwi zamykają. Się. Mało mnie to interesowało, dla uspokojenia próbowałam czytać darmową gazetkę. Nie szło mi. Drapałam się, generalnie wszystko mnie swędziało. Do tego ten tłum. Już zaczynały mnie łąpać moje lęki.

– Taki młody gnój, a siedzi! – usłyszałam starczy głos.

Podniosłam głowę. Do autobusu wjechał wózek inwalidzki pchany przez wyraźnie podminowaną kobietę, tak na oko grubo po pięćdziesiątce. Myszowate kosmyki zmytej trwałej poprzyklejane były do skroni, w szarej twarzy królował nos, którym mogłaby robić dziury w serze, i nieregularne szare brwi o kształcie podobnym do żywopłotu z berberysów na posesji Kędziorów. Ubrana była w ciemne, wygniecione spodnie, opinające ciasno jej kościste biodra. Mimo że z grubej i sztucznej tkaniny, dopominały się o kilka ruchów żelazkiem. A biała zapewne kiedyś bluzka, z haftami pod szyją, nie miała guzika na płaskim biuście.

Kobieta rozglądała się po autobusie. Starsza zaś, która w wózku tkwiła jak w lektyce, paluchem wskazywała na siedzącego przy drzwiach chłopaka ze słuchawkami w uszach i ze złością tupała nogą o pedał wózka. Wełniana spódnica niewątpliwie była dla niepełnosprawnej kobiety za ciepła. Niemodne bordo przy tym upale nie wyglądało najlepiej. Jednak najbardziej niesmaczne było to, że stara nie miała na sobie żadnej bluzki, jedynie czarną kamizelę z anilany, spod której wylewała się pomarszczona, obwisła, biała skóra ramion i pacha z widocznym fragmentem wysuszonej piersi, podobnej kształtem do ucha zająca. Kobiety były niewątpliwie krewnymi. Wskazywały na to te same włosy, brwi, oczy, usta i przygarbione sylwetki.

Przyglądałam się, jak wystraszony chłopak ustępuje miejsca starej, jak młodsza sadza ją na krześle, a wózek ustawia przy kasowniku. Czuć było między nimi w takim samym stopniu głęboką, emocjonalną bliskość, jak i chore uzależnienie. Jedno i drugie tworzy podobnie silne więzy... Sama wiem coś na ten temat. Cała ta scenka wyglądała znajomo. Przyglądałam się tym kobietom z jakąś niezdrową ciekawością, trochę dłużej, niżby wypadało.

– Co się tak gapi? Jakby ludzi nie widziała! Siedzi jak ten rozdziaw. Też może kiedyś będzie inwalidką!

– No, znalazła się wielka paniusia! – Młodszy babiszon podchlebiał się staremu.

Czułam na sobie źrenice piekące jak rozżarzone węgle i wtedy zorientowałam się, że słowa były kierowane do mnie. Nie spuszczały ze mnie oka. Jeszcze tego brakowało, żebym stała się mięsem armatnim dla niewyżytych babiszonów! Ja! A co ja im, do cholery, zrobiłam?!

To na deszcz takie wredne! Na pewno na deszcz! – pomyślałam tylko, wiadomo – jestem w stanie każdego kłótliwca wytłumaczyć.

Z ulgą wysiadłam z autobusu. Przed domem zastałam obraz zmagania ciał żywych z materią martwą. Po całym ogrodzie rozrzucone były resztki starej papy i rdzewiejącej już blachy. Scenerię jak po trąbie powietrznej uatrakcyjniały mocno dziurawe, czterdziestoletnie resztki rynien. Część z nich sterczała jeszcze na dachu. I straszyla przechodniów. Zresztą cały dom straszyl. Nigdzie nie było widać nawet śladu fachowca. Za to Boguś triumfował. Uśmiechnięty od ucha do ucha paradował w krótkich spodenkach. Pies kręcił się koło jego owłosionej nogi.

– Mówiłem ci, że Czerwonej Koszuli źle z oczu patrzy – rzekł od progu.

– Pies dostał? Kurczę, jakiej znowu Czerwonej Koszuli? – nie zrozumiałam.

– Trzy razy dostał. Temu twojemu elegancikowi, Jurkowi. Fachowcowi od siedmiu boleści. – Już na wstępie Boguś podnosił mi ciśnienie.

– Za dużo mu dajesz żreć, już ci to kiedyś mówiłam! Pies raz dziennie, maksymalnie dwa, powinien żreć. Tylko mi nie mów, że dachowców odgoniłeś! – powiedziałam mocno już poirytowana. Jeszcze w Mieteksie czytałam prognozę pogody, niestety, nie była optymistyczna.

– To co się pytasz, czy dostał? Dostał, nie dostał, człowiek się w rozkładzie posiłków psiny może pogubić! Jeszcze nikogo nie pogoniłem, chociaż nie mają podstawowej wiedzy o naprawie dachów, dzisiaj to udowodnili. Będą musieli jeszcze raz kłaść papę, frajerzy. Wcale się nie ucieszyli, ale w końcu dla świętego spokoju pościągali rynny. Już ja ich wychowam – odgrażał się dalej.

*Ależ on zawsze jest!*

Było już koło dziewiętnastej tego samego dnia. Zaparzyłam sobie herbatę z pokrzywy. Ktoś zarąbał w drzwi, prawie odpadły!

– Byś zmieniła swojego Bogusia na innego, najlepiej dużo młodszego Bogusia. Pełno tych Bogusiów po świecie gania. – Zośka, jak zawsze pewna siebie zwolenniczka seksualnych ekscesów ostatniej szansy (paradoksalnie „ostatnia szansa” dotyczyła też kochasiów, niejeden przekroczył mury więzienne – w „tamtą” niestety stronę), niezapowiedziana maszerowała na wyprostowanych nogach przez mój korytarz.

W jednej dłoni trzymała dzwoniącą właśnie, wiśniową komórkę, w drugiej lakierowaną, czerwoną torebkę na sztywnych pałkach, na głowie zaś dumnie niosła nową fryzurę na chłopkę. Spod białej bluzki w wielkie czerwone grochy ledwie wystawała króciutka spódniczka, ale to, co od razu rzuciło mi się w oczy, to czerwone szpilki na patykowatych, świeżo wydepilowanych nogach. Cudo! Nieskazitelne jeszcze, widać, że dopiero kupione. Lśniące, z wąskim noskiem. Że też ona nie ma jeszcze haluksów! Z tyłu i z boku wyglądała bardzo młodo.

No nie, ale mnie zdenerwowała! Mogłaby uważać! Szpilki Zośki wciskały się w pustą przestrzeń między luźno leżącymi drewniakami i powiększały i tak już widoczne dziury.

– Nie poprzyklejał jeszcze?

– Ciiii, jest – szepnęłam nerwowo.

– On zawsze jest. – Wzruszyła ramionami.

Nie dam się zwieść tym razem, najpierw mnie nabuntuje, potem wsiądzie w swoje nowe auto, powożone przez o dziesięć lat młodszego, wytatuowanego tu i ponoć także „ówdzie” kochanka na jedną noc. I pojedzie. A ja dopiero się nasłucham! „Tak, tak – powie Bogdan – słuchaj szurniętej Zośki. Małe toto i zasuszone jakieś, wyglądu wcale nie ma, zwyczajny zwiędły irys. A jaką dziurę w klepkach swoimi szpilkami-wabikami wywierciła! I jeszcze myśli, że na taki wygląd albo na czerwone szpilki złapie kolejnego głupek. A człowiek przez taką podżegaczkę tylko musi naprawiać”.

O nie, taka nierozsądna to ja nie jestem, żeby narażać się na słuchanie podobnych wyrzutów (choć, prawdę mówiąc, palcem nie kiwnął, żeby cokolwiek naprawić).

– Ukrop na dworze. Duchota. Na pewno będzie padać. Ten twój Boguś nieźle się urządził... By się wstydził. Co on całymi dniami robi? Ja nie wiem, co ciebie przy nim trzyma. No chyba nie powiesz, że pieniądze. – Zachichotała.

A właśnie, że pieniądze. Trzymają mnie przy nim moje pieniądze.

– Bo czym jest seks, to na pewno dawno już zapomniałaś.

Czy one wszystkie muszą tylko o tym seksie klepać? To się robi, a nie w kółko o tym gada! Nawet taka „zakonnica” jak ja dobrze o tym wie. Mitomanki! Ze strachem spojrzałam w stronę naszego salonu, dzisiaj nie była mi już potrzebna żadna awantura.

– Ciii – powtórzyłam.

– Co tam pijesz? Jakoś dziwnie pachnie...

– Herbatę z pokrzywy, podobno paznokcie są po niej lepsze, i włosy... Chcesz też?



– Nie poparz Bogusia. – Zośka ze śmiechu dostała rumieńców.

Wzruszyłam ramionami. A potem za oknem usłyszałam to, co zapowiadała Zośka i czym straszili dzień wcześniej. Burza, czyli wichura i deszcz razem wzięte. Plus błyskawice. Zostawiłam Zośkę na środku korytarza i zapominając, o czym myślałam przed chwilą, wzięłam głęboki oddech i wpadłam do naszego pokoju. Boguś jak zwykle okupował komputer.

– Nie widzisz, co się dzieje?! – wrzasnęłam.

– Co takiego? – zapytał nieprzytomnie. – Aaa, chodzi ci o to, że Zośka przyszła? Też coś! Stare próchno – szepnął i wstał z fotela. Wyszedł na korytarz.

– No, Zośka, całkiem ponętnie wyglądasz – komplementował „próchno”.

– Ty też sobie kup szyfonowe ubranko! Bardzo by ci pasowało.

– Śmieszne! Aż ze śmiechu dostałem zajadów! A twoje tiry tak zapierdalają, że nie masz czasu ich rozładować? Co? Co cię w ogóle sprowadza w te okolice?

– Biznes. Wiesz w ogóle, co to jest?

– Ćwierkały niedawno wróble na naszej jabłonce, że młodszych wolisz, nieprawdaż? Dobrze, że nasz Krzysiek już sprzedany, bo Becia robiłaby za teściową, w końcu taka synowa, to... coś... – Zaśmiał się pełną papą.

– Bogdan! Pytałam poważnie!

Dopiero wtedy na mnie spojrział. Chyba dawno nie widział mnie tak poruszonej. Gdzie się podziejemy, gdy hrabstwo Krysty się rozpadnie? Jak podzielimy majątek w postaci kupy zmurszałych cegieł? Biegałam zdenerwowana od okna do okna.

A potem drzwi od wiadomego pokoju otwarły się z hukiem. Przez te gwałtowne ruchy klamka już od dawna się ruszała, jeszcze odpadnie. I co wtedy? Drzwi będziemy wyłamywać? Czy przez okno ratować z niewoli?

– Głupcy, zabierają się do czegoś, a niczego nie potrafią! Co robicie z moim domem?! Nie życzę sobie, żebyście jeszcze coś tutaj tknęli! Gdzie jest pies?!

– Pies! A co mnie obchodzi obszcymur?! Sika gdzieś pewnie! Człowiek chce spokojnie żyć w domu, chce jakoś współżyć, oczekując tylko normalności. Czy to dużo? Dużo?! A co ciągle słyszy?! – wrzeszczał Boguś.

Krysta zaczęła trzaskać drzwiami, potem szukać lekarstwa na nadciśnienie. W końcu – głośno zawodzić. Zamknęła drzwi, ale szlochać zaczęła jeszcze głośniej. Westchnęłam. I, jak zawsze, wystraszyłam się.

– To ja już pójde, ale sajgon. Ostatecznie, Becia, możesz spać u mnie. – Zośka wycofywała się do wyjścia. Jeszcze w domu otworzyła parasol, był czerwony w białe grochy. Zatrzymała się za drzwiami, gdy ją wypuszczałam, i szepnęła konspiracyjnie:

– Kurde, widzisz, co z nami zrobiły te głupie matki?! Do jakiego męskiego zbioru kiedyś sięgnęłyśmy! Zobacz, minął przeszło miesiąc od rozwodu, a ja kilka razy ryj Ryśka w szybie swoich drzwi wejściowych zobaczyłam, bo kasę przyszedł na mnie wymuszać. Kloszardem to on już dawno był, a teraz...! Kompletny śmieć, a ja byłam jego żoną. Taki wstyd. Wszystko przez głupotę mojej matki.

– Przestań. Pogadamy kiedyś – szepnęłam. Jeszcze tego brakowało, żeby pod drzwiami Babci dalszą historię swojego życia zaczęła snuć.

– Tak, tak, może jeszcze kochanka jej zaproponujesz?! Takie coś we własnym

domu, wcale bym się nie zdziwił. – Boguś stanął znieczeka za moimi plecami i złym wzrokiem mierzył Zośkę. Ta jednak zdążyła już się ulotnić.

Wkurzył mnie. Już nie przejmowałam się tym, że wrzeszczę. Dla niej to robiłam. Dla Krysty, żeby wreszcie przestała płakać, żeby wiedziała, że zawsze będę bronić jej domu. Że nie musi się o niego martwić.

– Leje jak z cebra, stare rynny ściągnięte, a nowe co?! Niezałożone! Z dachem też nic nie wiadomo. Z daleka widać, jak cieknie po murach – wyliczałam złowieszczo. – Oby nie było jeszcze gorzej – dodałam trochę ciszej.

Nie wiem, po co to powiedziałam... Słowa mają jednak wielką moc. To już wiedziałam. Najpierw była przecież Madonna. Właśnie spojrzałam na sufit i zrobiło mi się słabo. Z żyrandola ciurkiem kapłała woda. Tak! Z naszego żyrandola sikała woda! Zbierała się w holu, niszcząc już i tak poodklejane klepki. Podstawiłam plastikową miskę. Krople dudniły coraz szybciej.

– O co ci chodzi? Mówiłem, że Czerwona Koszula jest fachowcem z bożej łaski. Nie chciałaś mnie słuchać.

– Pomóż mi, nie widzisz, że się miotam?

Zaczęłam płakać.

– Skoro czegoś nie potrafisz, to się do tego nie zabieraj.

– Trzeba było im powiedzieć, żeby rynny założyli albo ich nie ściągali. Nigdy się nie pogodzę z bylejakością. Nigdy – mówiłam bardziej do siebie niż do Bogusia. Trzęsło mną. Ścisnęło gdzieś tam w środku. Jak oni mnie upupili! Ogłupili! Chwyciłam się za głowę. Jakby tego było mało, za drzwiami Krysta znów zaczęła zawodzić:

– Głupcy, darmozjady! A ta mu „Boguś” szczebiocze! To dupa, nie facet, ja na takiego bym nasrała! Człowieka starego wykończą tu na amen.

– Kretynki! Może miałem deszcz powstrzymać? O co wam wszystkim, do cholery, chodzi?!

To ostatnie pytanie z mety wyprowadziło mnie z równowagi. Zresztą on je zawsze po to zadawał. O co chodzi, jeszcze pyta, kiedy się sypie dom mojej matki?! Rozwścieczył mnie. A Krysta przedtem podjudziła.

– Nie obchodzi cię, co się stanie z domem. Ze mną. Z nami. Idzie ci tylko o święty spokój, pieniądze na bzdety, dostęp do komputera. I żebym ja na to wszystko harowała. Nigdy się z tym nie pogodzę. Nigdy! – krzyczałam.

W centrum zarządzania tym razem słycać było trzaskanie oknem. Wiadomo – swoje smrody i brudy kisić mamy tylko i wyłącznie we własnym, na dodatek rozpieprzonym domu.

Weszłam do pokoju Marcina, żeby ochłonać. Włączyłam laptop. Gdy się ładował, oparłam ręce o parapet. Kędziorowie nadal jedli kolację. Nic innego się dla nich w tym momencie nie liczyło. Nawet ulewa. Dziadek, babcia chora na alzheimera, córki, zięciowie i wnuczeta – wszyscy siedzieli przy stole... Rozmawiali, uśmiechali się do siebie, chleb podawali.

Widząc tę sielanekę, zaczęłam płakać. Dlaczego mam tak niski próg wrzenia? Próbowałam się uspokoić. Włożyłam płytkę do napędu. „Nienawidzę, nienawidzę” – Chylińska dawała czadu. A ja nalałam sobie dużą szklankę śliwownicy. Przez ciemną,

klarowną ciecz patrzyłam na dom Kędziorów, a następnie wypiąłam ją duszkiem. Drugą szklanekę trunku zawsze pije się wolniej niż pierwszą. Sącząc trunek, wyobrażałam sobie, że w ciągu deszczowego weekendu dom bez rynien zdąży na tyle zamoknąć, że zacieki będą widoczne nawet wewnątrz. Po czym na pewno rozleci się i stanie się kupą starego gruzu, nie do ponownego użytku. Ten gruz mnie nawet rozśmieszył. Do diabła – pomyślałam – przecież na pewno nic złego się nie stanie, jeśli ta chata będzie moknąć jeszcze przez kilka następnych łyków!

Nieco później, przez mgłę, zobaczyłam w karafce dno.

Następnego dnia miałam potwornego kaca, ale zapomniałam o smutku, facecie przy mnie (choć nie dla mnie), o rozpadającym się domu do splącenia i wyremontowania, o deszczu... i nawet o tych nieszczęsnych rynnach też już potem nie pamiętałam.

Krysta nie wychodziła ze swego centrum zarządzania parobkami albo centrum pomiatania rodziną. (Jeszcze kilka innych nazw jej salonu miałabym w zanadrzu, na przykład centrum straszenia rodziny własną śmiercią.) Nieraz śniłam, że mnie obcy ludzie od jej trumny odciągają, albo że już zdematerializowana przychodzi nocą do mojego łóżka, śmieje się, jak to ona: „Wszyscy cię zostawią, wszyscy! Już ja o to zadbam!”.

Przez całe dwa dni zza drzwi centrum umierania dudniła przerażająca cisza. Nie było nic, żadnego ruchu, nie było też wyjścia na siusiu (no, chyba że wtedy, gdy już spaliśmy). Nie radziłam sobie z paniką, gdy odgrywała własne umieranie, to nie był pierwszy raz, straszyla mnie nawet, gdy byłam dzieckiem. „Pęknie mi żyłka w głowie i umrę, a ciebie zabiorą do sierocińca, bo kto taką niedobrą dziewczynę będzie chciał, gdy mnie zabraknie?” – mawiała, jakby czerpała sadystyczną przyjemność z zadawania mi bólu.

W niedzielę pod wieczór deszcz ustał. W trakcie oględzin okazało się, że dom nadal stoi, z żyrandoli już nie kapie, tylko na zewnętrznym murze widać brunatne zacieki, które pewnie będą schły rok. Boguś, jak miał w nosie całe to gospodarstwo, tak miał je nadal. Rzucił mi pogardliwe spojrzenia abstynenta. W kuchni Szaki mlaskał, jedząc zupę, wokół miski leżały resztki warzyw i kasza. Łypał na mnie, jakbym była kaszożerna. Boguś parzył sobie herbatę.

Drzwi od centrum zarządzania parobkami skrzyknęły cicho. Krysta, boso, chyłkiem wyszła na siusiu. Ufff! Zerknęliśmy na znikający za łazienkowymi drzwiami cień. Boguś prychnął.

– Nic dziwnego, że na tej ulicy ze starszych facetów tylko Kędziora żyje, te jędze wszystkich powykańcały. Cóż to za toksyczne wdowy!

– Przestań, to moja matka! – szepnęłam.

– To jest matka?

– No mówię, że matka!

– Dobra. Zresztą, ty będziesz taka sama zołza, widzę to przecież. Genetyka robi swoje – mruknął i zaśmiał się przy tym, mnie zaś widok Krysty żywej tak bardzo uszczęśliwił, że zachciało mi się nucić balladę indiańską, przebój uwielbiany przez seniora Kędzioreę, jedyne na tej ulicy starszego pana, który się żonie nie dał piachem przysypać.

„...jak zjawia senna życie jest człowieka, zjawia się – dotknąć chcesz, lecz ucieka...  
lecz ucieka...”

## *Chcę być młodziutka i malutka*

W firmie już drugi miesiąc szukałam dla siebie zajęcia. Jakieś tabelki z symulacjami tworzyłam, analizy, prognozy i tak dalej. Na szczęście małą chwilkę zabiła mi Gośka.

– Jemu z uszu wychodzą włosy, widziała pani? Z nosa też.

– Ale komu?

– Bernardowi. On ma w ogóle strasznie suchą skórę i taką białą, na rękach najbardziej. I plamy brązowe, wyglądają jakby się ćmikiem oparzył, ale są mniejsze niż średnica ćmika.

– To starość jest...

– A dzisiaj zapufał mi prosto w nos starym petem. Blee.

– Przecież nie wybiera ze śmietników...

Za drzwiami coś sapnęło. Chwyciłam za papiery, całkiem łatwo udawało mi się grać zapracowaną. Słusznie, bo tym razem wszedł Rafał. Oczywiście zielony, plastikowy długopis trzymał blisko ust. Cóż za zapobiegliwość! Czyli w razie czego – hyc! – i już go gryzie! Prezes o nawykach i lękach zahukanego chłopczyka. Spłoszył Gośkę, która natychmiast czmychnęła z mojego pokoju.

– Pani Beciu, ładnie pani zrobiła te prognozy na przyszły rok. Ale dlaczego nie ma tam szczegółowych kosztów wynagrodzeń i ich obciążeń? Ja dawniej, gdy jeszcze miałem więcej czasu, robiłem sobie różne symulacje, prześlę je pani e-mailem.

– To dzięki, będę mieć jakieś podwaliny – ćwierkałam wbrew sobie i wbrew swoim myślom. Generalnie wbrew!

– Podanie, trzy zdjęcia, kwiatów nie piję. – Rafał, wychodząc, wygłosił stary dowcip z kloszardzią brodą.

Po dziesięciu minutach sprawdziłam pocztę. Jest. He, he. Tabelka jak tabelka, wszystko, co tam zawarł, można ze spokojem uzyskać z programu płacowego i wrzucić do Excela. Czyli zrobić to tak, jak ja miałam. Cwaniaczek. Klikałam beznamiętnie i przewijałam strony. Hm. Uszeregował według działów, potem szły nazwiska, którym przyporządkował wynagrodzenia i narzuty. Ułożył w układzie miesięcznym na rok do przodu, podsumował i w ogóle. W podstawowych działach zaplanował przyjęcie stada małych sierściuchów do biegania za kontraktami, no okej, mówiliśmy o tym. Tabelka była ładnie zaprojektowana, rzeczywiście się napracował. Chociaż raz. Widzę przecież, że zwykle duperelami woli się zajmować zamiast rządzić. Podobnie jak ja, tak na marginesie.

Bezmyślnie wpatrywałam się dobrą chwilę w ekran, gdy nagle... Coś rzuciło mi się w oczy. A to co, u licha?!

Niebawem będziemy mieć koniec czerwca, a w sierpniu przy moim nazwisku zaplanował trzy razy więcej kasy niż normalnie! O kurczę! Lubię takie pomyłki! Bardzo. Przy nazwisku koleżanki z działu w czerwcu w ogóle kończyły się wynagrodzenia! Pomylił się, perfekcjonista jeden! Przeleciałam kursorem do dołu. A potem zamarłam, zaciskając palce na myszce...

„Założenia do planu wynagrodzeń” – przeczytałam na samym dole. I dalej: „Podwyżki wynagrodzeń będą możliwe z uwagi na duże oszczędności na

wynagrodzeniach dwóch osób planowanych do zwolnienia”. O nie! Czyli co, to ja mam spadać za burtę?! Ja, która go zaprotegowałam?!

– Beciu, wyglądasz, jakbyś wampira zobaczyła. *Zmierzch* czytałaś? – zapytał Fredek.

Ten to się zawsze znajdzie w centrum wydarzeń! Kiedy nie odpowiedziałam, zaczął drążyć temat:

– A może jakiś konkretny przelew zobaczyłaś na koncie i prezesik każe wreszcie wysłać premie galernikom? No, co tak patrzysz? – Wzruszył ramionami, widząc moją nieszczęśliwą minę. – Nie ma w tym nic dziwnego, sobie też będzie mógł przy okazji przydzielić, bo jego baba w przyszłym miesiącu na pewno zechce się wybrać do Mediolanu na letnie zakupy.

– Do Mediolanu? – szepnęłam, w ostatniej chwili dodając znak zapytania.

– No. Ciekawe, w jaki sposób wkręcił się na tę posadkę! Ktoś go musiał polecić, bo kim on właściwie jest? Cienki Czeresniak! – zakończył Fredek i nie czekając na moją reakcję, wyszedł z pokoju, pozostawiając mnie sam na sam z bardzo niewesołymi myślami.

Pełna świadomość wreszcie do mnie dotarła, odbywałam właśnie emocjonalne rodeo. Nie pojedę od razu do domu – myślałam w drodze z Mieteksu. – O nie! Po rewelacjach znalezionych w tabelce Rafała nie miałam ochoty tam wracać. Nigdzie nie miałam ochoty wracać! Po co? Do kogo? Na przystanku tramwajowym wsiadłam do ósemki. Pojeżdżę po mieście, schronię się przed deszczem – myślałam. – Do pętli na Miłostowie będę jechać z godzinę, z powrotem drugie tyle albo i więcej, a później może jeszcze raz... Bo co ja w tej rodzinnej trumnie zastanę? Dom, mój dom? Czy ja w ogóle mam dom? Coraz bardziej popadałam w udrękę.

Jeżdżąc tramwajami po burzowym Poznaniu, straciłam rachubę, gdzie jestem i jak długo już odbywam tę podróż donikąd. Spojrzałam za oplakatowane okno, wyteżyłam wzrok. Plac Wielkopolski. Knajpa, kiedyś Świtezianka. Aha. Czyli centrum miasta. To jest to! Wsiadłam w ostatniej chwili, wpadając wprost w zawieruchę pogodową, deszcz, grzmoty i błyskawice razem wzięte. Gorączkowo zaczęłam szukać w torbie parasola. Zawsze nosiłam go ze sobą, odkąd kupiłam taki malutki i płaski, żeby wszędzie się zmieścił. Był czarny, jak wizja przyszłości, która się przede mną rysowała. Znalazłam go wreszcie, rozpięłam nad głową i po dwudziestu metrach kałuż i chlapy wpadłam w drzwi dawnej Świtezianki. To tam kilka razy spotkałam się ze swoją licealną miłością. Nie chciał mnie, wołał inną. Zbyszek. Kochałam go jeszcze wtedy, gdy wychodziłam za Bogdana. Jak ja go wtedy kochałam...!

Usiadłam przy wolnym stoliku, wzięłam do ręki kartę, otworzyłam na pierwszej stronie i próbowałam czytać. Ech. Jednak nic z tego. Z moich włosów kapały na stół krople wody, a w sandałach zamokło wszystko. W kółko zadawałam sobie w myślach pytanie, co dalej, i mimo że nie chciałam czerpać perwersyjnej przyjemności z pesymizmu, niestety, stało się – nie potrafiłam znaleźć sensownej drogi ku przyszłości. Nie dam sobie rady, nie mam już siły – to wiedziałam na pewno. Tato, gdybyś żył! Ja wiem, że mnie ochraniasz. Że czuwasz... Że sprzyjasz... Wiem.

Niemłoda kelnerka o twarzy zmęczonej lisicy postawiła przede mną kieliszek czerwonego wina. Co to? Pomyłka! Nie ten stolik!

– Nie zamawiałam...

Popatrzyła na mnie, jakbym próbowała namówić ją na islam. Wzruszyła ramionami i ręką machnęła w przestrzeń gdzieś za moimi plecami. Że coś (a może ktoś), co się za moimi zgarbionymi z nieszczęścia plecami znajduje. Nie odwróciłam się. Bałam się. Co zobaczę? I jak mam się zachować? Siedziałam wyprostowana jak podczas rehabilitacji statycznej stawu barkowego, ze wzrokiem utkwionym w purpurę wina. Coś zadudniło, przez zapłakane okno widać było stojącą na przystanku „czwórkę”.

– Młodziutka, czy mogę się tak do pani zwracać? Proszę wypić za swoje i moje zdrowie. – Nieco ochrypli, acz melodyjny męski głos, dochodzący ze stolika za mną, ubiegł jakąkolwiek moją reakcję.

– Młodziutka? – Byłam zaskoczona. Powoli odwróciłam głowę.

– Bo ja nie znam pani imienia i zastanawiam się, jak to było możliwe. Niedopatrzenie?

Uśmiechał się do mnie łobuzersko szpakowaty, dobrze zbudowany, elegancki mężczyzna w topowych okularach. Podrywacz! Też coś! Ubrany był w szaro-granatową bluzę, jaką chętnie widziałabym na Bogusiu, przystojny i męski jak sam Jurand ze Spychowa sprzed utraty oka, żadne inne skojarzenie po lekturze *Krzyżaków* nie przychodziło mi do głowy. Mężczyzna wyciągnął w moim kierunku paczkę z papierowymi chusteczkami, jedna wysunięta była na zewnątrz. Wzięłam ją i wytarłam nos.

– To chyba przez ten ogólnonarodowy hałas. Ludzie mają coraz większy problem z nawiązywaniem znajomości. – Dlaczego to powiedziałam? Może chciałam być uznana za oryginalną, za mądrą? A może za stukniętą... Jednak na pewno nie chciałam go kokietować. A może chciałam, ale nie potrafiłam?

– Chwileczkę, pani mnie zna? Jeszcze nie? To jakieś niewybaczalne niedopatrzenie! No tak, ktoś zaniedbał sprawę i wyszło nasze niepoznanie. Odważną tezę pani postawiła. – Śmiał się swobodnie, rozsiadając się na krześle. Wpatrywałam się w jego nierówne, ale białe, wyczyszczone zęby.

O jasne z ciemnym!, mało go rozumiałam. Ostatnio w ten sposób rozmawiał ze mną Boguś, zresztą ze dwadzieścia kilka lat temu! Też porównanie! Przyznać muszę, że wtedy Bogdan zaintrygował mnie tym, czego nie znalazłam u Zbyszka, humanistycznym spojrzeniem na świat.

Koniec wspomnień! No cóż. Spokój, długie ruchy i wnikliwy namysł – nakazałam sobie w duchu.

– Ależ nie znamy się! Zupełnie nie! Ale... No tak, obawiam się, że znam sprawców – podjęłam rozmowę. A co? Nie potrafię? Wystarczy, że przywołam w myślach zawile teksty Bogusia!

Rozejrzałam się po knajpie. Nie była nowoczesna, czas się w niej niewątpliwie zatrzymał. Przy stolikach siedziały same podstarzałe pary i stare męskie trutnie, żeby nie powiedzieć, że bardzo stare. Niejeden przy kieliszku, czyli jak i ja! Było tam tak, jakby wierni bywalcy sprzed dwudziestu paru lat nigdy stamtąd nie wyszli i starzeli się wraz

z knajpą. Wciągnęła mnie ta abstrakcja. No cóż. Zaczęło się zabawnie. Przechylając się w stronę podrywacza, upiłam łyk wina. Śmiałam się. Patrzyłam bezczelnie na jego nawet nie bardzo siwe, wcale nowoczesnie ścięte włosy i na opaloną twarz. Nie pasował do tego miejsca, zupełnie.

– Czyli jest sprawa... Mogę się dosiąść? – Rozmówca pochwycił komunikat mojego ciała i nie czekając na zgodę, klapnął na krzesło przy moim stoliku. – No to jesteśmy współnikami – zawyrokował.

– Tak? – Krępowąła mnie ta sytuacja.

– Bardzo dobrze, bo myślałem już, że strzeliłem kulą w płot. Często w życiu strzelamy niecelnie, prawda? Jaka to sprawa? – zapytał z zaciekawieniem. Przypatrywał mi się, jakbym pochodziła z Milo. Zmieszałam się, kurde, jak ja się wtedy zmieszałam! Ale przecież spodobało mi się, że siedzę w ciepłe, piję wino, mam męską opiekę, przystojną nawet. Rozmawiamy. I schnę, bo wreszcie nic już na mnie nie pada.

– Umie pan słuchać? Bo to było tak! Dostałam e-maila, a raczej ohydne dane w tym e-mailu, takie bezlitosne, hm... ujawniające drugie dno. Początkowo myślałam, że to niedopatrzanie, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jednak dochodzę do wniosku, że mogło być odwrotnie. To szokująca informacja, zmienia wszystko na gorsze. Tak to wygląda w skrócie. – Mówiąc to, szukałam w torbie czegoś do pisania. Na stoliku obok leżała darmowa gazeta, sięgnęłam po nią i od razu zaczęłam nerwowo wertować ogłoszenia. Grałam. Zaaplikowany do mojego mózgu straszak Krysty: „Zostawię cię, i tak zostawię cię wszyscy, wspomnisz moje słowa” działał. Chciałam zbudować wrażenie (żeby mężczyzna nie myślał, że na niego leczę), iż na pewno nie jestem nim, a nawet więcej: nikim zainteresowana. Żeby było jasne, że weszłam do tej speluny, by uniknąć deszczu i w suchym miejscu przejrzeć prasę. Że to jest bardziej zajmujące, bardziej niż on, bardziej niż moje kłopoty. Kłamałam!

Prawdomówna byłam tylko co do jednego. Że jestem nieobytą, szarą, byle jaką Becią, bez poczucia przynależności do świata innego niż mój.

– Chyba coś bredzę, przepraszam. Zmęczona jestem, czasem w pracy tkwię do dwudziestej drugiej – usprawiedliwiałam się.

– Nie szkodzi. Zresztą zależy, jaka to praca – zażartował.

– Praca jak praca. – Upiłam wino. W zasadzie wypiłam. Mężczyzna patrzył na mnie, nic nie mówił.

– No tak. A może tę sprawę poprowadzimy razem... – zaproponował po chwili milczenia. – Tylko we dwoje? Ustalimy, że nie może ona wyjść poza nas, niech dotyczy tylko nas! Co pani na to? – Po czym, widząc moje zasmucenie i zwykłą dla mnie melancholię, dodał: – Może na coś się przyda nasza spółka? Życiowa konieczność wymusza także egzotyczne związki...

Ostatnie zdanie mnie zabolowało, ale nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam, bo mężczyzna wypowiedział je z twarzą odwróconą w stronę kelnerki. Zamówił kolejne wino, całą butelkę. Zmęczona lisica uśmiechnęła się do niego i z mety wyładniała.

– Oj, nie mogę. – Patrzyłam na wino przerażona.

– Żeby tylko pani nie zapomniała o naszej spółce! Proszę używać do woli mojej pamięci, niech tylko nam służy – podał mi notatnik oprawiony w gładką, brązową skórę,



pewnie cielecą. I pióro.

Jakież to wszystko musi być drogie – pomyślałam. On, to znaczy ten Jurand, nie znałam przecież jego imienia ani nazwiska, wyglądał na klienta wyłącznie dobrych sklepów, użytkownika wyłącznie dobrych proszków. Towarzysza ekskluzywnych kobiet! I tak dalej, i tak dalej. I ja, szara Becia, mam obcować z takimi luksusami?! Zwyczajna księgowa, bez nadziei na kreację, uciekająca w cyfry jak za zasłonę prysznicową podczas kąpieli!

Byle nie pokazać swoich nagich myśli!

– Co pan rozumie przez to: „tylko nam”? Piękny ten notatnik, nie mogę go przyjąć bez zrozumienia motywów. – Westchnęłam, gdy nalewał mi wino.

– Ależ to jest tylko papier! Co rozumiem? My dwoje jesteśmy głównymi graczami w grze, rozdającymi karty. My. Proszę o tym nie zapomnieć. „My” to co innego niż „ja” czy „ty”. Dobrze, że nie wybrałam się dzisiaj do centrum samochodem. – Roześmiał się, chwytając za kieliszek.

Kurczę – pomyślałam – ależ on jeszcze nie wypił nawet połowy tego, co ja!

– Tak... Sami sobie rozdajemy karty? – Wino zawsze rozszerzało mi szare komórki, i jednocześnie sprawiało, że stawałam się swobodniejsza, także bardziej elokwentna. Wciąż trzymałam w ręce jego notes, wygodnie opierałam się na krześle. Znalazłam się w zupełnie innym świecie, w świecie prawdy błędnej, wiedzy poszukującej objawień, doktryn, myśli. W tamtym świecie jest inaczej, nie tak, jak w moim życiu, gdzie dominują czarno-białe cyfry, czerwone storna, strzępy rozmów o niczym. Mój świat jest jednowymiarowy, nudny, przewidywalny. A poza tym?

Poza tym wino już działało...

– Nie tyle karty, to złe określenie. Raczej kule o różnych barwach i wielkościach.

– Dlaczego kule? – Figury bez kątów nie składały się na moje życie, wszystko było ostre, raniące, powodujące sińce.

– Chodzi o to, że są okrągłe i się toczą. Można je kulać od siebie i do siebie. Albo ustawić w jednej pozycji i przytrzymać, żeby się nie poruszały.

– Na pewno są ciężkie... – pociągnęłam myśl. Temat bardzo mnie zaciekał i, ku mojemu zaskoczeniu, uspokajał.

– O tak. Zdarzają się też kule lekkie albo średnie, jeśli idzie o wagę. Ale ciężkie, owszem, takie również bywają, i to wcale nie tak rzadko. – Popatrzył na mnie uważniej. Tym razem wypił do dna swoje wino i od razu dołał sobie nieco.

Roześmiałam się i potrząsnęłam głową.

– Nie lubię kul. Są i śnieżne, i metalowe, i armatnie. Są takie... nieprzewidywalne, a przez to groźne. Mogą też być kule ogniste... – Te ostatnie mnie wystraszyły. Wzdrygnęłam się.

– Ale w bowlingu wszystkie są jednakowe, każdy z graczy ma równe szanse...

– Na co? – Przechyliłam się w jego stronę.

– Na wygraną, trzeba sobie tylko odpowiedzieć na pytanie, czy tego chcemy. Czy na pewno chcemy wygrywać?

– Taaak... – Zastanowiłam się i jednym haustem wypiałam do końca wino ze swojego kielicha. O obłym kształcie.

Malinowa Trufla pisze:

*Minął ciepły, ale słotny dzień. Jest coś pozytywnego w bezpośrednim dotykaniu słoty. Wtedy najbardziej szukam w sobie tego małego dziecka, otoczonego uczuciem, ufności w nadziei. Jeszcze go nie znalazłam.*

*Po południu włożyłam kufajkę po ojcu i wyszłam na ogród. Gdy się tak opatulam tą granatową pikowanką, zawsze czuję, jak ojcowskie ciepło spływa na mnie i mnie kołysze. Mam wtedy wszystko, co powinno czuć małe, wystraszone dziecko. Ciepło i dobrą wolę. Tęsknię za tym.*

*Wczoraj kupiłam sobie kolorowe kalosze. Tło gumiaków jest niebieskie, a na nim pyszną się żółto-zielone mazgaje – jako kolorystyczna odwrotność błota. Usiadłam w pokoju, nałożyłam słuchawki, w necie włączyłam radio, nie pamiętam jakie. Zapadłam w lekturze. Danuśka Jurandówna tańczyła na łące pod Spychowem, zbierała polne kwiaty, cieszyła się latem, grała na lutni. Jednak w powietrzu czuć było wojnę. Książkę czytałam po raz następną, choć niektóre fragmenty znalazłam na pamięć*

## *Mamusia powiedziała*

– Mamo, pomyślałam, żeby ojcu na urodziny kupić garnitur. Chodzi ubrany jak menel. Co o tym myślisz?

Kochany chłopczyk z tego Krzyśka! Pamięta, troszczy się. W zasadzie powinnam mu zasugerować zakup dla ojca pukawki czołowej, ale pomyślałam, że taka bezpośredniość mogłaby być niewychowawcza. Przecież własne dzieci wychowuje się nawet wtedy, gdy już mają swoje rodziny, a są nawet takie matki (jak na przykład moja), co te gorsze swoje dzieci chcą pouczać aż do ich późnej starości. Pouczać i dołować, żeby tylko je do siebie upodobnić, ociosać duszę na swoje podobieństwo. Ratunku! Ja chcę być inna!

– Przy domu może przecież tak wyglądać – powiedziałam bez przekonania po dłuższej chwili milczenia. Nieraz kalkulowałam tak: umyję go, ubiorę, zabiorę ze sobą do ludzi i nie będę wyglądała na samotną! To był chyba mój główny cel. Wiem – głupota!

Rozmyślenia przerwał mi głos Krzyśka.

– Kaśka wciąż mi wymawia, że pochodzę z nizin. Kupię. Tylko musiałyś mi e-mailem podać wymiary.

Bogdan siedział jak zawsze przed komputerem, ubrany w podziurawione portki, nastawiał swoją ulubioną płytę. Czyli zaraz usłyszę wicher w tajdze, a potem rozpoznam, że to jest jednak Lady Pank.

– To co, podasz? – zapytał Krzysiek. – Bo ja już muszę kończyć. Wyślij w e-mailu, pa! – I rozłączył się, nie czekając na moją odpowiedź.

Wymiary! Wpaść na pomysł (a kupno jest przecież w gruncie rzeczy zwyczajnym pomysłem) nietrudno, ale zrealizować go – jest bardziej skomplikowane. Co mam powiedzieć podejrziwcowi, gdy go będę obmierzać? Że miara się na nim przypadkiem zaplątała?

– Boguś, możesz mi powiedzieć, jaki ty teraz masz rozmiar ubrań? – zapytałam miło. Jeśli chodziło o Bogusia, czasem opłacało się mu ustąpić. Zresztą, co ja mówię? Czasem? Zawsze!

– Jak to, jaki? Normalny. Po co ci to wiedzieć? – Przyglądał mi się podejrziwie.

– E, nic takiego! Zrobię sondaż, gdzie są jakieś ciekawe spodnie. W brązowych sztruksach najlepiej byś wyglądał.

– Poważnie to mówisz? Nie chcę żadnych spodni, te, co mam, w zupełności mi wystarczą. Na łachy całą forszę mogłabyś wydać, a na miesięcznik skąpisz. Gdzie tu logika?

– Przestań, skoro tak stawiasz sprawę, to ci powiem: to Krzysiek chciał wiedzieć!

Od początku rozmowy trzymałam w dłoni miarę krawiecką, czekałam tylko na właściwy moment. Boguś się odwrócił, nałożył słuchawki z pręcikiem na uszy i zaczął

wystukiwać w komputerze numer przyjaciela. Teraz!

Opasałam go w tali i już byłam bliska odczytu, ile to tych centymetrów schabowych i kurczaków z różną nagromadził w swoim aparacie nasłuchowym... Ale podmiot rodzinnej troski nagle powstał, nie zważając, że jest przyczepiony do komputera kablem od słuchawek, wyszarpnął się z miary, a oburzony był i wściekły, jakbym chciała mu wycisnąć pryszczka.

– Więc to tak?! Do trumny mi miarę bierzecie? Niedoczekanie! Twoja Zośka znowu się pewnie tutaj przypałała, od razu znać, że cię nabuntowała.

– Możesz przestać doszukiwać się dziury w całym? Do jakiej trumny? Jeśli tak, to ciepło masz w tej trumnie, stój, nie ruszaj się. – Tym razem poszło mi lepiej. – No, w pasie masz dużo więcej niż kiedyś. Sto dwanaście. Wszystko za moje! W klatce sto dziesięć, tak samo, szyja czterdzieści trzy.

Tak naprawdę dla siebie kupowaliśmy ten garnitur. Boguś nie miał potrzeby być eleganckim mężem ani też lepiej ubranym ojcem. Co innego my. Nie chcieliśmy się wstydzić. Istnieje pogląd, że wstydzić należy się wyłącznie za siebie. Cóż, może i tak, ale według mnie, nie do końca... W każdym razie czułam wielką determinację, żeby przekazać Krzyškowi te cholerne wymiary.

– Jakie sto dwanaście?! No, jakie sto dwanaście? Sto osiem, nie umiesz mierzyć! O, zobacz – jego brzuch ścisnęła miara. Spoza niej, dołem i górą, wylewała się biała galareta, porośnięta czarnymi kłakami.

Kilka dni później w nasze wydeptane progi mieli zawitać Kaśka i Krzysiek. Podobno Kaśka umówiła się w Poznaniu z fryzjerem, który robi najlepsze dredy. Dredy to ja mam, gdy rano wstaję z łóżka, fryzjer mi nie jest do tego potrzebny, ale cóż... Kaśka młoda jest. A ja tolerancyjna.

Nie czułam przymusu urządzania przyjęcia na miarę kolacji w Windsorze, bo Kaśka i tak nic u nas nie jadła, a Krzysiek najchętniej żywił się chlebem. Błąkałam się bez celu po domu, w oczekiwaniu na gości. Boguś w ogrodzie grzebał widłami w kompoście, a Szaki na niego warczał, bo wygrzebał coś cuchnącego i koniecznie chciał to zjeść, tyle że później. Krysta cerowała majty w swoim centrum, od czasu do czasu wyglądała oknem. W żeliwny kaloryfer, między żeberka, powciskała zużyte papierowe chusteczki. Znowu płakała!

– Mamo, można podkręcić ogrzewanie? – zapytał Krzysiek od razu, gdy tylko razem z Kaśką ulokowali się w kanciapie Marcina. W ogóle miał taki zwyczaj, gdy przyjeżdżał w odwiedziny, że najpierw kuczał i dmuchał na dywan. Zawsze był kurz, zawsze. Potem dotykał kaloryfera, w końcu sprawdzał stan łazienki. Kiedyś, w obawie przed jego krytyką, polałam przybytek najmocniejszym z mocnych detergentem, i na nic to się zdało. Rękawice gumowe mi zżarło, palce poparzyło, a z płytek i fug nie zszedł wżarty brud. A kiedyś, gdy Krzysiek jeszcze z nami mieszkał, chcąc mi pokazać, że nie sprzątam, wstał w nocy i umył białe panele na korytarzu, ale nie do końca je wypucował. O nie! Zostawił nieumyty fragment, żeby pokazać, jak były brudne, i przy okazji mnie upokorzyć.

– W czerwcu? To jest śmieszne, nawiasem mówiąc. Powiedz mi jeszcze, w górę

czy w dół? – spytałam złośliwie, bardzo złośliwie, bo oczywiście znałam odpowiedź. Jakżeby nie... Jakiż oni trywializm reprezentują! Nie wystarczy im samo ciepło rodzinne? Jurand ze Świtezianki sprawił, że zaczynałam świat ludzi postrzegać inaczej, nie jako opierający się na walce o dobra materialne i wyposażenie, o ogrzewanie i inne wyszarpywania pieniędzy. To nie jest warunkiem koniecznym, żeby być szczęśliwym. Poza tym mężczyzna chyba rozbudził mój uspiony intelekt...

– No, mam, przyjechaliśmy, a w tym domu znów jest pioruńsko zimno! Z własnymi kocami mamy do was przyjeżdżać?

Milczałam, Szaki wycierał łłaki o moje spodnie. Krzyskowi chyba się zrobiło głupio.

– W ogóle ten pies coś dostał do zarcia? Bo tak łązi – zapytał łagodniejszym tonem.

– Dostał. To wiecznie głodny pies, ale nie zmieniamy tematu. Krzysiek, przecież jesteś w cienkiej koszulce, to jak może ci być ciepło? – Mierzyłam go wzrokiem.

– Mam! Znowu to samo. Czy ty wciąż musisz doszukiwać się drugiego dna? Kasi jest zimno. Nie mnie. Możesz czy nie? Bo jeśli nie ma takiej możliwości, to powiedz i będzie koniec tematu.

– Pfff. A czy ja coś mówię? – prychnęłam i wzruszyłam ramionami.

Z niechęcią podreptałam do piwnicy, by odkręcić to cholerne ogrzewanie. Z mety usłyszałam, jak z sykiem uciekają z mojego portfela ostatnie złotówki. Posiedziałam trochę na krzeselku przy tych wszystkich urządzeniach pomiarowych, w ciemności, nawiasem mówiąc, tak samo jak Krysta. O zgrozo! Geny nie dają się oszukać i nic na to nie poradzę. Zapalką podświetliłam licznik. Przez te piętnaście minut, kiedy tu tkwiłam, nabiło już więcej niż ćwiartkę dzula. A jeden dzul to prawie sześćdziesiąt złotych! Zaczęło mi się z nerwów i rozżalenia zbierać na wymioty.

Czy ja rzeczywiście muszę udawać, że wszystko jest okej? No cholera, czy aby na pewno muszę?! Czy oni nie zdają sobie sprawy, że sama pracuję? Że sama wszystko opłacam? Że stres mi się na pewno odkłada w stawach, we krwi i w mięśniach? Emocjonalne rodeo rozpoczęło się po raz wtóry. Czarne myśli zarzucały na mnie lasso. Nie! Nie dam się!

Podeszłam do półki z zaprawami Krysty. Na pewno nie ma policzonych! Otworzyłam słoik i zaczęłam nerwowo wyjadać gruszki w syropie, z goździkami. W ustach eksplodowało mi smakiem. Poczułam się dużo lepiej. Oblizalam palce i w lepszym nastroju powróciłam na pięterko.

Krzysiek, Boguś i Marcin rozmawiali, siedząc na kanapie w dużym pokoju, Kaśka spała już w wysprzątej na błysk stróżówce Marcina. Nie czekała na mnie, wcale jeszcze ze mną nie rozmawiała. Zupełnie nie zauważyli, że mnie nie było, ani też że wróciłam. Porobię może coś w kuchni – pomyślałam i poszłam.

– Nie szykuj nic, mamka, my już dziś nie będziemy jeść – powiedział Krzysiek, zaglądając do kuchni.

– Jak to? Nawet nie zjemy razem kolacji?

– Kaśka już śpi, a ja nie jestem głodny. Poza tym wcześniej rano chcielibyśmy wyjechać, więc nie będziemy robić ci kłopotu.

– O nie! Na to nie wyrażam zgody. Spotkamy się rano i wszystko uzgodnimy.

Jeszcze spali, kiedy pobiegłam do sklepu po ciepłą bagietkę, bułki dyniowe, zbożowe z otrębami i paluchy z serem. I rożki francuskie ze śliwką. Poprosiłam też o masło osełkowe.

– Z panią mąż ma bardzo dobrze – usłyszałam komplement z ust Malutkiego Sklepikarza. Tak wcześnie rano w jego sklepie nie było jeszcze klientów.

– A pana sklep jest znakomicie zaopatrzone, to przyjemność robić tutaj zakupy – komplementowałam i ja.

Malutki Sklepikarz. Wszyscy tak o nim mówili. To fakt, że był niewysokiego wzrostu, to fakt, że był handlowcem, ale określenie „Malutki Sklepikarz” nie bardzo do niego pasowało. Im bardziej go poznawałam, tym mniej mi się wydawało stosowne. Tego dnia szepnęłam mi, że wreszcie powiedziała, że zastanowi się, czy się do niego przeprowadzić. Doskonale wiedziałam, o kim mówi. Opowiadał mi o niej. Ta młodsza od niego o kilkanaście lat kobieta niewątpliwie była mu bardzo bliska, ale on zwierzył mi się kiedyś, ze wstydu czy z nieśmiałości, że po śmierci żony patrzy na kobiety jak na zbytek. Boi się rozstań. Z obecną, prawniczką, matką dwóch nastoletnich córek, też spotyka się dla zbytku wyłącznie. Nie wierzyłam mu, bo widziałam przecież jego twarz, gdy mówił o tej kobiecie, błyszczała wewnętrznym ogniem. Zazdrościłam mu i jednocześnie rozumiałam jego strach.

Gdy wróciłam do domu, zaparzyłam kawę w dzbanku z chodzieskiej porcelany. Poustawiałam na stole stare bawarskie filiżanki. Każda była inna, ale dla synowej najstarsza i najdroższa, z koronkowymi ornamentami na brzeżku. W kobalcie. Pierwszy wychylił się z pokoju Krzysiek, zajrzał do Marcina, który w przedpokoju na łóżku połowym leżał półnagi pod cienkim, bawełnianym kocem.

– Młody! Nie zmarłeś?

– Nie! – odpowiedzieliśmy jednocześnie.

– Skąd? – dodał Marcin – Przecież mamusia powiedziała, że nie jest mi zimno.

– He, he. Zobaczcie Młodego, jakie dowcipy się go trzymają od rana. – Krzysiek zaśmiał się głośno.

Kaśka, opatulona w polar, przemknęła chyłkiem do łazienki, nawet na mnie nie patrząc. No cóż, ponoć mąż z uwagi na brak więzów krwi jest obcą osobą, a co dopiero teściowa...

– Mamo, jakieś cienkie masz te koldry. Kasia w polarze spała. Poza tym zróbcie wreszcie coś z tą łazienką. Kaśka nie mogła się wieczorem umyć, bo z kranu leciała ruda woda, a z sitka w wannie wylazły pająki – ubolewał Krzysiek ze skrzywioną miną.

– To są normalne koldry, puchowe – polemizowałam rozdrażnionym tonem.

Niechże przestaną już o tym zimnie rozprawiać, bo zaraz mnie zemdli – pomyślałam. – Albo wybuchnę. Pająk z sitka wylazł?! Może od razu całe stadko? Jeśli się kąpała, to by się utopił. Całkowity brak logiki! Wyższe wykształcenie, a myślenie szwankuje.

– Bardzo zimno mi było – obwieściła Kasia, wychodząc z łazienki.

– Słuchajcie, przestańcie wreszcie mówić o tym zimnie, bo tak, jak u was rok temu, w grudniu, to ja jeszcze nigdy w życiu nie zmarłam. Czy kogoś to wtedy interesowało?! Z okien dmuchało, do przykrycia daliście mi chyba samą powłoczkę, a kaloryfer był

ledwie letni – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

I zaraz tego pożałowałam!

Krzysiek i Kasia siedzieli z kwaśnymi minami, dziobiąc widelcami w jajecznicę, Marcin podśmiewał się pod nosem, tylko mina Bogusia świadczyła, że w tym sporze stoi po mojej stronie. Jako człowiek o zdaniu zazwyczaj odmiennym, dzięki temu czasem był za mną. O ironio!

– Becia po powrocie do domu tydzień z gorączką w łóżku leżała. – Nadal stał po mojej stronie. – U lekarzy musisz grzecznie czekać na zero diagnozy, ładnie za to zero podziękować, bo gdyby z nimi walczyć, czegoś wymagać, to ta cała mafia wsadzi cię do wariatkowa. Poza tym złodzieje za czas choroby nie płacą stu procent, jak za komuny. Wtedy człowiek pracy mógł chorować, należało mu się. Teraz ma harować, i już się podobno nic nie należy. Ale do czasu! Do czasu, bo rewolucje są kołem zamachowym rozwoju społecznego. Oni się jeszcze doigrają! Zasadniczo nie wiem, na kogo padnie, ale sobie spokojnie czekam! I obserwuję.

– Tam opowiadasz, leżała! – wtrąciła Krysta. – Bo jej się robić nie chciało. Kto to widział tak dom zapuścić, żeby nie grzać, jak się należy? Pewnie pieniędzy nie ma, bieda aż piszczy. Ale przecież nie będę im wiecznie pomagać! Już nawet dzieci w przedszkolu wiedzą, że należy dać jedynie wędkę, a nie od razu rybę – pomstowała niezmiennie w trzeciej osobie, wchodząc w wyraźną koalicję z synową. Minę miała przy tym jak mały Krzysiek, kiedy zobaczył kleszcza.

Ta wędka! „Milczeć!” – nakazałam sobie powściągliwość, bo przecież nie rzucę teraz, przy obcej w końcu Kasi, o tym dokładaniu się do opłat. A raczej niedokładaniu się odwiecznym. Paskarska rodzinka!

Wyszłam do kuchni, żeby nie kontynuować tej bezsensownej utarczki. Chciałam pokroić pomidora – Krzysiek nie znosi, kiedy podaję samą wędlinę. Próbowалам wyciągnąć koszyk z warzywami, który ktoś wsunął pod ławkę, a tam stała wielka butla wina. Z dziesięć dni temu je nastawiliśmy, z pierwszych czereśni było, takich prawie czarnych. Już zaczęło się klarować.

Przesunęłam ławkę z butlą, żeby ułatwić sobie dostęp do kosza z warzywami. I wówczas stała się rzecz straszna! Szkło klapnęło o ścianę i z wielkiej dziury zaczęła sikać na podłogę czereśniowa breja.

– Niech mi ktoś pomoże! Boguś! – krzyczałam, jednocześnie lnianym ręcznikiem próbując zatamować umykające wino. Ręce miałam ubabrane, i spodnie, w dodatku na białej bluzce też zauważyłam brunatną plamę. Chciałam zapaść się pod ziemię, kiedy na mój wrzask wszyscy zbiegli się do kuchni.

– Psiakrew! Coś ty znowu zrobiła! Nie mogłaś uważać?! – Boguś z „kwachem” na twarzy nie musiał w zasadzie już nic więcej mówić!

Jakże mi było wstyd. Żałowałam tego wina, klarowne było, bukiet miało. To racja, mogłam przecież uważać... Łzy żalu i bezsilności moczyły mi policzki.

– Jak u jakichś moczymord! My z mężem zawsze mieliśmy czysto, aż ci się sprowadzili i wszystko, co dobre, szlag trafił – to słowa Krysty.

No, to jej pasowało! Wreszcie mogła się przed większą widownią popisać talentem do karczemnych burd. Krzysiek, żegnając się, odciągnął mnie na bok, żeby i swoje trzy

grosze dodać i już całkiem mnie zdołować:

– Mamo, co wy tutaj wyprawiacie?! Kasia nigdy, ale to nigdy nie miała w swojej rodzinie tak poniżających sytuacji. Możecie się wreszcie ogarnąć i zacząć tworzyć normalny dom? Jeśli nie dla siebie, bo rozumiem, że macie prawo nie chcieć, ale chociaż o nas pomyślcie. Aha, i jeszcze jedno! Jeśli czasem masz ochotę wypić kieliszek, to kup sobie butelkę w sklepie, a nie czyń z rodzinnego domu wytwórni. Babcia ma rację.

Malinowa Trufla pisze:

*Lubię śliczne przedmioty. Mam kilka filiżanek z misternym ornamentem. Każda jest inna. Mam też kilka mosiężnych świeczników. Świece tworzą magiczny klimat, dają ciepło i światło, dzięki któremu mogę trafić do domu. One same w sobie są domem. Cieszę się, gdy świecznik jest oblepiony woskiem, nie odklejam parafinowych nacieków od mosiądzu. Wcale. Uwielbiam zapach świec. One są mną.*

*Myślę, że dobrze jest, gdy otaczamy się niepowtarzalnymi przedmiotami. Niedawno trzymałam w dłoni notatnik delikatny jak muśnięcie skrzydełkiem motyla. Niby nic takiego, ale gdy oprawisz go w elegancką, cielejącą skórkę, od razu przechodzi zapachem tego, co w nim notujesz. Pachnie naszymi myślami. Zawsze lubiłam śliczne przedmioty.*

Komentarze: 1

*A jak wśród tych martwych przedmiotów czuje się rzecz najbardziej pożądana – bogaty i zapracowany mąż? Pozdrowienia. Jurek*



*Nie ma to jak podejście asertywne!*

Następnego dnia osłupiałym wzrokiem wpatrywałam się w komentarz pod moim blogowym wpisem, a rzecz najbardziej pożądana – bogaty i zapracowany mąż (czyli Boguś) – siedział przy biurku i robił notatki z gazet. Na niektóre naklejał karteczki, wsadzał papierowe zakładki, podkreślał, przepisywał na kartkę. Zza okna dobiegał dźwięk rąbania drewna, z drugiej strony odgłos zgrzewarki do papy. Prawdziwi mężczyźni nie marnowali czasu.

– Po co ci to? – Westchnęłam mając na myśli dziecinadę Bogdana. Niewątpliwie zatrzymał się w rozwoju. Nawet nie drgnął, jednocześnie skanował komputer.

– Myślisz, że na wyniki twojego rozmęśniania będziesz miał atak z Internetu? Żałosne. – Robiłam się złośliwa.

Wyszłam z pokoju dla nizin. Kilka minut potem, gdy byłam w kuchni, ktoś głośno zapukał do drzwi wejściowych z dykty. Szaki wariował. Nikt się nie ruszył, więc wyszłam z kuchni z upapranymi mąką rękoma. Dotąd słabo mi wychodziło ciasto na pierogi, ale miałam taką ochotę... Taką ochotę, że znowu zaryzykowałam.

Za drzwiami stała kobieta w czerni. Nie znałam jej, pomyślałam, że pewnie znowu zmarł jakiś sąsiad i w zbiorze osiedlowych wdów pojawi się nowicjuszka. Na mojej ulicy w zasadzie przy życiu pozostały tylko kobiety, wyłączając Kędziorów, gdzie żyli wszyscy mężowie, oraz młodych sąsiadów z drugiej strony naszego domu, i nas, Boguś był w dobrej formie.

– Zbieram od matek różańcowych składki roczne. Dołoży się pani? – Kobieta w czerni miała piękny, melodyjnym głos.

– Ale ja nie... Proszę poczekać, zapytam mamę.

W centrum zarządzania parobkami (i bezbożnikami jednocześnie) słychać było poruszenie. Ciasto mi na dłoniach zaschło, chwyciłam klamkę, uchyliłam drzwi. Krysta czesała swoje szare rzadkie włosy i malowała usta pomadką. O rany! Przecież to była moja szminka! Zniknęła rok temu, a tak ładnie ożywiła moje usta! Gdzie ja jej nie szukałam? Mruknęłam:

– Składki na matki różańcowe pani zbiera.

– Masz tu dziesięć złotych, daj jej i niech idzie. Widziałam ją przez okno. Trzech chłopów wykończyła, to teraz nasze koło matek wykończy! Kto ją w ogóle wybrał?! To jest Kilkakrotna Wdowa! Wszyscy na osiedlu o niej mówią, że trupi jad sieje. Niech mi zaraz stąd idzie!

– Ciiii, przecież to słychać!

Zastanowiła mnie owa wdowa. Kilkakrotna ponoć. Była młodsza ode mnie, ładna, zgrabna, czerń nieco skryła jej wyrazistą (tak czułam) osobowość. Jasne włosy spięła w węzeł, a jej szyję ozdobił sznur z wielkich onyksowych kamieni. Jakaż ona była pewna siebie, widać to w każdym jej ruchu.

– Zapomniałabym! – wykrzyknęła tym niesłychanie kobiecym głosem, stawiając akcent na trzecią sylabę. – Zostawię dla mamy broszurkę z tajemnicami różańcowymi dla niewiast. A może i pani się do nas przyłączy?

– Nie, ja jakoś nie...

Patrzyłam, jak kieruje się w stronę drzwi. Byłam pewna, że słyszała słowa Krysty, a nawet gorzej – miałam przekonanie, że z trudem skrywa śmiech. Zastanawiałam się, co ją tak mogło rozbawić.

## Europejczyk

Był ostatni dzień czerwca, sobota. Weekend zaczął się od wrzasków:

– Przez te klepki bym się roztrzaskała i zabiła. Cała podłoga zniszczona przez wasze ciężkie chodzenie. Proszę mi natychmiast zrobić nową! Tak psuć i psuć wszystko, to nie do pomyślenia.

Machnęłam ręką i z rezygnacją zniknęłam w pokoju.

– Wiesz co? – Boguś przeszedł na tryb wyciszony. – A może by tak... No wiesz... Bo na gderanie i czepianie się jest jedna niezawodna technika: wyskakujemy zza drzwi, łapiemy za klapy albo zaciskamy apaszkę na szyi. I pytamy, o co właściwie chodzi...

– Taaa...

Gdy mi było ciężko na sercu, robiłam sobie filmowe maratony, to były takie sterydy dla mojej duszy. Zdarzało mi się obejrzeć kilka filmów pod rząd. Odbywało się to tak: biorę lniany worek, portfel i biegnę do osiedlowej wypożyczalni ze Znaczą Arcydział za kontuarem. To ja tak go nazwałam, bo to mi opowiedział swoją życiową drogę. Że dawno temu skończył łódzką filmówkę, potem wiele lat pracował w kinie Apollo, skąd przeszedł do Kinopolis. Aż w końcu wziął sprawy w swoje ręce i stanął za ladą własnej wypożyczalni. Zawsze mi doradził w kwestii filmu, nakierował na dzieła, zamiast na badziew, w zasadzie każdy polecony przez niego film wypożyczałam bez zastanawiania. No, chyba że miałam kilka do wyboru... Bo wybór zawsze sprawiał mi trudność. Zawsze.

Było popołudnie, oglądałam *Wątpliwość*, gdy Marcin wpadł do naszej nory. Wcześniej jak na niego, czyżby zrobił sobie przerwę w ucieczkach?

– Dostałem stypendium do miasta oddalonego od tego domu o dwa tysiące kilometrów! – zakomunikował od progu.

– Jakie stypendium?! – wykrzyknęłam.

– Sokratesa!

– Tak? – krztusiłam się kluchą we własnym gardle. Z nerwów, z żalu i z nieco przedwczesnej tęsknoty.

Wprawdzie rozpierała mnie duma, że wychowałam Europejczyka, ale z drugiej strony ogarnął mnie strach, jak damy sobie w tej sytuacji radę. Marcin beze mnie, a ja sama wśród wrogich krytyków mojej osoby.

– W połowie lipca. Do Amsterdamu – rzucił beztróska Marcin.

– Jak to? Za kilkanaście dni?! – przeraziłam się. – Tak szybko?! Co ja tu sama z ojcem i babcią będę robić? Może zapiszę się na jakąś podyplomówkę? Zawsze to dodatkowy atut w cefalce – zastanawiałam się na głos.

– Daj spokój, mamó! Po co ci podyplomówka? Twoje pokolenie jest już na bocznicę! Lepiej sobie z ojcem przy piecu przypominajcie dawne czasy – wyśmiał mnie Marcin.

– Pieca nie mamy.

„Pfff” – prychnęłam w myślach. Muszę zacząć panować nad tym bezwarunkowym odruchem, bo coś ostatnio pryham i pryham.

– Ty tak matce nie mów o tej bocznicę, bo coś wymyśli, żeby światu udowodnić,

że nadal jest na topie – zażartował Bogdan.

– Albo zamiast nowej klepki do przedpokoju kupię sobie yorka, jako antidotum.

– Antidotum? Ciekawe na co? – zaciekawił się Bogdan.

– Na samotność w rodzinie, samotność w związku i takie tam... – zawiesiłam znacząco głos.

Boguś i Krysta (która jak duch pojawiła się w drzwiach swojego pokoju) patrzyli na mnie bez odrobiny aprobaty. I nic zupełnie nie mówili! Stali przede mną jak jedna, bezimienna istota, zbiorowa dusza, wyrażająca te same emocje, odczucia. Oczywiście, sojusz między nimi był tylko chwilowy! Za moment wrócą (to było pewne) do swojej zwykłej odrębności i znów będą sobie skakać do gardeł.

Poczułam ogólne zniechęcenie, Szaki oparł głowę o moje kolano i patrzył mi w oczy migdałowymi (pełnymi uwielbienia – tym razem) ślepiami.

– No nic. Trzeba by coś zjeść, bo cóż nam innego zostało do roboty... – Boguś wycofywał się w stronę lodówki.

– Ojciec, robisz się szerszy niż dłuższy! O psie pomyśl – rzucił Marcin.

– Pies dostał. Już mnie drażni ta troska o psa większa niż... Aaa, szkoda gadać – ponownie włączyłam się w dialog.

– Mama, nie martw się. W najgorszym wypadku możesz zawsze do mnie wpaść na weekend. U Krzyśka też dawno nie byłaś. Tam jest wprawdzie Kaśka, ale mogłabyś na czas wizyty zawiesić broń... Albo... Ty założysz lateksowe body, w rękę weźmiesz pejczyk, ojciec schowa twarz za maseczką świnki i będzie chrumkał... Tak też można się zabawiać w opuszczonym gnieździe – zażartował Marcin.

– Przestań! – krzyknęłam zawstydzona. – A właściwie, dlaczego jedziesz już teraz, skoro rok akademicki zaczyna się dopiero w październiku? Coś mi tutaj nie gra. – Patrzyłam na Marcina podejrzliwie. Poza tym – skąd on zna takie pornograficzne obrazki?! Dlaczego ucieka ode mnie?

– Do października bym tutaj zdziwaczał. Mamo, ty mnie powinnaś wypędzać z tej chaty, chyba że chcesz mieć następnego czubka w rodzinie! – warknął Marcin i poszedł do swojego pokoju.

Z kim mam w końcu tworzyć ten dom?! Czy tworzyć? Podeszłam do półki z fotografiami synów. Portret Krzyśka znów przysunęłam bliżej zdjęcia Marcina, a między nimi postawiłam butelkę *Mademoiselle Coco*. Wyjęłam flakon, psiknęłam sobie za ucho. Uwielbiam ten zapach. Uwielbiam moich synów! To dla nich żyję! To dla nich remontuję! To dla nich marzę. Chciałam wytworzyć takie relacje między nami, aby Krzysiek i Marcin nie musieli przez pół życia naprawiać tego, co im w psychice spieprzyłam ja i inni członkowie nienormalnej rodziny (a co mogłabym – jako matka – nazwać wychowaniem).

Malinowa Trufla pisze:

*No tak. Będę kontynuować. Rzeczywiście, nigdy nie miałam nic przeciwko obrastaniu w przedmioty. O porcelanie już wspominałam, i o mosiądzu. Najwięcej przyjemności daje mi obcowanie z obrazami. Na razie mam dwa: abstrakcję na temat rewolucji i portret. To za mało, nie dla mnie powściągliwa nowoczesność w urządzaniu*

*domu. Minimalizm to nurt dla ludzi znudzonych sztuką, dla tych, co nacieszyli się już wszystkim. Ja mam zapotrzebowanie na zachwywanie się życiem!*

## *Trupy w szafie*

Już czwarty raz tego dnia wracałam ze sklepu z kilkoma torbami pełnymi jedzenia. Dla synka mogę zawsze wydać ostatnie pieniądze. To akurat nie były puste słowa, bo na karcie kredytowej zostało mi jedenaście złotych. Wczoraj dotarła wreszcie przesyłka z wielką walizą, oczywiście wylicytowaną na aukcji internetowej.

Do wyjazdu Marcinka zostały jeszcze cztery dni, a ja już miałam całą lodówkę jedzenia i, co ciekawe, mimo że dźwigałam takie ciężary, czułam się lekko. Nic innego wieczorami nie zajmowało mi czasu tak, jak przygotowania do wyjazdu Marcina. W księgarni nabyłam olbrzymią mapę Holandii, przewodnik po całych Niderlandach i kilkutomowy słownik polsko-holenderski.

Całą drogę z pracy myśli zaprzętało mi, jak spakować Marcina... Kiedy w końcu dotarłam do domu, od razu wstawiłam wodę na herbatę i zaczęłam układać na kupki odzież, którą według mnie powinien ze sobą zabrać. Wielka sterta majtek, inna, nie mniejsza – koszul. Kilkanaście swetrów, dzinsy, krawaty, garnitury, podkoszulki. Kto mu tam będzie to wszystko prać? Skąd weźmie żelazko? Mogłabym mu dać nasze, ale ono ma popsuty regulator temperatury. Jeszcze coś przypali. W tym momencie przypomniało mi się, że powinnam kupić jeszcze przybory krawieckie. A nuż coś mu się tam rozpruje?

Porządkowałam rzeczy syna, od czasu do czasu zerkając za okno na dom Kędziorów. Czekałam na ich kolację. Tak mnie zastał Marcin. Zrobił oburzoną minę i poukładane przeze mnie stopy odzieży wrzucił w nieładzie do szafy.

– Mamo, ja tam będę mieszkał czy ty? – warknął.

– Zobaczysz, matka w noc poślubną wlezie ci pod łóżko, żeby cię instruować, co masz robić. – Boguś zarechotał. – Zostaw chłopaka, nie rób z niego maminsynka.

Któż to w ogóle jest „maminsynek”? Czy to może ktoś odrzucony przez ojca? Nie dość przez niego kochany? Czy może z jakichś powodów wychowywany wyłącznie przez matkę?

Szaki szalał przy drzwiach, bo z ulicy dochodził jazgot kundli.

– Spokój! Nie wolno! Jesteś rasowy! – krzyknęłam.

Pies klapnął przy drzwiach, argument o rasowości widać do niego przemówił. Popatrzyłam w jego migdałowe oczy, ale ten się poderwał, bo z pokoju wybiegła specjalistka od zarządzania zwierzyną.

– Na psy! Na psy! – Krysta żwawo dopadła drzwi i otworzyła je psu na oścież. Powiało letnim wieczorem. Szaki wybiegł na dwór, aż wzbil się kurz z rudej sierści. Przy okazji odpadły dwie klepki. Też nic nowego. Schyliłam się, żeby je wsunąć, choć nie miało to większego sensu.

Śmierdzi jak skunks, muszę go wreszcie wykapać – postanowiłam. Szaki nie lubił wody, przed kąpielą przemieniał się w wilkołaka, zrzucał kaganiec, obnażał zęby. A potem biegał po domu i wycierał mokrą sierść o kanapy.

Miałam plan, żeby po wyjeździe Marcina do jego szafy przenieść swoje rzeczy. Zaczęłam segregować kostiumy i bluzki, a potem zabrałam się za torebki. Wielką czarną powinnam odnowić, ale na razie przetarłam ją kremem. Powinnam wytrzepać wnętrze

torby, odwróciłam ją do góry nogami. I wtedy na podłogę wypadł ten brązowy notatnik. Ojej! Poczulałam się jak złodziej.

Przystojny Jurand ze Spychowa spotkany w restauracji! W sumie było miło. Ileż też mógł mieć lat? Pięćdziesiąt? A może pięćdziesiąt pięć? No cóż, nie był najmłodszy. Zauważyłam, że myślę o jego wieku w taki sam sposób, jak Krysta o moim.

Natychmiast powinnam do niego zadzwonić. Doskonale pamiętałam, że wizytówkę wkładałam razem z długopisem do wewnętrznej kieszeni w notatniku. Ufff, znalazłam. Była dwudziesta trzecia. Za późno na telefon. Włączyłam komputer i napisałam e-maila:

„Niekomfortowo się poczułam. Przekazał mi Pan na chwilę swój strasznie fajny notatnik i wyszło, że go zakosiłam. W jaki sposób mogę go zwrócić i zrekompensować nietakt? Przemoknięta znajoma z restauracji, Elżbieta”

## *Właścicielka*

Nienawidziłam rozmów z budowlańcami, znałam już wszystkie ich sztuczki, żeby klienta pozbawić kasy, a przy tym doskonale zdawałam sobie sprawę, jak opłakany jest stan mojego konta!

– To ile wyniesie całkowity koszt remontu? – zapytałam glazurnika.

– Wie pani, jestem bardzo drogi, ale za to mam bardzo krótkie terminy. – Spec od glazury błysnął zębami w uśmiechu.

– Hm, proszę mi podać koszt całkowity. Na gotowo.

Kiedy padła kwota, byłam pewna, że się przesłyszałam.

– Ile?!

Do diabła! Facet podał mi cenę z dokładnością, co do jednego parszywego zera! Miałam poczucie krzywdy finansowej, byłam zmęczona i zrezygnowałam z usług fachowca. Wiedziałam jednak, że to chwilowe i muszę się przeprogramować na pozytywne myślenie. Kiedy wyszedł, drzwi od centrum zarządzania otworzyły się gwałtownie, jak zawsze.

– Ciągłe ta hołota się tu kręci, jak po peronie! Nie życzę sobie! Psa byście lepiej w tym czasie nakarmili!

– Dobrze, dobrze, nie denerwuj się tak, babciu. Pies dostał. My musimy w końcu pogadać. – Skierowałam się za nią do centrum zarządzania.

Chciałam namówić ją, żeby poszła ze mną do banku i podpisała się pod kredytem hipotecznym. Wtedy mogłabym wreszcie dokończyć te wszystkie remonty i modernizacje. Dlaczego tak panicznie się jej boję? Krysta złą miną dała mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce. I jakimi emocjami skończy się nasza rozmowa!

– Nie jestem dla ciebie żadną babcią! – burknęła. – Jestem twoją matką! Proszę mi mówić: „mamo”. Dlaczego Aga może się do mnie tak zwracać, a ty nie?

Przyjęłam te słowa z podejrzliwością, wyraz „proszę” był niewątpliwie niezwykajny.

– No niby tak...

– Nawet zięć do mnie tak mówi. A nie jak tutaj, jakąś babcią ze mnie robią!

Rzeczywiście, miała rację. Nie była moją babcią, a ja nie potrafiłam zwracać się do niej w inny sposób. „Ma-ma, mama” – próbowałam kiedyś przed lustrem. Nijak mi to nie wychodziło. Nie potrafiłam do swojej matki powiedzieć tak najzwyczajniej w świecie: „mamo”. Moja mamo! Najzwyczajniej i najpiękniej – mamo!

– To co tam chciałaś? – Jakoś łagodniej to zabrzmiało, czy tylko mi się zdawało?

– Bo wiesz... Wziąłabym kredyt hipoteczny, żeby dokończyć wreszcie ten remont.

– To po co mi o tym mówisz? Weź i dokończ.

– Ale potrzebny jest twój podpis. Współwłaściciel też musi się podpisać.

Wtedy rozpętała się burza.

– Ja jestem jedyną właścicielką! A nie jakąś, jak ty to nazywasz, współwłaścicielką! O części po ojcu pewnie myślisz? To ja ją powinnam dostać! Żeby takie prawo w tym państwie wymyślić i całości majątku żonie nie przyznać, tylko



dzieciakom. Nie myśl, że uda ci się coś zagarnąć! Adze wszystko przekażę w testamencie, nie tobie. Za ten pysk? Podpis pod kredytem?! Ja nie potrzebuję brać żadnego kredytu! Jakbym chciała, to remont bym zrobiła bez pożyczki. Bo ja zawsze mam pieniądze. Nie to, co wy – prychnęła pogardliwie.

Chciałam zatkać uszy, dla mnie samej byłoby lepiej tych słów nie słyszeć, ona jednak mówiła głośno, dobitnie.

Za co mnie tak karzesz, za co? – pytałam bezgłośnie.

– Aga nie będzie tutaj mieszkać, mają dom w Zielonej Górze. Uzgadnialiśmy... – wyszeptałam, połykając łzy.

– Jeszcze ja tu rządzę. Masz tylko jedną siostrę, a tak jej nienawidzisz! Ty jej wszystkiego zazdrościsz.

– Czego jej mogę zazdrościć?

– Wszystkiego. Urody, wdzięku, gustu, męża, tego, że potrafi jeździć samochodem... Nawet mojej miłości jej zazdrościsz...

Uderzyła w czuły punkt. Precyzyjnie! Powtarzałam sobie w duchu, że wcale mnie to nie boli. Nic mnie nie boli. Tralala la. Nie mam poczucia krzywdy. Nie zazdroścę Adze. Po prostu lepsza jest, zdarza się. Ona jest warta miłości. Ja nie. Wiedziałam o tym! Krysta od zawsze mi to powtarzała...

Matkę ma się jedną. Powinnam ją kochać, bo przecież jest moją matką. Odetchnęłam głęboko. Może i mam mniej pieniędzy, ale gdybym nie musiała za nich wszystkich płacić, gdybym nie robiła remontów, wymian podziurawionych rur, to i ja spałabym spokojnie.

Wyszłam bez słowa, z nerwów trzasnęłam drzwiami. Gdy tylko znalazłam się w stróżówce, wyjrzałam oknem, senior Kędziora głaskał po włosach swoją najstarszą córkę, wnuczki sadzały przy stole schorowaną babcię. Zięciowie rozmawiali, stojąc w drzwiach do jadalni, śmiali się. Tym razem nie powinnam uczestniczyć w kolacji, mogłabym popsuć im nastrój.

Usiadłam przy komputerze i kliknęłam myszką. W skrzynce było kilka e-maili. Nieważnych. Z wyjątkiem jednego.

Jurand ze Spychowa napisał tylko dwa zdania:

„Czy po to prowadziliśmy filozoficzny dialog w dżdżyste popołudnie, by teraz dyskutować o socjologii? Czy po to doszliśmy do kul, żeby teraz stanąć przed powierzchnią gładką? Proszę, daj mi swój numer telefonu. Nie ma mnie teraz w kraju, ale gdy wrócę za kilka dni, zadzwonię. Julian”.

Zrobiło mi się gorąco. Miał refleks – przy drugim kontakcie bez skrępowania przeszedł na „ty”. Nie zawahałam się ani minuty. W odpowiedzi wystukałam numer swojej komórki i prędko wyłączyłam komputer. Potem to samo zrobiłam z telefonem komórkowym. Zamknęłam oczy, a za chwilę wyszłam na korytarz. Żadnego Krzyżaka w pobliżu nie było, kiedy ja, Becia, odważyłam się pochwycić różę od Juranda ze Spychowa.

## *Małorolny osadnik zza Odry*

Ostatnie odliczanie. Już dwie godziny Marcin i ja pakowaliśmy walizki. Tę olbrzymią udało się w końcu zamknąć. Chwyciłam ją za rączkę, chciałam postawić na kółkach. O rany, ważyła chyba z osiemdziesiąt kilo! Czego tam nie było? Chyba tylko palety przypraw, bo w ostatniej chwili dokupiłam kilka paczek makaronu i jeszcze ze cztery sosy w słoikach. Pies obwąchiwał to wszystko i merdał ogonem.

Boguś z papierosem w ręce stał w korytarzu, tuż przy drzwiach, i z zaczepnym uśmiechem przyglądał się całej akcji. Krysta siedziała w drzwiach kuchni na zydelku i co chwilę pukała się w czoło. Przez te miny wyglądali jak matka z synem. Zresztą Boguś, gdy utył, upodobił się do niej na tyle, że mało wtajemniczona w nasze rodzinne koligacje Kinga niedawno przekazywała mi pozdrowienia dla teściowej.

Tego dnia między Krystą i Bogdanem znów zadzierzgnęła się więź, oparta na wspólnym poglądzie na temat mojej domniemanej głupoty.

– No, powiedzmy, że większość rzeczy mam... – Marcin postawił obok drzwi drugą walizę, nieco mniejszą.

– Żartujecie sobie, nie lepiej by było, gdybyście do szafy ubraniowej doprawili u stolarza kółka i rączkę? – Bogdan rechotał z korytarza. Odwrócił się w stronę Krysty, szukając w jej oczach wspólnoty.

– Tyle mu tam naładować! Będzie chłopak wyglądał jak małorolny osadnik zza Bugu – wtórowała mu Krysta.

– Nie słuchaj ich, Marcin. Dobrze, że jedziesz autobusem, bo gdybyś leciał samolotem, to na pewno trzeba by było dopłacić za nadbagaż, a tutaj zakończy się to jakimiś dwudziestoma złotymi, mam nadzieję.

Wytaszczyliśmy wszystkie pakunki i nastąpiło szybkie pożegnanie z Bogusiem i Babcią. Musiałam syneczka osobiście odwieźć, co tu dużo ukrywać – chciałam z nim pobyc. Długo, najdłużej!

Chwila pożegnania była dla mnie ciężka, zalałam łzami siebie i Marcina. Po czterech godzinach wróciłam do domu jak wdowa w najcięższej żałobie. Ścieżką wzdłuż domu przeszłam na tyły ogrodu. Uszczknęłam truskawkę z krzaka, potem dwie maliny, kilka czereśni prosto z drzewa, w końcu i późną papierówkę spod drzewa podniosłam. Wdychałam zapachy piwonii, róż i maciejki.

Słońce odbijało się od tafli oczka, kończyło swój codzienny bieg, umykając przed nocą. Ze ściętej trawy Boguś utworzył kopiec. Tatarak tego roku wyrósł dłuższy niż średnica oczka. Mnie jednak było wyjątkowo źle na duszy... Wciąż nie miałam ochoty wejść do domu. Nieco później gwiazdy utkały na niebie pajęczynę, a księżyc śmiał się kpiąco, drażniąc mnie jeszcze bardziej swoim blaskiem. Położyłam się na kopcu, z wysuszonego siana ugniotłam wałek i włożyłam go sobie pod głowę. Plusk rybek i pomruk samotności ukołysały mnie...

Nagle obudził mnie koci wrzask. Ujrzałam ciemność, wśród której dominowała para świecących oczu. Czy to sumienie zastawia na mnie sidła? Że źle traktuję własną matkę! Myślę o niej „Krysta od Antychrysta”! I ona płacze przeze mnie! A może i umiera,

tak cicho w domu! Zerwałam się i pognałam do domu, pchana przestraczem. Jak zawsze, o matkę.

Klucz wszedł do zamka zadziwiająco lekko. Oparłam się plecami o drzwi. A w domu? Cisza, ciemność i pustka. Słysząc było tylko pochrapywanie Bogusia i gwizdy Babci. Z ulgą klapnęłam na kanapie. Na TEJ kanapie! Nie zapalając światła, w stróżówce włączyłam komputer.

Malinowa Trufla pisze:

*Na moich sosnach postanowiły uwić gniazdo dwie sroki. Ona i on. Fundamenty pod ciepły ptasi dom na zimę tworzą krótkie, cienkie gałązki. Zachwyciły mnie te ptaki, pracowicie transportujące budulec. On był bardzo pracowity, ona mu pomagała, nie była w żaden sposób dominująca. Widać, że ptasi świat ma swoje własne konserwatywne prawa, nie tak zreformowane jak ludzkie. Tak. Zazdrościłam jej. Prawdziwe życie dzieje się w parach.*

Komentarze: 1

*Na temat kodeksu rodzinnego i opiekuńczego możesz ze mną gadać w nieskończoność. Jurek*

*P.S. Ten sam, który jakiś czas temu wsadził tutaj swoje trzy grosze :)*

Przez kilka dni opłakiwałam wyjazd Marcina. W zasadzie brak kontaktu ze strony Juliana także. Było popołudnie. Dwie godziny gapiłam się na sroki, które na mojej sośnie wiły sobie gniazdo. Potem przeliczałam rybki, od dawna nie widziałam maleńkich z tego sezonu, widać pożarły je większe okazy. Zwierzęce instynkty przeniosły się z domu do ogrodu. Wrrr.

Drewniany dziad znad oczka zdawał się mną interesować. Szary jest, zlewa się z kamieniami – pomyślałam o wystruganym starcu. I zamotałam mu na szyi czerwoną apaszkę. Wprawdzie był to tylko skrawek czerwonego nylonu, ale od razu taką cudowność poczułam. I tę intensywną barwę.

Ptaki śpiewały, sosny chciały mnie zaczarować (po deszczu akurat było) swoim aromatem. Za płotem dziadek Kędziora chodził z konewką po ogrodzie i nucił balladę indiańską: „Wędrowną jedną życie jest człowieka, idzie wciąż, dalej wciąż, dokąd, skąd, dokąd, skąd...”. Jakież to były odkrywcze treści, nie tylko dla Indian! – myślałam bez ironii. Od tej czerwonej apaszki na szyi dziada i słów ballady, a także jej melodii, mój świat nabrał jaśniejszych kolorów. Mój świat, moja wędrownka...

Wieczorem wróciłam do domu. Jadłam jogurt z płatkami, łyżeczką wyskrobywałam resztki. I wtedy przyszła Zośka.

Nie znoszę jej najazdów, nie toleruję. Słyszę pukanie do drzwi, myślę: „listonosz”, otwieram, patrzę – a tu Zośka. Zarówno na listonosza, jak i na nią pies reaguje równie zajadle. Na listonoszu ma prawo czuć zapach innych zwierząt i ludzi, ale na niej...?

– Aleś łakoma! Zedrzesz z kubka całą politurę! – Patrzyła na mnie wymownie. – No i co? Nie poprzyklejał? – Palcem celowała w ohydny podłogę w przedpokoju, szpicem czerwonej szpilki kopnęła luźne klepki.

Po co!? Czyżby przestała się wreszcie skupiać na żalostnej pogoni za orgazmem?

– Wzięłabyś niewielki kredyt hipoteczny – ciągnęła – one są nadal tanie, mogłabyś zrobić wszystko za jednym zamachem. Ja tak zrobiłam i mam teraz spokój.

– Masz inną sytuację prawną niż ja. Nie widzisz, że mam hamulec czy też, jak by to najlepiej określić, ogon? Nic nie mogę w takiej sytuacji zrobić. Ani w tę, ani w tamtą.

– Krysta od Antychrysta? – szepnęła Zośka z przestachem spoglądając na drzwi do centrum zarządzania parobkami.

– Aha. – Pokiwałam twierdząco głową.

– Boguś jest?

– Jest. Bogdan! Chodź do nas, Zośka przyszła.

– Poczekaj, nie wołaj go. Muszę ci to powiedzieć. Rysiek zapił i spalił nasze mieszkanie na Starym Rynku! Siedem wozów strażackich je gasiło, wszystkie gazety o tym piszą. Nie czytałaś?

Pokręciłam przecząco głową.

– Teraz niech mu brat załatwi schronisko dla bezdomnych!

– Szkoda mieszkania, ładne parkiety tam miałaś. Taki pijus to też dla ciebie nie lada ogon... – zrewanżowałam się.

Boguś stanął nagle w drzwiach, uśmiechu na jego twarzy nie można się było dopatrzeć, mierzył Zośkę wrogo. Ona się usztywniła na jego widok, jak podczas zajęć z wojskowości na studiach. A miała się wtedy czym martwić. Była najniższa w grupie – gdy ją położyć, mieściła się na biurku – toteż służyła jako model do pokazywania metody ratowania w trybie usta-usta.

Zapadła cisza. Bogdan był naprawdę zdenerwowany.

– Idiotka! Żebyś mnie od ogona wyzywała?! Dalej tak buntuj Betę! Pilnuj lepiej swojego jurnego kochanka!

– O co ci chodzi? – Zmarszczyłam czoło.

Zośka zaniemówiła, siedziała nieruchomo w nienaturalnej pozycji, poczerwieniała na twarzy, ale tak jakoś nierównomiernie. Jej szyję i twarz szpeciły czerwone place, prawie jak ten w Moskwie. Zaczęła się zawzięcie drapać.

Oczywiście byłam pewna, jakie myśli zaprzętały jej mózg. „Znajdź sobie młodszego kochanka” – to teraz myślała. Na pewno! Ja zaś byłam wtedy gotowa przyznać jej rację. Co do tego kochanka, rzecz jasna. Ale czy młodszego? To nie, raczej nie. Wręcz przeciwnie. Od starszego mogłabym czerpać wiedzę z jego doświadczeń, byłby mądry i wrażliwy... Szarmancki i opiekuńczy. O tak, właśnie taki ktoś był mi potrzebny od zaraz!

– Słuchając jej dalej, daleko nie zajdziesz. We własnym domu będzie mi żonę toto buntować! – Boguś stał nade mną i Zośką jak kat.

Zośka poderwała się z fotela i wycedziła do mnie nadzwyczaj – jak na gwałtowność sytuacji – spokojnie:

– Bacia, nie to, że mi z tobą nie po drodze, ale przyjdę dopiero wtedy, gdy go stąd wypieprzysz!

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, trzasnęła drzwiami, nawet się nie pożegnała. Słyszałam stukot jej czerwonych czółenek na chodniku przed domem. Szaki pognał za nią

i zawył zza furtki jak kojot przy pełni księżyca. Najpierw szczeka, gdy ktoś przychodzi, potem jeszcze głośniejsze, że wychodzi!

Odczekałam, aż Bogdan wróci do komputera i znów zapragnie gadać ze swoimi kolesiami, z których absolutnie każdy mógłby bez charakteryzacji zagrać w *Walce o ogień*. Chciałam zjeść kolację w towarzystwie Kędziorów. Jednak nie dane mi było zaznać spokoju w tym domu.

Drzwi od centrum zapiszczały, Krysta wyszła z kubkiem herbaty w ręce. Na twarzy miała wypisane: „Wiem lepiej!”.

– Same suki masz za znajome! Jak ona może malutkie niewinne dzieci uczyć? I czego? – zasyczała.

– Jak ty mówisz! A u nas niby co jest, idealnie?

– Ten, który ją wozi, mógłby być jej synem. Wytatuowany, z łańcuchami na szyi. Widziałam, jak na niego patrzyła. Jak suka od Pawlaków, którą kiedyś musiałam od naszego psa odrywać. Myślisz, że jestem ślepa?

Wzruszyłam ramionami i przymknęłam drzwi od stróżówki. Kędziorów już dawno nie było przy stole. Nie tańczyli też sąsiedzi z drugiej strony płotu. Poczulałam się rozczarowana. Wyciągnęłam z drewnianej szkatułki złoty łańcuszek z maleńką cyrkonią. Raczej nie lubiłam złota, ale kupiłam, bo nie był drogi. Dzień przed swoimi imieninami zaniósłam go Bogdanowi, żeby na niby mi go ofiarował. No i wręczył mi ów łańcuszek z miną, jakby się wykosztował. Nawet Krysta uwierzyła, i Marcin też. Krzysiek tylko powątpiewał.

Przejrzałam się w lusterku, na mojej opalanej skórze złoto ładnie się prezentowało. Sama nie wiem, dlaczego wcześniej tak bardzo uczepliłam się srebra. Posiedziałam jeszcze chwilę w fotelu, a potem na Skypie wywołałam Marcina. Był.

– Co tam? – mruknął.

– Ech, bo wiesz... Mam bardzo zły nastrój. Właściwie odkąd wyjechałeś nie jest ze mną najlepiej.

– Czyli po staremu...

No tak, po staremu. Nikogo już nie dziwi, a tym bardziej nie martwi moja trauma – pomyślałam. Westchnęłam. On też.

– Babcia, twój ojciec, pies, remonty, brak kasy, te rzeczy... Szkoda mówić, nie wiem, czy chcę cię tym wszystkim obciążać, bo jednak taką, a nie inną rodzinę daję ci w spadku. To zło za wami pójdzie, do dwóch następnych pokoleń włącznie...

– Mamo, damy radę. Nie obwiniaj się. Gorzej by było, gdybyście byli Filipińczykami i paśli mnie zapłodnionym kaczym jajem. Co porabiasz?

– W sumie nic szczególnego. A wiesz, co wisi teraz na mojej szyi? Chyba nie zgadniesz... – Staralam się brzmieć radośnie. Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze.

– Pewnie, że wiem... Na szyi mojej mamy wisi mój ojciec.

## *O przelewie rozmawiam!*

Następnego dnia po tym, jak Boguś przegonił Zośkę, czyli w sobotę rano, zadzwonił mój telefon komórkowy. Ojej. Z mety poczułam szarpaninę w klatce piersiowej. Bo to był On – Julian, czyli Jurand! Rycerz w zbroi ze stali herceńskiej! Czy zechciałabym zjeść niedzielne śniadanie w jego ramionach...? To znaczy w towarzystwie. Niekoniecznie jednodaniowe.

– Panom doświadczonym wiekiem należy się znacznie więcej – negocjował. – Wróciłem, jestem Julian, by formalności stało się zadość.

– A ja Be... to znaczy Elżbieta.

Śniadanie poza domem z odpadającymi klepkami, w niedzielny ranek, z dala od moich dalekich bliskich! Jedzone w towarzystwie mężczyzny, nieznanego przecież, może być bardziej intymne niż seks. Zaraz tam seks! Najważniejsze, że będzie bez toksyn unoszących się nad kubkiem kakao, nad kanapką z jajkiem i nad sałatką grecką. Umknęłabym tyranii.

Zrobiło mi się gorąco, bo ten głos w słuchawce, te zawieszenia tonu, niedopowiedzenia... Skończę, nie będę dalej wymieniać. Zresztą, skoro Boguś słyszał szept o ogonie, to tym bardziej usłyszy o śniadaniu poza domem. Kurczę, poczułam, że cudzołożę, w dodatku niemal na jego oczach. Niewątpliwie dobrze, że nie na naszej wulgarnej kanapie.

Wybiegłam, a raczej wyprysłam, na klatkę schodową z telefonem w spoconej z nerwów ręce. Obejrzałam się. O zgrozo! Za mną biegł Szaki i wesoło merdał ogonem, a tuż za nim toczył się Boguś.

– Ciii, szef dzwoni – szepnęłam do Bogusia.

Zastanawiające było jego ożywienie, jakby właśnie teraz wyszedł z kilkunastoletniego marazmu. Na złodzieju robią się z jego czapką dziwne rzeczy!

– W wolną sobotę? – Boguś stał się rzeczowy.

– Z trasy dzwoni, przelewu potrzebuje. Padło mu auto. Mam skasować połączenie? Nie rozmawiać?

Wraz z pierwszym kłamstwem przysłała mi ochota na kolejne. Nie miałam doświadczenia w małych kłamstewkach (ani tym bardziej w większych matactwach), oprócz rozmów z kontrahentami, rzecz jasna. I ten zdradzający mnie napad gorąca! Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie nadaję się na niewierną żonę, jednak ta ewentualna niewierność wydała mi się bardzo pociągająca i mogła być jakimś rozwiązaniem!

W ogrodzie zgubiłam Bogdana i odzyskałam polot.

– Przepraszam, już jestem. Mam rozumieć, że chodzi ci o bardziej osobistą rozmowę? – zachrypiałam w telefon nieco bardziej kokieteryjnie.

Zawsze w stresie albo onieśmieleniu miałam przymus odchrząknięcia. Coś mi się w gardle tworzyło. Julian zachichotał. Też się zaśmiałam, właściwie nie wiem, z jakiego powodu. Jednak dalej było już tylko gorzej. Dając wyraz swojej zwykłej niepewności, zaczęłam się wycofywać.

– Będzie mi miło. Ale nie mogę jutro, mam gości. Zatem może w poniedziałek po

południu...? A jeśli nie, to być może nawet we wtorek. Jeżeli będzie to możliwe... Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że raczej ten wtorek byłby prawdopodobny. Jak mi się uda... – plątałam się, zdawałam sobie z tego sprawę.

– Wtorek, bo nie znoszę czekać! Umawiamy się na śniadanie na siedemnastą. Czuję, że muszę przejąć ster – oświadczył stanowczo mój rycerz.

Malinowa trufla pisze:

*W dzieciństwie dziadek śpiewał mi pieśni legionistów, a babcia recytowała wiersze o miłości. Wokół domu rósł czarny bez, pachniało lipą, pod wielkim drzewem miał legowisko szary pies podwórzowy. Rodzina mieszkająca dwa domy dalej codziennie piekła chleb, jego zapach unosił się nad całym miasteczkiem. W każdą niedzielę we wszystkich domach na obiad podawano rosół z kury, żółty, z wielkimi oczkami tłuszczu i koniecznie z domowym makaronem. To były piękne czasy.*

*Cudownie jest jeść jeszcze ciepły chleb i obiad zaczynać rosółem. Dzisiaj chciałabym choć przez chwilę poczuć szczęście. Jest to trudne, bo wiem przecież, że szczęście trwa za krótko. Że zawsze się kończy. Niech mnie ktoś przekona, że tak nie jest. Chcę tego.*

Komentarz: 1

*Wysłałem e-maila na blogową skrzynkę, proszę, przeczytaj. J.*

## Śniadanko o 17.00

No i dożyłam do tego wtorku. W pracy siedziałam jak na rozżarzonych węglach, a gdy wreszcie dotarłam do Starego Rynku, kilka razy obeszłam plac, zanim odważyłam się wejść do restauracji. A potem te róże! Nigdy, przenigdy nie dostałam tak wielkiego bukietu, musiałam na to czekać przeszło czterdzieści lat! Julian ujął mnie już na wstępie. Widziałam go zaledwie raz, a witał mnie tak, jak wita się wiosnę po długiej i mroźnej zimie! Poczułam się szarą Becią z wielkim bukietem wiśniowych róż. Skąd wiedział, że akurat takie lubię? Dlaczego nie rozumiał, że będę musiała je potem gdzieś porzucić? Były przepiękne, akurat do zasuszenia!

Międliłam w ręce paczkę, którą mi wcisnął. Złoty papier opinał ją, jakby był szyty na miarę. W pewnej chwili spadła mi torebka. Nie zdążyłam go ubiec, więc dałam za wygraną i pozwoliłam się obsłużyć. Siadłam na krzesło i zerkałam, jak lekko falowane włosy spadają mu na oczy przy każdym, najdrobniejszym nawet ruchu, jak przeczesuje je palcami. I przypatrywałam się, jak jedwabna, czarno-biała gawroszka, ciasno zawiązana na jabłku Adama, podskakuje na szyi przy każdym wypowiedzianym słowie.

Trzymałam złocisty pakunek, przesuwając dłoń po aksamicie delikatnego papieru. Mój Jurand, widząc, że jestem zakłopotana, wyjął mi paczkę z rąk i zaczął ją rozpakowywać.

– Zanim byś przełamała niepewność, mnie rozsadziłaby niecierpliwość – powiedział, przysuwając swoje krzeselko bliżej mojego.

W sali klubowej Browarii było niewielu gości. Kelner podał karty, a Julian położył przede mną książkę z wygrawerowanym tytułem: *Dzieje Sobkowiaków*.

– Ze względu na to, że wszyscy moi przodkowie wymarli, a nie chciałbym, żebyś pomyślała, że się urwałem spod jakiegoś ogona... Mam wprawdzie syna, dwie córki, jedną synową i wnuczki, ale z nimi bałbym się ciebie zapoznać. Mam też dwie byłe żony, żyjące, bo trzecia umarła... Z nimi też nie chciałbym absolutnie nikogo zapoznawać. – Julian zrobił minę skruszonego dzieciaka i zaczął się śmiać.

Rozśmieszył mnie. Miną, a wcześniej – wspominając o tym ogonie. Parsknęłam śmiechem, a potem zaczęłam wertować książkę. Strona tytułowa, autor opracowania – Julian Sobkowiak. Cóż to za rodzina była! Opracowanie zawierało mnóstwo fotografii. Wśród Sobkowiaków było wielu uczestników powstań, w tym dwóch powstańców wielkopolskich – ojciec i dziadek ze strony ojca Juliana.

– Myślę, że każdy z nas zostawia po sobie pamiątki, ale to ze zdjęć zwykle poznajemy czyjąś historię, jakby nie można było poznać jej za życia człowieka. Wyobraźnia podpowiada nam historię dużo bardziej intrygującą, niż gdyby ten ktoś sam nam ją opowiedział... – stwierdziłam.

– Wiesz, Elżuniu, gdy spojrzysz na to szerzej, to cała historia ludzkości jawi się jako jeden wielki horror. Natomiast znam wiele pięknych historii pojedynczego człowieka...

Nie miałam poczucia straty czasu, wręcz przeciwnie. Pamiętał o wszystkim, co kiedyś powiedziałam, podrzucał tematy do dyskusji, interesował się mną, adorował...



– A jak się ma nasza sprawa? – zapytał przy deserze.

– Chwilowo niebezpieczeństwo jest zażegnane, ale stałam się nieufna, bo czuję, że to nie jest koniec. Chodziło o utratę pracy, a ja w tej firmie pracuję ponad dziesięć... Dwanaście nawet chyba...

– Nie czas na zmianę? To bardzo długo! Może zaryzykuj...

Nawet nie wiem, kiedy upłynęły trzy godziny. Julian uparł się, że mnie podwiezie do domu. I co ja teraz miałam zrobić?! Czekają na mnie przecież tyle przeszkód: Boguś, Krysta, Kędziorowie, a po drodze wstrętne babiszony, w tym jeden na wózku inwalidzkim, Kilkakrotna Wdowa. Wdowy z ulicy. W każdym domu jakaś. Poza tym matki z kółka różańcowego. W końcu uzgodniliśmy, że owszem, ale wysiądę na sąsiedniej ulicy.

„Zaryzykuj! Zaryzykuj wreszcie” – brzmiało mi w uszach!

Po piętnastu minutach jazdy wjechaliśmy w moją dzielnicę. Julian zaparkował przed zamkniętym sklepem spożywczym.

– Spokojnie, zdaję sobie sprawę, że masz męża. Uwierz mi, że starsi faceci bardzo się podobają mężom młodszych kobiet, ryzyko wypadki jest więc niewielkie. – Julian mrugnął do mnie. – Ale daj znać, że dotarłaś do domu bezpiecznie. – Chwytał mnie za rękę i mocno uściśnął. Lubiłam jego mocne dłonie z krótko obciętych paznokciami o kształcie łopatek, opalone, z siatką żył.

Rozglądałam się po okolicy z lękiem. Ze czterdzieści metrów od miejsca, w którym zaparkował Julian, za siatką z kolczastego drutu, czatowały na przechodniów dwa wielkie psie bydlaki, którym śmierdziało z mord na kilometr. Chodnikiem toczył się miejscowy pijaczek, robiąc jeden krok w przód i dwa do tyłu. Po skwerze spacerowały nieznane mi kobiety z psami.

Z samochodu wysiadłam już jako Elżunia! Jednak nie kierowałam się w stronę domu, stałam obok auta i czekałam, aż Julian uruchomi silnik i odjedzie. On tymczasem zwlekał, odwrócił się znów w moją stronę.

– Chciałbym cię zaprosić do siebie na kolację. Przyjechałabyś? – Zajrzał mi głęboko w oczy. – Pokażę ci hodowlę kaktusów, obraz przodka powstańca i parę innych ciekawych rzeczy, czym mój dom bogaty. Co?

Nie odpowiedziałam.

– No dobrze, mówię tak, bo wiem, że potrzebujesz pretekstu... – Wychylał się z okna samochodu, biała, lniana koszula rozpięła się na jego opalonej piersi.

Poczułam jakąś dziką siłę. Czyżby popęd? Coś takiego!

– Taaak. – Mrugnął po łobuzersku. – Z tymi kaktusami to nie jest żadne oszustwo, uzbierało się ich trochę przez lata. Zapewniam, poczujesz się u mnie jak w tropikach.

– W tropikach? Dlaczego nie – wyszeptałam tak cicho, żeby słowa nie dotarły do mojego ucha.

– Co byś powiedziała na piątek po południu? Mężatki z obcymi facetami tak zwaną kolację muszą jadać, niestety, w porze obiadowej – zawołał, ruszając.

Znowu mnie rozśmieszył. Dobrze się bawiłam, po co wszystko roztrząsać w kategoriach: „wypada – nie wypada”?

– Julian, wiesz co? Dziękuję.

Chwilę później dwa psy narobiły rabanu na całą ulicę, chociaż chciałam przemknąć niezauważona. Wydawało mi się, że zza firanek obserwują mnie (i mój bukiet z róż) wszystkie głodne intrygujących nowin wdowy. Jedna z nich miała nawet nadprzyrodzone zdolności, ze swojego okna widziała, co się dzieje w najbardziej oddalonych domach. Relację mogła zdać ze szczegółami. Krysta nieraz opowiadała różne historyjki, głównie o tym, kto się najbardziej puszcza i z iloma naraz. Słyszałam kiedyś, że jedna matka różańcowa nie rozmawia z drugą czterdzieści lat z powodu domniemanego romansu z mężem tej pierwszej. Mimo urazy, wdowy na pogrzebach stały w orszaku obok siebie, a raz nawet jeden sztandar niosły.

Na dworze pachniało kwiecie. Już byłam blisko... Przed furtką dogonił mnie dzwonek telefonu. W tym momencie przypomniałam sobie, że natychmiast powinnam coś zrobić z pękiem kwiatów „dla Elżuni”. Wpakowałam go do pojemnika na śmieci. Podjęłam rozmowę.

– Aaaa! – usłyszałam piskliwy głos Kingi. – Przyłapałam cię w restauracji na gorącym uczynku! Przechodziłam i widziałam przez okno. To sobie cichaczem absztyfikanta znalazłaś. Boski! A jaka nonszalancja w ubiorze i prezencja! Wygląda jak Redford! No, no, a taką zawsze udawałaś świętą Bogusiową!

Ona zawsze musi się szwendać tam, gdzie ja? Naprawdę musi? Przecież nie jest już taka młoda, żeby po mieście wieczorami chodzić! Ładna i zgrabna jest, to fakt, więc może ją nawet ktoś zgwałcić! Że też się nie boi! Nie, nie dam jej satysfakcji! Za te pretensje o symulacje, za pomiatanie i zwłokę w opłacaniu mojej pracy?! Za figurę wydrenowaną i włosy od Lucjusza? Za usta napchane jakimś specyfikiem i za ostrzyknięte wszystkie bruzdy! Nawet kilka fiolek kwasu mogli jej zaaplikować, a jedna kosztuje od ośmiuset złotych wzwyż. No cóż. Nie zapłaciła mi jeszcze za usługi, to i myśleć o niej zaczęłam cierpko. Takiej nie chce się mówić prawdy!

– Coś ty, to był starszy brat mojej koleżanki. Takiej Zośki. Robię dla jego firmy rozliczenia – skłamałam.

## Romanse na starość

Było późne popołudnie w środę. Znowu musiałam ugościć Agę i jej przejaskrawioną miłość do Krysty. I przy okazji wytrzymać swoją zazdrość. Ha! Sama przyjechała! Nie z Anglii! Z Zielonej Góry tym razem! Poza tym tłukła się pociągiem jak przeciętni ludzie! Na TLK się żaliła. Wkurzające są te wszystkie jej odwiedziny, te szepty w pokoju Krysty, półsłówka. Kiedyś podsłuchiwałam, przyznaję się. Tylko mi się smutno zrobiło. „Mamusiu – wdzięczyła się Aga – tak mi przykro, że cię źle traktują. Ale życie na pewno kiedyś obróci się przeciwko nim. Zobaczą, jak to jest!”

Nie warto podsłuchiwać! Naprawdę! Dużo lepiej jest żyć w nieświadomości!

Musiałam podać kawę i siedzieć razem z nimi, wzięłam więc ze sobą laptop. Tak bardzo chciałam napisać e-maila do Juliana. Pobyc Elżunią. Przeszukiwałam pocztę. Cofnęłam się do początku naszej korespondencji, żeby nadać swoim słowom odpowiedni sens, a może nie zgubić wcześniejszego? Szukałam w myślach czegoś dowcipnego.

– Co ty tam robisz w tym komputerze? – Podskoczyłam na krześle. Aga była mną zaintrygowana! Krysta zaś częstowała ją sałatką jarzynową utopioną w majonezie. Fúj. Obrzydliwość. Aga mlaskała z przejęciem. I chwaliła. Jednak stanowczo odmówiła dokładki.

– Ona zupełnie nic nie robi całymi dniami, tylko w tego laptopa patrzy. – Krysta nie dawała za wygraną. Musiało stanąć na jej tezie. Na jej półprawdzie. Tak, nic nie robi. Rzeczywiście. Tylko chodzi do roboty jednej, drugiej, szuka w Internecie ofert zatrudnienia nawet za granicą – gdyby dobrze płacili. Poza tym remontuje dom, pielęgnuje ogród. Opłaca wszystko, utrzymuje domowego żigolo. Ta bezimienna „ona”. Tylko to robi. To jest, do cholery, drobiazg?!

Nie dać się sprowokować – myślałam. – I nie tłumaczyć się z patrzenia w laptop. O nie.

– Książki jakieś piszesz czy co? Bo tak przewijasz te strony i przewijasz.

– Chyba że romanse na starość. – Krysta chichotała.

Wolałam, gdy się tak chichrała.

Przeglądałam statystyki na moim blogu. Niewiele zdarzeń tam było, kilka czytań zaledwie, ale był komentarz pod ostatnim wpisem. Przeczytałam pobieżnie, nie zainteresował mnie. Że e-mail jakiś... gdzieś... Potem zajrzę do skrzynki e-mailowej, którą stworzyłam wyłącznie na potrzeby bloga. Odpiszę, owszem, ale później. Weszłam w blogowe ustawienia. Pomyślałam, że będę musiała zablokować możliwość dodawania komentarzy. Nie dla nich piszę. Dla siebie. Dla pamięci.

Właśnie otwierałam e-maila od Juliana. Ucieszyłam się. Płowy i piękny Redford. Silny, waleczny Jurand walczy o mnie z całym tym wrogim i popieprzonym światem! Rzuca mu wyzwanie, wyciąga miecz. Nie boi się przegranej.

„Myślałem o Tobie, Elżuniu. Masz tak wiele na głowie, ale pamiętaj, kto dużo obejmuje, słabo ściska. Musi zatem więcej odpoczywać. Co byś powiedziała, gdybym Cię zaprosił na krótki wypad wypoczynkowo-kulturalny do Rzymu? W Termach Karakalli pod koniec lipca mają dawać *Toscę*. Na otwartym powietrzu! Wiem, że teraz doznałeś

szoku, a może nawet zakłętaś siarczyście, ale przeczytaj uważnie mojego e-maila i zgódź się, proszę. Możemy o tym pogadać w piątek, podczas naszej kolacji”.

Zmieszałam się. Wprawdzie potrzebowałam innego punktu odniesienia, miejsca, gdzie mogłabym uciec, i w ogóle. Ale nie tak szybko! Emocje! Tyle się dzieje w ostatnim czasie, niedawno pożegnałam Marcina, a teraz... Za kilka dni?! Jakiś chochlik szeptał mi do ucha: „A dlaczego miałyby być wolniej? Hę? Że uczuciem w pierwszej fazie można zarządzać? Na przykład je sobie odradzić? No niby można. Tylko po co?”.

Krysta wciąż chichotała, śmiesznie podrygując, wielkie piersi, duży brzuch, policzki – wszystko się trzęsło. Uświadomiłam sobie jednak, że ona śmieje się ze mnie, jednocześnie zdałam sobie sprawę, w związku z Julianem, że w swoim życiu pobiłam wszystkie możliwe rekordy bierności. Aga przerzucała kartki jakiegoś kobiecego miesięcznika. Zatrzymała się na modzie. Chcę być podobna! Też chcę mieć takie troski jak moja siostra! Mnie też się coś od życia należy! Ciekawe, czy wie o ekscesach swego męża. Uśmiechnęłam się do tej myśli. To się kiedyś zdziwi, i wreszcie zejdzie ze swojego piedestału!

Bogusia nadal nie było w pokoju. Szaki biegał pomiędzy Agą i mną, merdając ogonem. Potem stanął i popatrzył na Krystę pytająco.

– No, nawet pies się dziwi, co ona tam robi. Najbliższa rodzina przyjechała, a ta siedzi z nosem w komputerze. No chodź, chodź, dobry piesek.

Szaki oparł się o kolana Krysty i zaczął lizać jej rękę. Pogłaskała go. Wtedy zaczął z zawrotną prędkością wachlować ogonem, nigdy wcześniej nie widziałam tak rozpędzonego kawałka psiego cielska z rozczochranymi włosami na końcu. A la pędzel. Niestety, puścił bąka. Krysta i Aga zaczęły się śmiać.

– Reaguje zupełnie jak człowiek – przypochlebiała się Aga.

Te okoliczności, kto to wie... dość, że nagle podjęłam decyzję. Wybór miałam bardzo ograniczony: krótka piłka. „Tak” i Rzym. „Nie” i rodzinne bagno. Rzym! Pomimo lęku przed lataniem, lęku przed nieznanymi mężczyznami, przed dużym skupiskiem ludzi, lęku przed jazdą samochodem na miejscu pasażera. Na miejscu kierowcy zresztą też... Rzym!

„Zdaje się, że mnie – subtelnie, bo subtelnie, ale jednak – opieprzyłeś. No cóż, jestem do tego nawykła, chociaż nie z Twojego powodu. W ilu pokojach będziemy mieszkać? I tak się zgadzam! I boję się. Elżbieta”.

– No, siostra, naprawdę jakoś dziwnie wyglądasz. A może gołych facetów sobie ściągasz? Pokaż, no pokaż! – Aga próbowała zajrzeć mi w ekran.

Nie przyszłoby im do głowy, że ja, szara i zahukana Becia, mogłabym się spodobać.

Skóra Elżbiety przestawała mnie cisnąć.

## *Brzmi dochodowo*

– Cały świat się boi świńskiej grypy, ludziska maseczki noszą, a pan prosto na mnie kaszle! – strofowałam Bernarda, który, prychając, rozsiadł się przy biurku naprzeciw mnie.

W Mieteksie poniedziałek bywał dniem na otrząśnięcie się z weekendowego lenistwa, wielkie markowanie pracy. Przy czym ja kiedyś tego nie praktykowałam, zaszywałam się w świecie cyfr i przepisów, praktycznie niewiele się do innych odzywając. Jednak odkąd odebrano mi ukochane zajęcia, i mnie zdarzało się grać zapracowaną. Do mojego pokoju zaczęli zaglądać różni firmowi bumelanci.

– Ależ ustalmy, pani Beciu. Są bakterie i wirusy, tak? No więc ja mam bakterie! – filozofował Bernard.

– Tak pan usilnie przekonuje, że to bakterie, że nabieram coraz większej pewności, że rozsiewa pan jednak wirusy. A nie chciałabym lecieć do Rzymu ze świńską grypą.

– Do Rzymu! Sama musi pani tyrać na rodzinę i starcza pani na Rzym?!

O matko! Skąd on to wie? Rodzinne brudy przedarły się do normalnego świata i bezczelnie podskakują! Zaczerwieniłam się.

– No, wystarcza... – szepnęłam.

– Tak bywa! U mnie też nie lepiej. Szkoda gadać, ale wie pani co? Gośka mogłaby wreszcie spojrzeć na siebie bardziej krytycznie, zanim coś na temat innych osób powie.

Czyli to młode coś rozsiewa ploty!

– Włożyła spodnie w pionowe pasy, buty na koturnie, ale jej nogi nadal wyglądają jak żabie kończyny – kontynuował Bernard, głośno smarkając w pomietą chusteczkę.

Zawsze starałam się inteligencją nadrobić brak rodowodu, przez co sprawiałam wrażenie osoby mającej w sobie coś, co skłaniało do oficjalności. Milczałam. Bernard zakaszlał.

– Jak nic, świńska grypa,

– Nie! – Bernard był wyraźnie poirytowany. – Niech mnie pani nie wkurza, to zwyczajne przeziębienie.

W tym momencie do pokoju zajrzał Rafał.

– Idźcie do piaskownicy, dajcie sobie po główkach grabkami, to się problem zaraz rozwiąże! – zionął sarkazmem.

Rafał i łagodzenie konfliktów! Też coś!

Po uwadze Rafała Bernard czmychnął z pokoju, kaszlnąwszy na odchodnym. Wcale nie było słyhać, żeby odkrztuszał flegmę, czyli nie wiadomo, co mu się wykluje. Wstałam, żeby przewietrzyć pokój (na szczęście byłam zasłonięta golfem), potem leczyłam swą poharataną domem duszę, uciekając w pracę, aż nagle zza drzwi dobiegła mnie następująca wymiana zdań:

– Będzie pan miał szerokie spektrum obowiązków. Z pana doświadczeniem i referencjami! Cieszę się, że decyzja zapadła tak szybko.

– Oferta brzmi dochodowo.

Wyjrzałam na korytarz. To Rafał oprowadzał po firmie kołesia w czerni, ale przede

wszystkim w butach, które stukały o posadzkę podobnie jak lakierki Freda Astaire'a. To nie były zwykłe dźwięki. W Mieteksie do tej pory słyszałam tylko charakterystyczne stukanie butów Czesi i... to wszystko, bo pozostali przemierzali się cicho, jakby pracowali w gospodarczym podziemiu, a Jęchorek i Rafał pojawiali się zazwyczaj w najmniej oczekiwanym momencie. Gośka zaklinała się, że podsłuchują. Podobno całkiem niedawno widziała Jęchorka skrywającego się za filarem, czyli blisko działu sprzedaży.

Rafał szarpnął drzwiami. Podał mi tę swoją mdłą łapę (zapomniał, żeśmy się już dziś witali?). Wysoki facet o jasnych, przeredzonych włosach i cerze, jakby osiadł na niej deszcz meteorytów, pojawił się za Rafałem. Czarny garnitur z błyszczącej wełny, w który był ubrany, wyglądał na nowy. Po chwili wahania podał mi rękę jeszcze bardziej mdłą niż Rafała.

– Pani Beciu, właśnie zatrudniliśmy pana Krzysia, będzie panią wspomagał. Może pani z nim szczerze o sprawach firmy rozmawiać.

Też coś! A podobno mieli oszczędzać. Ha! Pewnie tylko na kobietach. Męscy szowiniści!

– Prezesie, widziałam przed chwilą, że pracownik Bernarda sikał w kwiaty przed biurowcem! – obwieściła Czesia, wsadzając głowę przez niedomknięte drzwi od mojej kajuty.

– A może się obnażał? – Rafał posłał jej krzywy uśmiech.

– Nie, sikał! Widziałam bardzo dokładnie strumień!

Po pracy pojechałam do Kingi. Ucieszyłam się, gdy zadzwoniła któregoś dnia i zaprosiła mnie na obiad. Nastawiłam się wprawdzie znowu na jej zwierzenia, ale miałam nadzieję wyrwać choć część długu.

Zasiadłyśmy w głównym pokoju jej mieszkania, zastawionym antykami. Bufet, witryna i szafa były z ciemnego drewna, a ława oraz fotele z jasnego, i te ostatnie były raczej nowoczesne. Swoją drogą, nie bardzo wyobrażałam sobie w tej scenerii kochanka z kolejnego pokolenia. Ja wiem, antyki są w cenie, ale te u Kingi mogły przytłaczać. Najpierw był zapieczony na maśle bób i bitki z kurczaka. Przesmaczne to było. Wcinałam, zachęcana ginem z tonikiem. Po dwóch szklankach nie czułam się już przytłoczona meblami. Cohen snuł się między nami, ale ja odbierałam go tym razem jak Chór Czejanda. Po prostu mi obrzydł! Kinga potrafiła zadbać o mój żołądek, oj, potrafiła, ale o stronę muzyczną już niestety nie bardzo!

Nie wróciła do tematu pod tytułem „Julian”. Widać zrobiłam postępy w kłamstwie. Przyznać muszę, że bardzo chętnie z kimś bym o sobie porozmawiała. Zawsze to ja musiałam wysłuchiwać ludzi, a kiedy pojawiła się wreszcie taka okazja (to znaczy, Julian mi się właśnie zdarzał), mogłabym całemu światu wykrzyknąć swoją radość. Niestety, ani Zośka (nadal nie odzywała się do mnie, bo nie wyrzuciłam Bogusia), ani Kinga na powierniczki się nie bardzo nadawały. Niemniej bywa, że człowiek odczuwa czasem potrzebę wywalenia z siebie nawet najbardziej strzeżonej tajemnicy. Tego dnia w pewnym momencie byłam już o krok od zwierzenia się Kindze, ale coś mi mówiło: „Stop, bo jeszcze ci nie zapłaci!”. Miała półroczne zaległości. Poza tym Julian nie był przed czterdziestką, a ona taki wiek u mężczyzn preferowała.

– Mirek też wcina moje obiady, aż talerz chce wylizać. Wczoraj się napasł i przedwczoraj. Podwójne porcje zawsze dla niego gotuję. – Uśmiechała się, widząc, jak szybko opróżniłam talerz.

– Mirek? A co z poprzednikiem?

– Teraz jest Mirek. Umówiliśmy się na przyjaźń erotyczną, ale czuję, że u niego przeradza się to w coś więcej.

– A u ciebie nie?

– Też, niestety też.

– Tak trudno jest o wzajemność, a ty się martwisz!

– On nie ma jeszcze trzydziestki! Pokazywał mi zdjęcia swojej matki. Też ma rude włosy i sportową sylwetkę, jest do mnie bardzo podobna. Od kilku lat leczy ją w szpitalu dla psychicznie chorych. Ma chłopak za sobą dzieciństwo nie do pozazdroszczenia...

– Chłopak? To ile on ma lat?! – Poczzerwieniałam od dżinu, a może z emocji.

– Niedawno skończył dwadzieścia dziewięć, ale jest bardzo dojrzały. Poznaliśmy się u znajomych, to ich biznesowy partner. Najpierw pod stołem odnalazły się nasze ręce, a potem... Było trochę alkoholu, no i wiesz, jak to jest... Zasiadzieliśmy się, on zaproponował, że mnie odprowadzi, to dwie przecznice dalej. No i został na noc...

– Nie bałaś się?

– Czego? Ja z nim zgodziłam się robić wszystko! Absolutnie wszystko! Tylko że rano przyjechał syn, nadal ma swój klucz, i nas zastał...

– Coś ty?!

– Zadzwoił do swojej siostry i razem skrzyknęli się mnie umoralniać! Kazali mi wybierać... Oni albo Mirek.

– To się teraz pewnie kryjecie?

– Nie, wybrałam Mirka. Oni nie mają nic do gadania.

Potem Kinga się rozkręciła, paliła jednego papierosa za drugim, opowiadała, że z Mirkiem mają wspólne plany. Pojechali na przykład do jakiegoś urzędu miasta i gminy i udawali zainteresowanych zakupem pałacu w okolicy. (Udawali, bo jakżeby inaczej!) I wszyscy urzędnicy się zbiegli, plany zagospodarowania pokazywali, o przetargach informowali. Bo ona i Mirek tak dochodowo wyglądali!

– A jaki on biznes prowadzi? – zapytałam, ziewając.

– Ma firmę dorabiającą klucze.

Klucze dorabia! – jak to zabrzmiało! I wokół pałacu się kręca! No, chyba że i do tego przybytku jej Miruś klucze cichaczem dorobił! Męczyłam się, przestałam się godzić na dolewanie ginu, w końcu szklankę postawiłam do góry dnem. Była już dwudziesta druga, kręciło mi się w głowie, dym tytoniowy mnie odurzył.

– Kinga, to możemy się rozliczyć? Potrzebuję tych pieniędzy.

Kinga podeszła do szafki, z torebki wyciągnęła cztery setki, zrobiła ruch, jakby się nimi wachlowała.

– Chcesz kasę, to siedź!

Usiadłam. Cztery setki to była zaledwie trzecia część długu Kingi. Chciało mi się płakać. Poczułam się jak dziwka do towarzystwa.

Malinowa Trufla pisze:

*Chciałabym nie myśleć o strachu. Chciałabym nie wiedzieć, co to panika. Gdy będę bogata, kupię sobie batystową pościel, ułożę ją na białym, rzeźbionym łóżku. Błękitna tkanina będzie haftowana. Skropię ją perfumami, założę lekką koszulę i wtedy nie będę się bać. W takiej pościeli, gdy się jest półnagim, na pewno przychodzą tylko optymistyczne i zmysłowe myśli.*



## *Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu*

Była niedziela około południa, a ja dreptałam wśród półek z filmami w osiedlowej wypożyczalni, trzymając *Nagi instynkt* w ręce. Znawca Arcydzieł proponował mi drugi film gratis. Opowiadał fabułę, starsza już właścicielka kina zakochuje się w kimś młodszym. Gra ją Judi Dench – zachęcał. Czy świat zwariował z tymi niezwykłymi różnicami wiekowymi między kochankami?!

– Niedawno oglądałam coś podobnego, *Lawendowe wzgórze*. Z tą samą aktorką. E, nie chcę chyba nic o miłości ludzi w podeszłym wieku – zaproponowałam. Czułam się tak młodo...

– Każdy pragnie miłości... każdy...

Kiedy kilka dni temu wróciłam od Kingi, cztery setki od razu schowałam pod dywan w nizinnej norze. Gdy się trochę naoglądałam i nasłuchałam opowieści koleżanek, poluzowałam swój kodeks moralny. Czyli Bóg nie musiał się domyślać. Wiedział, co zrobię w kwestii romansu. Oczywiście miałam mnóstwo wątpliwości. A było tak: kusilo mnie, ale bałam się, nie kusilo i czułam ulgę, a potem pomyślałam o domowej traumie i znowu kusilo. Do okłamania pozostał mi Boguś. Poczułam uderzenie gorąca.

– Wyobraź sobie – zaczęłam, gdy wszedł z kubkiem grochówki w ręce – że w dzisiejszych czasach można absolutnie tanio wyjechać na weekend, na przykład do Rzymu. Mówiła mi o tym dzisiaj znajoma, która już kiedyś, wyobraź sobie, była sama w Szanghaju, a teraz planuje wyjazd do Rzymu właśnie. Namawia mnie na ten wypad, zarezerwowała już nawet hotel w centrum miasta za dwadzieścia pięć euro od osoby za dobę. To przecież jest tanio! W cenie jest śniadanie, lot byśmy miały z Wrocławia za sto złotych od osoby w dwie strony. No, do Wrocławia trzeba jednak z Poznania dojechać, ale w końcu to też nie tak daleko. Tak sobie myślę, że się chyba skuszę, co uważasz? To by było za tydzień.

Jakież to było proste! Gadać, gadać, ile się da! Mówić, nie milknąć! Potok słów umożliwia ukrycie prawdy wypowiedzi.

– Wiesz co, Beca? Ja nie wiem, co ty do mnie powiedziałaś, a w ogóle coś dzisiaj taka wesola? Może wreszcie optymistką zostaniesz.

– Mówię, że polecę z koleżanką na weekend do Rzymu. Ale przecież my razem też moglibyśmy gdzieś wyjechać. Nawet na wakacje.

Wakacje! Nie byliśmy do tej pory razem nigdzie. Chociaż nie... Raz się zdarzyło. Zaraz po ślubie pojechaliśmy na wczasy do Krynicy Morskiej. Cały czas lało, ziąb przenikał nasze świeżo zmatrymonializowane ciała, nie potrafiłam się wakacjami cieszyć. Drugiego dnia pobytu się rozchorowałam, a Bogdana moja choroba bardzo zdenerwowała. Dla ukojenia nerwów i dla urozmaicenia pobytu jednocześnie znalazł sobie parę w naszym wieku i z nimi chodził na piwo. A ja siedziałam w pokoju.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o „toto małe coś” – prychnął Boguś, mając zapewne Zośkę na myśli. – Dla niej niech się spełni kufereczek stóweczek, a co! I duży dystans od naszego domu. Ale wiesz co? Ty lepiej wieczorem na moją kanapę rozebrana przyleć tym samolotem. Taniej będzie.

Prychnęłam.

– Ciekawe, skąd ty nagle dysponujesz finansowymi nadwyżkami?

Już chciałam skłamać, że premia, trzynastka, totok, multi lotek, ale... w sumie milczałam. Co było najlepszą odpowiedzią.

Babcia zawsze miała znakomity słuch, mimo dwóch klekoczących telewizorów, oczywiście ustawionych na maksymalną głośność. Na hasło: „Rzym” część jej sylwetki pojawiła się w szparze między drzwiami i ościeżnicą do naszego apartamentu. Gdy chciała wejść do pokoju, rozwalony na dywanie Szaki zaczął na nią warczeć. Cofnęła się wystraszona za drzwi, ale usłyszeliśmy jej prześmiewczy ton.

– Do Rzymu! Nad Watykanem burza się rozpęta, gdy się tam pojawisz. Kiedy ostatnio byliście w kościele? Ja sama za was wymodlić się nie dam rady. Cała ulica chodzi do kościoła, a ci tu wystrzegają się go jak diabeł święconej wody. Jedynie Kędziory to masoni. Stary mógłby już zacząć pacierze odmawiać... Ma przeszło osiemdziesiąt lat, a nic nie widać, żeby się szykował... – zaświszczała za drzwiami. Boguś uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

– Ciekawe, dlaczego teściowa zawsze po kościele robi nam największe awantury? Co, ksiądz z ambony tak każe? Czy brak prawdziwej religijności u teściowej...?

Gdy on coś powiedział, to wiadomo było, że awanturka rodzinna wisi na włosku. A zresztą – kiedy ja coś powiedziałam, to ta awantura również wymykała się nam spod kontroli. Bo negatywne emocje to też emocje!

– Oj, Boguś, przestań, nie możesz tak mówić! – zaprotestowałam. Choć właściwie, dlaczego nie może? Nie potrafiłabym odpowiedzieć na to pytanie. Z naszymi synami wiedliśmy zawsze równorzędne rozmowy, co wydawało mi się jak najbardziej naturalne, ale Krysta nie znosiła jakiegokolwiek krytyki. Toteż od razu przeszła do kontrataku:

– Głupole! A potem, jak będziecie chcieli dla siebie coś wymodlić, to ksiądz was wywali głównymi drzwiami. Dzisiaj właśnie od komunii odgonił tę rozwódkę, co ją chłop zostawił, jak mu niepełnosprawne dzieci urodziła! W grzechu żyła, to ją wyrzucił!

I trzasnęła drzwiami do swojego pokoju.

Schroniłam się w stróżówce, włączyłam komputer, rozsiadłam się wygodnie w fotelu i od razu zaczęłam przeglądać turystyczne witryny. Potem otworzyłam szafę i starałam się skompletować odzież na wyjazd. Miałam wielki problem, bo wszystkie rzeczy były sprane i nieeleganckie. Poza tym na pewno powinnam kupić klapki pod prysznic i coś na noc. Podliczyłam koszty i wyszło, że na nic wyrafinowanego mnie nie stać. Ale to nic – pomyślałam – może coś w ciucholandzie wpadnie mi w oko. W środę rano będzie dostawa. Zasmuciłam się, ale nie wyłączyłam komputera. Coś mnie podkusiło i kliknęłam na kończące się licytacje.

Bo tak mnie ta Krysta znowu zdenerwowała!

Aukcje 12657896 i 12669780

Mosiężny uchwyt do starego biurka i wiklinowy koszyk na kwiaty – licytacja dobiegała końca, pozostała niecała minuta. To była moja stała metoda – włączyć się w ostatniej chwili. Okej. Mam to! Pokażę wszystkim, że stać mnie na ładne rzeczy!

„Wędrownką jedną życie jest człowieka; idzie tam, idzie tu, brak mu tchu? Brak mu tchu!”

Malinowa Trufla pisze:

*Nie miałam w planach siąść przed komputerem, jednak coś mnie tutaj skierowało. Co? Wątpliwość. Bo odkrywam nową życiową kartę i zastanawiam się nad sprawami, co do których dotąd nie miałam śmiałości. Na przykład – co zrobić z rzemykiem, na który nanizalam długie wieczory spędzane w samotności? Czy nosić go nadal na sobie? Czy wybrać tłum, który oddali mnie od głuchej, wewnętrznej ciszy?*

Komentarze: 1

*Piszesz dokładnie to samo, co i ja czuję. Dostałaś mojego e-maila? Bo nie mam wiadomości zwrotnej. Ani na tak, ani na nie. Jurek*

## *Dwa tysiące kilometrów odległości*

Ten Rzym wcale nie był pewnikiem. Nie byłam ostatecznie zdecydowana na udział w ryzykownej eskapadzie. W przeciwieństwie do Juliana – on nie miał żadnych wątpliwości. Ale przecież mój dom nadal mnie straszył! Czemu zatem miałabym nie skorzystać z okazji i nie wyrwać się, choć na chwilę?

Wracając do domu, zajrzałam do osiedlowego sklepiku. Znów przeżywałam razem z Malutkim Sklepikarzem ciężką chorobę jego partnerki.

– Załamała się – opowiadał. – Nic już nie mówi, że się do mnie przeprowadzi. Jestem u niej codziennie, aż do nocy. Straciła energię, chociaż profesor gwarantuje stu procentowe wyleczenie. Nie ma dnia, żeby nie płakała, rzuciła pracę, nie odpowiada na telefony klientów, na rozprawy śle w zastępstwie swoje koleżanki. A to jest tylko maleńki guzek! Nie usuną jej piersi! Gdyby miała takie raczysko jak moja żona nieboszczka, co by z nią wtedy było? Boję się myśleć. Ona nie potrafi walczyć, a przecież podjęcie walki to już jest zwycięstwo. Tak sobie myślę, że mi chyba kobieta już nie jest pisana...

Tamtego wieczoru nie miałam siły zaglądać do komputera. Zrobiłam to dopiero następnego ranka.

„Witaj. Pozwolisz, że się przedstawię. Pracuję na etacie, a także wykonuję wolny zawód. Czas mam znakomicie wypełniony, ale na przyjemności zawsze jeszcze trochę go znajdę. Czytam od jakiegoś czasu Twoje zapiski i zaczynam sobie Ciebie wyobrażać. Napisz, proszę, jakie masz oczy, włosy, jakie uczucia malują się na Twojej twarzy. Ja jestem blondynem i mam niebieskie oczy. W ogóle to normalny ze mnie facet, otwarty na innych, wesoły. Zapraszam do kontaktu. Serdeczności – Jurek”

Zamyśliłam się. Czy na mojej twarzy w ogóle malują się uczucia? Czy mam maskę chowającą mapę ran? A może po moich oczach poznać można, że jestem frajerką? Czy zgorzkniałam? Chyba nie. Jednak ludzie uważają mnie raczej za bladą i smutną. Czy mailowanie ze mną może być przyjemne? Nie sądzę. Mimo to, ten facet w moich wpisach na blogu znalazł coś, co kazało nawiązać mu ze mną kontakt. Może też nie ma z kim pogadać? Tak jak przysłowiowy złodziej upatruje w każdym złodzieja, tak i ja zawsze znajdę samotność u innych. Wspólnota myśli – też bym chciała móc jej w kimś doświadczyć.

Niestety, usłyszałam za plecami:

– Nie wiem, co ona ciągle robi w tym komputerze! Aga tak nie siedzi, z nią można o każdej porze dnia porozmawiać. – Krysta wymownie przewróciła oczyma. Najwyraźniej szukała w Bogdanie miękkiego podbrzusza naszej rodziny. Patrzyła na niego porozumiewawczo.

– Pracuję. – Wzruszyłam ramionami.

– Tak długo?

Podniosłam głowę znad komputera.

– A widzisz, nareszcie dostrzegłaś, że długo!

– Musisz tak głośno mówić? Przecież słyszę. Całe dnie w komputerze siedzieć!

Jesteś albo tępa, albo powolna!

Boguś trzymał w wielkiej łapie kromkę chleba. Cebula spadała na podłogę, a smalec oblepiał mu palce. Byłam gotowa dać setki tysięcy za jakikolwiek kąs z dala od nich... Z tym, że tej kwoty, niestety, nie miałam.

Julian dbał o wygląd... Na szyi nosił jedwabną apaszkę albo poszetkę w kieszonce marynarki. Miał spodnie z czerpanego lnu. I na pewno nie jadał smalcu! Chleb kroił nożem, posiłki celebrował i jadł powoli, z elegancją.

Po południu wzięłam rower i pojechałam na cmentarz. Co chciałam tam przeforsować? Przypieczętować...? Nie wiem. I z kim właściwie? Z ojcem? Może...

Z łąk pachniało mleczami, z lasu sosną. Mogłabym stać, wdychać zapach lasu w nieskończoność, ale usłyszałam głucho pomruki. Do żeliwnego płotu cmentarnego dotarłam wraz z chmurą burzową. Niebo wymuszało na mnie pokorę. „Wciąż jesteś na tak”? – chichotało mi w nos.

Schowałam się w budzie z kwiatami i zniczami, przy okazji dokonując zakupów. Krople deszczu dudniły o dach, nie było wiatru, toteż deszcz padał idealnie prostopadle, żłobiąc w piaszczystej drodze dziury jak po wbiciu obcasa. Gdy nawałnica przetoczyła się dalej, uznałam, że skoro nie spadło na moją głowę drzewo ani nie uderzył we mnie piorun, to planowany czyn nie był kary boskiej godzien, jak sądziłam. Wyjrzało słońce, a znicze, jakie postawiłam na płycie grobu, zapłonęły ogniem.

Wieczorem zadzwoniłam do Marcinka do Amsterdamu.

– Gdzie jesteś?

– U Chinek, częstują mnie pierogami ze zgniłym mięsem. Pijemy holenderskie piwo.

– Pamiętaj, że jutro masz szkołę!

– Mamo, mnie nie ma w Poznaniu! Jestem o dwa tysiące kilometrów od ciebie!

– Dobra! Nie denerwuj się, Marcin. Wyjeżdżam na parę dni do Rzymu. Watykan zobaczę, grobowce, grosik wrzucę do fontanny Di Trevi, na Schodach Hiszpańskich posiedzimy...

Ale mi się wyrwało! Zakazana liczba mnoga!

– Masz kasę, żeby opłacić dwie osoby? Ojciec po powrocie będzie się wymądrzał. Już go słyszę: „Proszę sobie wyobrazić, jest takie miasto, Rzym się nazywa, i tam w tym mieście jest fontanna, cała w rzeźbach, ludziska wrzucają pieniądze, żeby w to miejsce wrócić..”

– Bez ojca jadę... Z koleżanką.

– No proszę, na coś mój wyjazd się przydaje. Nie trzymaj się kurczowo tej chaty! My z Krzyśkiem i tak tam nie zamieszkamy. Ten dom najlepiej zburzyć i nowy postawić. Jedź.

Przed snem siadłam przed komputerem. Postanowiłam odpowiedzieć na e-maila od niejakiego Jurka. A co tam!

„No cóż, też mam jasne włosy, kręcone. Jakie są moje oczy? Mówią, że niebieskie. Mam opaloną twarz i trochę piegów. Bywam wprawdzie refleksyjna, jednak w większości jestem pragmatyczna i zorganizowana. Za parę dni wylatuję ze znajomymi do Rzymu. Uwielbiam podróże. Elżbieta”

Malinowa Trufla pisze:

*Jak daleko odjechać, żeby nic nie stracić? Jak blisko stanąć, żeby czuć oddech człowieka? Kiedy nie zachować odległości? Czy chwila niewypełniona działaniem, pasją albo myślą mieści się jeszcze w definicji słowa „czas”? Czy uda mi się „mój” czas? A może to będzie tylko chwila?*

## *Duże i ładne gniazdeczko*

Następnego dnia Julian zadzwonił zaraz z rana:

– Czas, żebyś przyjechała. Mam duże i ładne mieszkanie, a jestem w nim sam. Samiutki...

– Po naszym drugim spotkaniu? – Usztywniłam się jak na cmentarzysku i zdałam sobie sprawę z absurdalności pytania. Byłam znów na tak, a jednocześnie przecież na nie. Byłam Becią.

– Masz jakiś harmonogram? Jeśli tak, to chciałbym, żeby to od razu była nasza piąta randka. Chcesz to przełożyć? Przerzucić na Rzym? Musimy uzgodnić szczegóły.

– No dobrze, przyjadę.

Po pracy wsiadłam do „dziewiątki”. Sołacz kojarzył mi się wyłącznie z dobrobytem. Chociaż nie, z piękną przyrodą też, ze starym drzewostanem. Długo szukałam czterorodzinnego domu z betonowym płotem i lwimi łbami na cokółach przed wejściem. Wreszcie znalazłam. Szerokie schody wiodły do drzwi wejściowych, dwa razy szerszych niż moje. Błyszczące poręcze ze stali kwasoodpornej zadawały szyku. Okienko ze złoceniami w drzwiach było czyste i eleganckie, a złota klamka ciężka jak moja, wypchana najbardziej niezbędnymi rzeczami, torebka. Domofon w podobnym stylu. Głaskałam złotą, wypolerowaną tabliczkę z guzikami. Szukałam nazwiska. Ale kiedy znalazłam, nie zdążyłam nawet przycisnąć dzwonka.

Julian w krótkich bawełnianych spodniach i czarnej koszulce polo pojawił się w drzwiach.

– Tak się cieszę... – zawołał.

Jak to? Przecież nie ma między nami żadnej zażyłości, widzieliśmy się raptem dwa razy, a on wita mnie, jak wita się powracającą do domu po długiej nieobecności kochaną osobę.

W mieszkaniu na piętrze poczułam się jak u siebie, była tam atmosfera, za jaką podświadomie całe życie tęskniłam. Wielkie skórzane fotele, rzeźbione meble. Czyste, bez wystających sprężyn. Telewizor na pół ściany, cicha egzotyczna muzyka i podłogi... Wielkie dechy z drewna o żółtawym zabarwieniu widziałam pierwszy raz w życiu. Rozglądałam się. Najpiękniejsze były okna – ze złotymi szprosami, duże, wychodzące na dwie strony świata, bez firan, dzięki czemu w oczy wciskały się kwitnące na bladoróżowo drzewa. Nie czułam ani zaduchu, ani zapachu psiej kaszy z podrobami, ani petów. Była to bardzo przyjemna odmiana.

Usiadłam w fotelu, skóra chłodziła moje emocje. Julian wrócił z kuchni z butelką wina, postawił je na podstawce z angielskiej porcelany. Jedno z drugim raczej nie pasowało, ale wyglądało to przeuroczo. Przeniosłam wzrok nieco wyżej, na szafie przy fotelu zauważyłam papeterie, najbardziej spodobała mi się typowo damska, w angielskie, drobne różyczki.

– Zbieram je od jakiegoś czasu. – Julian otwierał wino, ale zauważył, co przykuło moją uwagę. – Kiedyś listy do znajomych pisałem ręcznie, ale to się zmieniło. Nie ma już niestety na świecie moich znajomych, dla których chciałbym tych papeterii użyć.

– Dla mnie troszeczkę tylko wina poproszę. – Siedziałam na fotelu, nienaturalnie prostując kolana. Julian popatrzył na nie i się uśmiechnął. Podał mi kieliszek z purpurowym trunkiem, spojrzeliśmy na siebie i upiliśmy łyczek. Pomyślałam, że barwa naszego domowego wina bardziej przypomina sierść Szakiego niż kolor marki z najlepszych winogronowych szczepów. Zresztą podobne myśli miałam o tych dwóch domach – Juliana był azylem przed huczącym światem, a mój norą dla agresywnych szczurów.

– Pomożesz mi? Ja wezmę z kuchni półmisek i salaterki z jedzeniem, a ty talerze...

Tam było jeszcze ładniej. Na szafkach z oliwkowymi szybami tańczyły świetlne refleksy. Na półkach stały słoiki, dżem żurawinowy, różne rodzaje oliw, mnóstwo herbat i kaw. Kilkanaście paczek z nieznanymi mi ciastkami. I pasty. Ale prawdziwe frykasy dopiero na mnie czekały.

– Częstuj się, nie martw się o powrót, zamówię ci taksówkę. Jeśli nie będzie ci u mnie dobrze... – zaśmiał się Julian. – Sam za kierownicę po alkoholu nie siadam. Kiedyś w Hiszpanii po kielichu wina przeciągnąłem zderzakiem wynajętego auta po murze.

Zajadaliśmy polędwicę w grzybach, kroiliśmy bułki, polewaliśmy je oliwą z borowikami. Zatopiłam zęby w chrupiącej delicji, oliwa ciekła mi po brodzie, nic mi tak nie smakowało jak te delikatesy, miałam chęć wylizać tłusty talerz. Pachniało grzybami.

Pokusa pójścia na skróty stała się nieprzeparta. Patrzyłam, jak Julian je, jak bułką wyciera talerz, obserwowałam jego wąskie usta i mocno zarysowaną brodę. Wydaje się nam, że tęsknimy za miłością, tymczasem życie pokazuje, że często jest to tylko tęsknota za kimś, kogo chciałoby się pogłaskać.

Usiadłam swobodniej. Julian dolał nam wina, nie wypiałam dużo, a już zaczęło mi się kręcić w głowie. I ten demaskujący mnie żar na policzkach! Odwróciłam twarz i wtedy, ku swojemu zdumieniu, na regale w pobliżu zauważyłam babskie czytadła. Było ich kilka, w jednej z książek była zakładka. O kurczę, ktoś musiał nie doczytać do końca! Zrobiłam zdziwioną minę.

– Interesują cię takie książki?

– Nie.

– Dlaczego w takim razie zdobiją półkę w twoim pokoju?

– Niektóre damy, którym pozwoliłem ze sobą mieszkać... Tak, to właściwe słowo, pozwoliłem. Otóż niektóre czytały tanie romansidła, a potem szukały tego w naszym związku.

– Tylko że te książki mają w środku zakładki!

Wyobraźnia zadziałała. Ona siedzi w skórzanym fotelu, czyta o nim i o niej, roni łzy, bo kochają się po grób, a obok Julian bez emocji obmyśla, w jaki sposób bezboleśnie zakończyć romans. Być może i ja wzbogacę jego kolekcję. Pojawił się On i ze smrodu psiej kaszy narodziła się Elżbieta. Żyli długo i szczęśliwie! Nie, dzieci już nie mieli.

– Wszystkie chciały do mnie wrócić – rzucił wymownie Julian. Patrzył prosto w moje oczy i niewątpliwie czekał, żebym zajęła jakieś stanowisko. Wystraszyła się i uciekła? Pożałowała kobiet albo obśmiała? Cokolwiek. Na pewno czekał. A ja wzruszyłam ramionami i zaczęłam szukać swojej torebki.



Wieczorem długo zbierałam się do snu, w myślach mnożyłam książki z zakładkami w środku. Wyrzałam przez okno. Wszystkie domy na mojej ulicy były ciemne i ponure. Co skrywają mury? Miłość, nienawiść, dobro czy zło? Namiętność czy obojętność? Smutek czy radość? A może sny o innym życiu albo marzy dużo straszniejsze niż zbrodnie?

Włączyłam komputer.

Malinowa Trufla pisze:

*W moim domu każę wybić okna na każdą stronę świata, wtedy będę mogła kontemplować wolność podobną do tej, którą odczuwa się prawdopodobnie na mostku kapitańskim statku tnącego ocean. Dzisiaj mój dom nie jest oceanem z połyskującą taflą wody. Mury mojego domu widziały niejedno. Seks, złość, nienawiść. Przeżyły też ciszę, głuchą jak śmierć. I ciemność.*

## *Bella, bella donna – wieczór taki piękny*

Przed wyjazdem, czy to z wyrzutów sumienia, czy z chęci odkupienia winy, stałam się domowym Aniołem Silnia. Bogusiowi pozwalałam w domu palić pety, do Babci się uśmiechałam i konwersowałam z nią. Spod dywanu wyciągnęłam stówkę i wręczyłam ją Bogusiowi, mimo że nie sygnalizował żadnych potrzeb. Kupiłam tonę jedzenia i karton papierosów, napiekłam sporo mięs, a nawet na kolację przed wyjazdem zamówiłam pizzę.

Spakowałam kraciastą walizkę, znalazły się tam moje najlepsze ubrania, nowa bielizna i złote klapki, które udało mi się kupić na przecenie w Bacie. Na dno wrzuciłam też pudełko z ulubioną biżuterią kupioną na Allegro. Perfumy i apaszki też tam były. I czółenka na bardzo wysokim obcasie, które kupiłam ze dwa lata temu, jednak jeszcze nigdy ich nie włożyłam. Cisnęły mnie, ale może w Rzymie przestaną? Najwięcej miejsca zajął nowy biały płaszcz kąpielowy.

Do Wrocławia dojechaliśmy autem Juliana, Bogdan nie miał ochoty odwozić mnie gdziekolwiek. Niech żyje egoizm! I tumiwizizm. Niech żyją nam!

Na lotnisku byłam wielkim lękiem. Przed zamkniętym pomieszczeniem, przed wysokością, przed koniecznością oderwania własnych nóg od Matki Ziemi i tak dalej, i tak dalej. Na szczęście Julian okazał się psychologiem, specjalistą od ratowania egzaltowanych, przestraszonych i nieobytych mężatek. Skierował na mnie swoje i moje dysze z powietrzem i tłumaczył jak zagubionej dziewczynce: „Poczujesz, że jedziemy, jeszcze trochę i jeszcze, a teraz zobaczysz tych, co siedzą z przodu, wyżej od nas. Zobacz, jesteśmy w powietrzu, czy to nie piękne?”. Domy stawały się coraz mniejsze i mniejsze, widać było nitki rzek i sieci dróg. Poczułam się Europejką.

Gdy wysiedliśmy na lotnisku Roma Ciampino, zapowiadał się upalny dzień. Pozostał jeszcze odbiór bagaży i przejazd do hotelu. Walizki i torby wyjeżdżały na taśmie z gumowej kotary, niektóre wypadały z impetem. Jedna pękła i na taśmę wysypały się blaszane puszki i kartony z produktami spożywczymi. Julian chichotał.

Nieopodał nas krępy Włoch z brzuszkiem melodyjnym głosem mówił coś do wysokiej kobiety w moim wieku. Kobieta chroniła oczy za ciemnymi okularami, przyciągała uwagę. Słuchałam ich, śledziłam, jak na siebie patrzą. Ich rozmowa to się wznosiła, to opadała. Uznałam ich za kochanków, obserwowałam, czy się dotykają, czy szukają swoich dłoni. Julian podążył za moim wzrokiem.

– Zauważ, jeśli nie zna się języka, łatwo sobie wyobrazić, że on wyznaje jej miłość, a tymczasem być może ma do niej pretensje, że kupiła nie te „opcje bankowe”.

Zostawiłam Juliana przy taśmie, klapnęłam w fotelu, poprawiłam zmarszczki na szarych lnianych spodniach, z oddali leniwie obserwowałam wyjeżdżające bagaże. Czulałam się komfortowo, bo wszystkim zajmował się Julian.

– Elżbieto! Czy to jest twój bagaż? – zawołał Julian.

– Nie, moja walizka była w kratę. I czysta.

Widziałam w telewizji film, w jaki sposób bagażowi na lotniskach obchodzą się z walizkami podróźnych. Traktują je, jakby to były worki z używaną odzieżą albo toboły wypchane gazetami.

– Bo widzisz, już nie ma ich więcej z tego lotu. Wiele razy latałem, ale jeszcze nigdy nie miałem takiej sytuacji. – Julian, kręcąc głową, szedł do informacji.

– Nie ma jej – powiedział, gdy wrócił.

– I co teraz? – Zachciało mi się płakać. Na Ciampino wróciła Beca.

– No nic, pojedziemy do hotelu i poczekamy.

– Nawet bielizny nie mam. Nie mówiąc o reszcie – ubolewałam.

Byłam zdezorientowana i niemile zaskoczona bałaganem, Julian zaś pogwizdywał wesoło.

– Będę mógł się tobą zaopiekować. – Zaśmiał się i odgarnął mi włosy z czoła.

Wsiadałam do taksówki smutna, Julian przez okno obserwował drogę.

*Wezmę, ale potem się zrewanżuję*

Od dwóch godzin byłam w Rzymie, w niezłym hotelu, w dobrym punkcie miasta, w pokoju na przedostatnim piętrze. Balkon mieliśmy z Julianem wspólny, na nim mnóstwo kwiatów, a wśród nich dwa wiklinowe fotele i szeslong z kolorowymi poduszkami. Pnącza oplatały kolumny, było kolorowo i intymnie. Upał w Rzymie się zasiedziało. Trochę trwało, zanim do niego przywykłam.

Brałam prysznic, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Okręciłam się ręcznikiem ze znaczkiem hotelu. Uchyliłam drzwi. To nie walizka! Za drzwiami stał Julian, obładowany paczkami i pakunkami różnego rodzaju. Miał się u siebie zdrzemnąć!

– Mogę wejść?

– No dobrze...

Nigdy wcześniej nie czułam się taka rozebrana, wystarczyłby jeden ruch ręką, żeby łośosiowa kurtyna opadła i... Nie lubiłam swojej nagości. Chwilę wcześniej w łazienkowym lustrze błyskawicznie wymieniłam spojrzenie z Becią. Moje ciało onieśmiało mnie. Julian stał w drzwiach i bawił się sytuacją.

– Pozwoliłem sobie na zakupy. Żebyś nie czuła się skrepowana i uwięziona w pokoju jak branka wzięta w jasyr. – Mrugnął szelmowsko. W jasyr! To do mnie dotarło najpierw.

– Mam wszystko, co potrzebne. Tak sędzę. Naturalnie, jeśli coś ci się nie spodoba, oddam do sklepu.

– Ależ, ja nie mogę tego przyjąć!

– Dlaczego? – Był zdziwiony. Zrobił minę jak rozczarowane dziecko.

– Bo to na pewno kosztowało majątek!

– Jeszcze nawet nie zajrzałaś do żadnej torby.

– Nie muszę.

Nadruki logo firm na torbach były w oczy.

– Nie przesadzaj. Nie wiadomo, kiedy przywiozą twoje rzeczy, poza tym nie ma zmartwienia, rozliczę je w swojej firmie. – Nie przerywał negocjacji.

– Wydałeś na mnie majątek, co jest bardzo krępujące.

– Wieczorem idziemy na koncert, a potem chciałbym cię zabrać na kolację. Znam taką małą knajpkę, będzie miło. Nie przyjechaliśmy, żeby siedzieć w hotelu... – Kusił tym swoim łobuzerskim uśmiechem. – Naturalnie zrobisz, jak zechcesz. Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Rezygnacja z opery w Termach i perspektywa siedzenia w hotelu w ręczniku kąpielowym albo w spodniach z podróży byłaby co najmniej śmieszna. Nigdy nie byłam na TAKIM przedstawieniu, w TAKIM miejscu, z TAKIM mężczyzną! Znikaj, Beciu! Bo ja, Elżbieta, czuję, że nie potrafię się oprzeć mężczyźnie, który poprosił mnie o towarzystwo. Skoro rozliczy zakupy w swojej firmie, to prawie tak, jakby firma poniosła koszty. Dlaczego nie? – pomyślałam, biorąc z rąk Juliana pierwszą, najmniejszą paczuszkę.

Julian stał za mną, czułam jego oddech na swoim policzku.

Złota bransoleta błyszczała jak klamka w kamienicy Juliana. Odchrząknęłam. Julian sprawnie zapiał ją na moim nadgarstku, oczy na pewno mi błyszczały, co najmniej tak, jak ten kruszec!

A potem hotelowy ręcznik spadł na ziemię. Julian odwrócił mnie w swoją stronę. Stałam z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma, patrząc, jak on zrzuca ubranie. Najpierw koszulę, potem spodnie. Klamra od paska uderzyła o ceramiczną płytkę, a ja poczułam brzuch Juliana na swoim. Moje nieznające czułości piersi poddawały się jego palcom jak glina. Szezlong! Istniała tylko namiętność i pożądanie. Palce Juliana wystukiwały na mojej wyposzczonej lechtacze pieśń o Capulettich. Jakaż byłam niemoralna! Jęczałam.

– No! – Julian opadł na plecy, dysząc ciężko.

Mój kochanek! Jak to cudnie brzmi!

Podniosłam się z poduch i językiem sunęłam po jego szczupłej piersi. Fioletowa poducha między moimi udami tłumiła akordy wzniosłej pieśni, jak z opery Verdiego.

– Nieźle wygnietliśmy te włoskie poduchy. Chcesz grappy? – śmiał się Julian.

Wieczorem byłam dowcipna, wesola i rozleniwiona. Ściągnęłam swe wypłowiałe włosy za uszy, twarz zdobiąc delikatnym makijażem i wielkimi złoto-srebrnymi klipsami. Czułam się piękna w czerwonej, połyskującej kiecce. On, wysoki, wysmukły, w czarnym smokingu z atlasowymi wyłogami i śnieżnobiałej koszuli, był najwytworniejszym facetem w tej części Rzymu. Byłam dumna. Wsparta na jego ramieniu, pachnąca i nareszcie zaciekawiona życiem innym, niż do tej pory wiodłam.

– Słońce nadaje wszystkiemu inną wartość, prawda? – zauważył Julian, gdy siadaliśmy w fotelach w Termach Karakalli.

– Słońce, to miasto... też... – Byłam oszołomiona atmosferą sztuki, popołudniem. I zaskoczona swoją fizycznością. – I miłość... – dodałam.

Julian się uśmiechnął i ścisnął moją, bezwładnie opierającą się na jego kolanie, dłoń.

## *Życie to barter*

Następnego dnia od rana brzmiała mi w głowie finałowa aria Mario Cavaradossiego z *Toski*. Czułam się rozedrgana emocjonalnie z powodu skoku w przepaść tytułowej bohaterki. Miłość zawsze rodzi emocje. Bałam się miłości, wiele mi odebrała. Namiętność zaś była darem, po nocy spędzonej z Julianem miałam do tego prawo.

Kiedy po lekkim śniadaniu udaliśmy się do centrum, ja nadal byłam zaskoczona. Sobą, tym wszystkim, co się stało... W Koloseum słońce prażyło niemiłosiernie, ale było mi z tym dobrze. Czułam, że to ciepło przenika do mojego serca. Że jest mi ze sobą dobrze. W takich samych słomkowych kapeluszach na głowach siedzieliśmy na kamieniu i wsłuchiwaliliśmy się w rytm historii. W komplecie z białej, batystowej tkaniny czułam się zabójczo. Głęboki dekolt zdobił sznur drewnianych, wielkich kul. W ubraniach wybieranych przez Juliana musiałam mu się bardzo podobać. Nie było innej możliwości. Czułam się przy nim piękna, niesamowicie kobieca. I ponętna!

W pewnej chwili Julian objął mnie za ramiona.

– Chciałbym cię o coś poprosić.

– Tak? – Włożyłam rękę pod jego lnianą koszulę. I zaczęłam robić esy-floresy. Gwałtownie zabrał moją rękę i przesunął ją sobie na brzuch. Tym lepiej dla mnie.

– Chciałbym, żebyś zaakceptowała układ, który chcę ci zaproponować.

– Układ?

– Tobie od życia należy się zdecydowanie więcej, niż dostajesz. Także w sensie materialnym.

– Oj, przestań! – Wyciągnęłam rękę spod jego koszuli i położyłam ją na torebce.

– Masz całą masę fajnych cech. Elżuniu, posłuchaj... – powiedział cicho. – Tylko się nie denerwuj! – Musiał widzieć, że bębnię palcami o torebkę. – Mam trochę pieniędzy do wydania i chciałbym to zrobić razem z tobą. Co ty na to?

– Wybacz! Na to na pewno nie pozwolę! – Wstałam i zaczęłam spacerować, ale wśród tłumów zwiedzających ruiny nie było to możliwe. Klapnęłam znowu obok Juliana. Od razu chwycił mnie za rękę i przytrzymał w swojej.

– Elżbieto, nie wkurzaj się. W życiu zawieramy masę nierównoważnych układów. Nie jest ci ze mną dobrze?

– Jest, i dlatego teraz zrobiło mi się przykro.

– Egzaltacja? Wiele kobiet by na to przystało.

Oczywiście wiedziałam, że ma rację, sama znałam mnóstwo takich. Ale chciałabym, żeby między nami było inaczej, lepiej. Wydawało mi się przecież, że to coś jest ładne.

Było Koloseum. Były mury. Z nieba lał się żar. Ja czułam ziąb. Tak! Pomyślałam, że jestem galerianką. Najbardziej klasyczną. I te opowieści Juliana o wstrętnych babach, z uporem drepczących za facetem ostatniej szansy. Ciągle z ręką na komputerowej myszce! Mógłby się zastanowić i tego ekshibicjonizmu mi oszczędzić! Było nam ze sobą tak dobrze...

– Nie, dla mnie to nie jest atrakcyjne położenie. – Mój głos nabrzmiał oschłością.

– Zastanów się, nie odpowiadaj od razu. Masz dość szarości. Zabierałbym cię w swoje podróże, także te zawodowe. A poza tym lubimy się... Nie, nie chcę od ciebie wyłącznie erotyki. Ale przyznaję, zaskoczyłaś mnie. – Julian uśmiechnął się łobuzersko.

– Jak to brzmi... – westchnęłam. Był szczery, na pewno bardziej niż Bogdan, a przecież ja na jego finansowy i emocjonalny wyzysk godziłam się wiele długich lat.

– Ależ, Elżbietko, obydwójce wiemy, że welon się nie zapowiada. Wypróbujmy ten układ, proszę.

– Naprawdę sądziłam, że między nami może być tylko ładnie.

Wszystko we mnie krzyczało, wołało o czystość relacji, wedle moich życzeń. A jakie one były? Nie wiedziałam.

– Życie to barter. Sama do tego wniosku niebawem dojdiesz – powiedział cicho Julian i podał mi rękę. Wstałam z kamienia.

Po kilku godzinach zwiedzania, kiedy wróciliśmy do hotelu, poczułam znowu, że jestem żądzą. Wbrew logice, wbrew rozsądkowi. Puls znów galopował mi jak szalony. A niech tam, te kilkadziesiąt minut fizycznej rozkoszy warte było wysokiej ceny! A co tam, na odpokutowanie tego kontraktu pozostanie mi jeszcze kilkadziesiąt lat życia. Chwilo, trwaj! Błagam!

## Wylęga

Z Rzymu wróciłam ze słońcem w walizce i z jakąś może irracjonalną, ale jednak nadzieją. Nabrałam przekonania, że nie jestem najgorsza, całość życia obudził, a może przywrócił moją próżność. Poczulałam się nowoczesna i światowa, jakże łatwo mi było przeskoczyć w ciągu trzech dni kilka szczebli w drabinie społecznej. Uwolniłam samą siebie ze skorupy, jaką się kiedyś opakowałam. Zechciałam być widzialna, nie mogłam wiecznie przemykać przy murze, tak jakby miał mnie przewrócić najmniejszy nawet wiatr. Wiedziałam, że grzeszę, ale była we mnie jakaś dzika pewność, że wolno mi tak postępować. Ranić własną rodzinę, układać się z kochankiem, nie dbać o matkę, egoistycznie pławić się w zbytkach. Tak, życie z Julianem nie zakładało materialnych wyrzeczeń. To mnie ogłuszyło na dobre i jednocześnie osłabiło hamulce. Zastanawiałam się jednak, dlaczego Bogdan niczego jeszcze nie podejrzewa.

Był początek weekendu, letnie popołudnie drzemało w najlepsze. Z niechęcią zabrałam się za domowe porządki. W ich efekcie klepki wprawdzie nadal odpadały, ale przynajmniej były błyszczące. Kanapa kłuła w pośladki, ale nie było w niej kurzu. W domu od razu zrobiło się więcej powietrza. Pranie suszyło się w ogrodzie, na sznurze rozpiętym pomiędzy jabłonką a modrzewiem. Z kolei owcza, gdzieś wyliniała skóra, która chłoneła błoto z łap Szakiego przez dobrych kilka miesięcy, od godziny czekała na wytrzepanie. Odkurzałam, co się dostało w moje ręce, jakbym w ten sposób chciała wytrzepać biedę. Dobrze mi zrobił wysiłek fizyczny, zapomniałam o rozdrożach, po których kroczyłam. O rozdwojeniu osobowości też.

Za pieniądze Juliana kupiłam w Rzymie biały lniany zestaw, bluzkę z falbanami na rękawach i spodnie. A do kompletu jedwabny szal w waniliowym kolorze, długi, fruujący za mną przy wietrze. Dotykałam delikatnej, nabłyszczonej nieco materii. Zapragnęłam natychmiast te cuda na siebie włożyć i przejrzeć się w lustrze. Obracałam się przed małym lustrem, w którym nie widać było całego ciała, weszłam na krzesło, żeby zobaczyć dół sylwetki. „Ślicznie” – pomyślałam. Byłam niewątpliwie na etapie przywracania sobie utraconej dawno temu kobiecości. A może dopiero na etapie jej odkrywania. Byłam również w takim momencie życia, kiedy nieważne stawały się rodzinne spazmy i sarkazmy. Niestety, w domach jak nasz, intymność była deficytowym towarem!

– Aga ładniej by w tym wyglądała. Gdzie to w takim wieku nosić falbaniaste i białe rzeczy! Nie masz w ogóle wycucia. – Sarkazm w głosie Krysty był bardzo czytelny.

W nowym butik w centrum miasta rzucili dzień wcześniej atrakcyjny towar, nawet niedrogi. Za kilka rzeczy zapłaciłam jakieś dwieście złotych. Wszystko, co kupiłam, było w tonacji liliowofioletowej. Zośce zbledną oczy, gdy się spotkamy na mieście. Kinga zaś znajdzie powód, żeby już w ogóle nie wynagradzać moich usług.

Wzięłam rozwód z ciuchbudami. Nieważne były pieniądze, miałam ich dość do swojej dyspozycji. Julian zdecydowanie nie był skąpcem. Może w ten sposób tworzył dla siebie kobietę według swoich wyobrażeń i upodobań? Kupował ją. Nie, to chyba niemożliwa kombinacja. Mężczyźni tak nie postępują. Co innego kobiety. Skrót myślowy,



czy też schemat: „Umyję go, ogolę, potem ubiorę i wreszcie nie będę już samotna” sprawdzał się wśród większości moich rówieśniczek i ich partnerów z łapanki.

Wracając do Juliana. A może miał to być rodzaj ubezwłasnowolnienia mnie? Zasugerował kiedyś, żebym przyciemniła włosy. W zasadzie wszystko, co płynęło do mnie z jego inspiracji, przyjmowałam bezkrytycznie.

Co do włosów, to nie, na razie nie. Bałam się, a może nie czułam tego klimatu, jednak wolałam być nadal subtelną blondynką, zwłaszcza gdy przez czterdzieści lat wszyscy oponenti tłoczyli mi do głowy, jaka jestem niekobieca... Że żandarm! I chłop!

Julian podśmiewał się z moich wątpliwości. Lubiłam jego szelmowski uśmiech, w policzkach robiły mu się dołki. I w brodzie. Prawie tak samo jak u Michaela Douglasa. Mniejsza z tym. Generalnie uważał, że temperament mam typowy dla brunetki, i to o włosach w odcieniu smoły. Mnie samą też te namiętne uniesienia zaskoczyły.

Ilekcioć myślałam o parnych rzymskich nocach i popołudniach na tarasie, w promieniach zachodzącego słońca, a zdarzało się, że i wschodzącego – zawsze czułam to samo. Podniecenie tak duże, że musiałam dłońmi przyciskać podbrzusze, żeby uciszyć wyrywającą się wewnętrzną siłę. Albo lepiej: ujarzmić. Moje nerwy były na wyczerpaniu już po zaledwie kilku satysfakcjonujących seksualnych aktach! Nie, nie odgrywałam roli kochanki, byłam namiętą kochanką. Jakakolwiek gra i wcielanie się w kogokolwiek zawsze były mi obce. Chociaż Julianowi nie przeszkadzałyby zapewne, gdybym poaktorzyła.

Myślę, że mężczyźni nie wierzą w istnienie kobiecych kłamstewek. Nie widzą gry. A może wszyscy po trosze nie wierzymy... w kłamstwa generalnie. Nie wierzymy, bo nie chcemy wierzyć. Nie przyjmujemy do wiadomości nieprawdy, bo często jest niewygodna.

Babci nie przeszkadzałyby, gdybym grała córkę Agopodobną, Bogdanowi – gdybym odgrywała idiotkę. Jęchorkowi – gdybym udawała, że pieniądze nie są mi absolutnie potrzebne. Role w życiu odgrywamy dla kogoś, nie dla siebie. Sami na dłuższą chwilę najlepiej czujemy się we własnej – jednak lepiej, gdy w luksusowej – skórze.

Zamyśliłam się, odjechałam. Było dziwnie spokojnie. Czasem nawet w zespole nor dla agresywnych szczurów zapanuje cisza. Bogdan parzył sobie herbatę, a ja kątem oka dostrzegałam, że zerka na moje nowe ciuchy, które powiesiłam na klamce, kręci nosem... O mało nie rozlał herbaty w drodze do swego komputera.

– Coś ty znowu nakupiła?! Ruska szafa pęka w szwach, swojego garnituru nie mogę wcisnąć. Od dwudziestu lat nie była aż tak eksploatowana! Aż mosiężne okucia się na niej powyginały!

– Musimy się rozwieść, wtedy będzie luźniej – wzruszyłam ramionami.

– Co tam mówisz bez ładu i składu?

– No, że jak po rozwodzie się wyprowadzisz, to będziemy mieli w szafie luźniej – zawołałam już z kuchni.

Nakładałam sobie na talerz pieczoną wątróbkę. Pomyślałam, że tym rozwodem mogłabym go nie drażnić w dniu, kiedy zaskoczył mnie ciepłym obiadem. Nie było to smaczne, bez cebuli, bez papryki. Chyba na smalcu. Wąskie, gąbczaste paski. Popiłam kęsą herbatą żurawinową, a resztę z patelni rzuciłam do miski psa. Dobroć jest w cenie, może Szaki zaczniesz mnie wreszcie słuchać? I może nawet pokocha?

Pies rzucił się na żarcie, a ja podeszłam do stojącego w przedpokoju biurka pamiętającego moje szkolne czasy. Rupieć z płyty dopraszał się o eksmisję. Już jako dziewczyna w wieku licealnym lakierowałam go i szlifowałam, żeby wyglądał chociaż ciut lepiej. Mało to dało, lakier się łuszczył i jeszcze pogorszył sprawę. Kiedyś...

Kiedyś meble będę w antykwariatach kupować! Schyliłam się, żeby z dolnej części wyciągnąć mapy. Julian wzmógł moje zaciekawienie światem, przede mną jeszcze było tyle do zwiedzania! Otwarłam szafę, kurz pufnął mi w nos. Kilka dobrych lat tam nie zaglądałam. Jedyne do opuszczanej klapy w górnej części Bogdan niedawno zamontował wylicytowany na aukcji mosiężny uchwyt.

Ileż tam było śmiecia! Mapy stare jak wanna w naszej łazience, to akurat mnie ucieszyło, bo nabywały wartości antykwarycznej. Jednak wycinki z gazet na temat atrakcyjnych turystycznie miejsc na świecie to były śmieci. Bo kto chce dzisiaj zwiedzać Rugię albo pojechać do Bratysławy czy do Rimini? Warna i Balaton też straciły potencjał.

Już wstawałam, ale wtedy stało się! Klapa z ciężkim mosiężnym uchwytem spadła mi na głowę! Jak łupnęło! Jak błysnęło! W mojej głowie zaczęły bić katedralne dzwony, a gdy ucichły, usłyszałam pieśń: „Boże, Stwórco nasz, Panie, przed tobą padamy, usłysz nasze wołanie, pokornie błagamy”.

Kilka zwrotek zamarudziłam na podłodze. Potem się ocknęłam. Chór wdów umilkł. Zaczynałam rozumieć, że brązowa plama, którą ledwo widziałam, stawała się coraz bardziej wyraźna, i że były to skarpety Krysty, opakowane w poruszające się, filcowe kapcie. Również brązowe. Nie, głosu nie słyszałam. Za to poczułam, że ktoś podaje mi rękę i pomaga się podnieść. Boguś był silny.

– Ależ cię walnęło! Łeb masz ze stali? Hałas narobiłaś tyle, co dwie terenówki na Polskiej, gdy zrobiły sobie kuku! – Boguś, jak coś powie, to...

– To nie jest śmieszne! – Pocierałam głowę. Pod włosami wymacałam wielką śliwę, a sprzed oczu mgła jak z *Psa Baskerville’ów* wciąż mi nie zesłała.

– Słuchaj – Boguś zaszeptał – czy ty wiesz, kto w tym całym zamieszaniu zżarł naszą wątrobę?

– Ja swoją mam – zażartowałam. – To było przed, nie w zamieszaniu. Ja i pies – uściśliłam, domyślając się, że Bogdan nie mógł zrozumieć mojego dowcipu.

– Byłem pewien, że teściowa!

Cóż za egzotyczne podejrzenia?! Krysta nigdy, przenigdy nie zjadła bez pozwolenia naszego jedzenia. Częstowana, zawsze manifestowała pogardę, w skrócie rzecz ujmując.

– Nie żartuj. Ale mnie teraz rozśmieszyłaś! To było żarcie dla psa! – Boguś rechotał tak głośno, że z pewnością słyhać go było na ulicy. Wąchał mu się ruszał, jakby był zwierzątkiem futerkowym. Nawet prostowane szlafmycą od lat czarne kłaki wszczęły taniec wokół jego twarzy. Mniej więcej tak, jak robiliby to indiańscy szamani dookoła ogniska, na którym te dwa domowe potwory smażyłyby moje ciało. Założmy, że w ofierze dla Szakiego.

– Tylko mi nie mów, że ta wątroba była przeterminowana! A może ją w taniej jatce kupiłeś?! – Poczułam, że mnie mdli. Po chwili odbiło mi się, i jeszcze raz. Tylko brakuje, żebym dostała wzdęć, i co wówczas będzie z seksem?

Czy ja muszę wszystko sprowadzać do erotyki?! Kiedyś tak przecież nie było!

– Tak. Była. – Boguś nie przestawał chichotać.

– Kurczę. Miałam świadomość, że nakarmiłam psa, a tymczasem okazuje się, że to rude bydlę mnie poczęstowało!

No właśnie. Psa! No tak! Przecież pozostał mi jeszcze pies. W sensie że do wypucowania. Znalazłam kaganiec, założę mu go i sio, do wanny. Odkręcony psi szampon trzymałam w dłoni. Co to dla mnie! Krótka piłka. Moment i następne zadanie niecierpiące zwłoki było wszczęte, praca niewątpliwie zawsze bardzo mnie kochała.

– Szaki! Do mnie! Natychmiast!

Niestety. Rutyna często mnie prowadziła do niekorzystnego zakończenia. Jak to się stało? Dokładnie nie wiem. Może zignorowałam psie fafle? Czy wyprężony do ataku grzbiet? Ale jakie to może mieć znaczenie, kiedy następuje cios, który wymierza nam precyzyjnie mały, niezgrabny, rudy pies?! I jesteśmy w szoku!

Szaki tymczasem skulił się i zniknął w centrum ochrony i tresury wściekłych psów, które gryzą swoich żywicieli! Czyli do pokoju Krysty. Zaczęłam krzyczeć, skakać po odpadających klepkach, płakać. Krew tryskała, ale nie tak, jakby z tętnicy. Zaciskałam psią smycz na ręce, a mimo to kapało w szczeliny między klepkami. W korytarzu zrobiło się czerwono jak w rzeźni. Rozpłakałam się na dobre. Zrobili ze mnie ofiarę!

– Tak biednego psa przestraszyć! Co to się człowiek tutaj nadenerwuje? – Krysta wsadziła swoje trzy „znowu do dupy” grosze! Głaskała Szakiego. Nie mogła choć raz mi współczuć?!

Zaczęłam krzyczeć i płakać na przemian:

– Zawsze chciałaś, żebym była bita i poniewierana! Chciałaś mnie wychować na niedojdę! Dla siebie to robiłaś, bo uwielbiasz ludźmi pomiatać! Musisz mieć wroga i być najmądrzejsza! Chciałaś, żebym była mniej warta niż ty, a w sumie wychowałaś mnie na taką dla wszystkich! Nawet dla swojego ohydneho psa też!

Zsunęłam się na podłogę i z wściekłości uderzyłam głową w ścianę. Moja sieroca choroba znów wylazła! Kiwałam się w tę i z powrotem. W tę i znowu z powrotem. W tę cholerną sierocą stronę i w tamten równie parszywy sierocy kierunek!

– Do własnej matki z krzykiem! Przecież z nerwów mogę dostać zawału! Nie drzyj się! – (A czy i ona może nie krzyczeć?!) – Zadzwońię do Agi, niech mnie w końcu przed wami ratuje! We własnym domu staremu człowiekowi krzywdę robią. Wylęga jedna! We własnej, zacnej rodzinie taka podła wylęga się wyrodziła!

Zabandażowałam przedramię, otworzyłam szafę, zaczęłam się ubierać.

– Jedziesz do szpitala? – Bogdan wyglądał na zatroskanego.

– Tak.

– Po co dotykałaś wilkołaka? Jeśli Babci pasuje, żeby śmierdział, to niech śmierdzi. Pokaż rękę.

No nie! Jeszcze ten! Teraz, kiedy drażniła mnie każda głośna i fałszem szyta tonacja. Będzie się wymądrzał!

– To naprawdę źle wygląda. Zawiń sobie. Zawołałem taksówkę. Jechać z tobą? – Mina Bogusia i tym razem nie była w sporze ze słowami.

– Chyba żartujesz...

Miałam żal do obu. To dzięki mnie Bogdan ma co jeść, a matka nie musi ze swej emerytury opłacać kosztów życia. To ja dbam o remonty, o ogród, o bibeloty, duszy tej norze dodaję! Tworzę dom, tylko ja. Pies?! Czy pomyślał, kto znosi dla niego ścinki z wędzonki od Malutkiego Sklepikarza?! Też ja! Świadomość nieodwzajemnienia przygniatała mnie do ziemi i zrównywała z asfaltem. Z pokoju matki dobiegało pochlipywanie i zawodzenie: „Taka wylęga może człowieka wykończyć na amen!”. Brzmiała jak islamski muezin, wzywający wiernych na modły.

Wydarzenia dnia zdjęły ze mnie ciężar decyzji. Mogłam dmuchnąć w ten domek z kart, obcasem wcisnąć te karty w glebę. Byłam gotowa na wszystko. Nic nie mogło mnie powstrzymać. Wtedy tak właśnie myślałam, dokładnie tak.

Taksówka podjechała szybko, zabandażowaną rękę zakryłam swetrem. To wstyd być ofiarą własnego psa! Trzęsłam się, mimo że popołudnie było ciepłe i słoneczne.

– Co się stało? – padło pytanie w izbie przyjęć.

– Najpierw pokłóciłam się z matką, ale to nie jest akurat dziwne. Potem na moją psychikę usiadł mąż, to też nie jest niezwykle. No i stało się, zjadłam naszemu psu smażoną wątrobę! Co się nigdy nie zdarzało. I się odwdzięczył! To znaczy ten pies. Nasz pies... – plotłam nieskładnie, zdając sobie sprawę, jak głupio to wszystko brzmi.

– I rozszarpał pani przedramię. A skąd ten siniak nad okiem?

– Zapomniałam, jeszcze kłapa od biurka na głowę mi spadła...

Taaa... nie zdziwiłabym się, gdyby uznali mnie za wariatkę, ewentualnie ofiarę przemocy domowej (w jakimś aspekcie niestety nią byłam), ale szczerze mówiąc, wtedy było mi już wszystko jedno.

Dwie godziny później, kiedy wychodziłam ze szpitala, wiedziałam, co zrobić. Postanowiłam uciec. Z tego domu, od takiej matki, z ramion pazernego na dobrobyt kolesia zwanego mężem. Postanowiłam pojechać do Juliana i ukryć się w jego pachnącym mieszkaniu, w jego ramionach...

Przypomniały mi się moje nastoletnie lata. Był czerwiec. Nareszcie dostałam swoją pierwszą miesięczkę, wszystkie moje koleżanki już dużo wcześniej mogły się tym faktem szczycić. A ja niestety nie. Właśnie skończyłam pierwszą klasę licealną. Krysta tego dnia nieustająco wysuwała żądania. A to przynieś mi ze sklepu margarynę, potem z piwnicy ziemniaki, idź z Agą na spacer, umyj naczynia. Wytrzyj podłogę. Nie! Przy tym ostatnim żądaniu powiedziałam głośno i wyraźnie:

– Brzuch mnie boli! Nie mogę się schylać.

– Natychmiast zrób to, co ci kazałam! Będiesz w moim wieku, zobaczysz, jakim wtedy jest się chorym – usłyszałam.

– Nie mogę, bardzo źle się czuję – powtórzyłam.

– Taaak? Matce własnej kontrę?! To poczekaj. Zobaczysz, przyjedzie ojciec z pracy, to ci przyłoży. Skuje ci leniwą dupę, już ja tego dopilnuję.

Krysta od Antychrysta. Na sto procent mówiła prawdę. Ojciec bał się jej podobnie jak ja. Zawsze jej ulegał. „Będzie tak, jak postanowiła żona” – tak mawiał.

Najpierw pobiegłam do przyjaciółki, potem do drugiej, mieszkającej nieco dalej, w końcu zrobiło się ciemno i nie wypadało się gościć. Wracalam do domu, ojciec jednak stał w drzwiach. Czekał. Spostrzegł mnie, zanim zdążyłam się schować.

– Jak ty traktujesz matkę?! Przyjeżdżam zmęczony po pracy do domu i słyszę, że moja córka źle traktuje moją żonę! Wejdz do pokoju i połóż się na krześle!

Odwróciłam się i uciekłam! Uciekłam od własnego kochanego ojca, bo ten najukochańszy ojciec posłuchał swojej rozkapryszonej żony i miał zamiar mnie tłuc jak zwierzaka. A ja kobietą wreszcie byłam, z udami pokrwawionymi pierwszą obfitą miesiączką. Cała paczka waty w kroku pod letnią sukienką mi się zmieściła! Pokręciłam się po ciemnej ulicy, a gdy drzwi do mojego domu się zatrzasnęły, wbiegłam do ogrodu, wczołgałam w płataninę krzewów malin przy płocie. I tam z desek i trawy zrobiłam sobie łożę do spania i jednocześnie (a raczej przede wszystkim) kryjówkę przed własną rodziną. Było to po raz pierwszy.

Kilka razy nocą wychodzili mnie szukać, a ja się cieszyłam. Aga oczywiście im towarzyszyła, żeby mogła nabrać jedyne właściwego stosunku do niegodziwej siostry. Szum i dźwięki ogrodu nie dały mi zasnąć. Następnego dnia, kiedy złość ojca przekształciła się w lęk o córkę, pojawiłam się w domu. Milcząca i smutna. Kilka dni później odkryto moją kryjówkę. Jeszcze przez wiele następnych lat historia ta krążyła jako rodzinna anegdota. Aga nadal ją swoim dzieciom przypomina, że ich ciotka była niegrzeczna, uciekała z domu, jednak tchórzyła, więc jedynie w domowych malinach się chowała.

Do domu Juliana dotarłam wprawdzie dość szybko, ale cuchnącą taksówką. Taryfiarz niedosłyszał, a tylna kanapa w aucie przypominała naszą. Wysiadłam bez sił, jakoś dotarłam do drzwi i nosem wycelowałam w przycisk domofonu. Gdy usłyszałam głos Juliana, mogłam wykrztusić tylko jakieś charchoty. Oparłam się o głowę betonowego lwa na schodach, potem osunęłam na stopień. Straciłam przytomność. Kiedy ocknęłam się po raz drugi tego dnia, zobaczyłam nad sobą Juliana, który wachlował mnie czarno-białą, jakby żałobną wstążką. Kir? O nie! Jeszcze nie! Gawroszką mnie cucił, moją ulubioną, z jedwabiu, w czarno-białe wzory. Mina Juranda, Redforda, Kochanka wyrażała zaskoczenie i strach.

– Mocno mnie przytul, miałam makabryczny dzień.

– Co się stało? Jak ty wyglądasz?! – Prowadził mnie na górę.

– Wszystko mi dzisiaj dało popalić! Cały parszywy dom na mnie napadł, jestem pozszywana i prześwietlona tysiącem lamp – gadałam jakieś bzdury.

– Jak oni mogą! Zostań. Wyślij SMS-a, wyłącz komórkę i zostań. Zaraz zrobię ci miejsce na kanapie. Połóżysz się.

– Będiesz przy mnie?

– Nie, ubiorę się i pojedę dać mu w mordę. Nie pozwolę, żeby cię zabili! – wykrzyknął poruszony.

– Błagam, nie możesz tam pojechać, nie możesz ich w ogóle nigdy zobaczyć! Nigdy! Proszę cię. – I znowu się rozplakałam.

– Nie rozumiem. Dlaczego się jeszcze z nim nie rozwiodłaś?

– Ty nic nie rozumiesz. Jeśli ktoś ma takie życie, że tylko w łeb i w łeb dostaje, to się go uczepliłam, jakby mi rękę podawał. Bo gdybym nie miała jego, nie miałabym już zupełnie nikogo. – Mój płacz był niepohamowany. Niechcący wypowiedziałam samej sobie własną definicję „jak nie być samotną po czterdziestym piątym roku życia”.

„Skoro jest, to go umyję, ogolę, ubiorę, nakarmię, dam komputer i wtedy już na pewno nie będę samotna!”

– To bzdura!

– Sama to wiem. Zobacz, teraz powinnam się miotać, martwić, krzyżeć, wariować, a ja nic. Życie przesiedziałam i przemilczałam. Dzisiaj dopiero coś udało mi się wykrztusić, ale i tak teraz mam wyrzuty sumienia...

– Połóż się. Poczytam ci może coś... Nie masz chyba zamiaru chodzić do pracy? – zapytał Julian. Był smutny. Głaskał mnie po włosach. Mnie, pełną różnych pęknięć osobowości i wad. A ja chciałam zwinąć się w kłębek, rękoma objąć kolana, wsadzić palec do buzi. I go ssać! Makabra!

– Mam zwolnienie na siedem dni. Z pracy też mogą mnie wywalić, jeśli im powiem, że domowy malutki piesek mnie pogryzł. Zaraz skorzystają z sytuacji i zakwalifikują mnie do agresorów albo dewiantów. Albo cieniasów. Przecież większość ludzi sądzi, że psy potrafią uszanować dobrych ludzi.

Julian nic nie mówił. Milczał.

– A masz może coś do poczytania o Kajmanach? – zmieniłam temat.

– Wracając do tego, co powiedziałaś – wasz pies był źle prowadzony! Co do pytania, lubisz Kajmany...? – Uśmiechnął się. – Już się robi, madame, kiedyś mój przyjaciel coś fajnego napisał.

– No, oglądałam taki film i pomyślałam sobie, że chętnie bym tam zamieszkała. Zawsze jest ciepło, nie trzeba wydawać olbrzymich sum na ogrzewanie. Nie ma podatków, jest woda, ogólnie nastrój kanikuły, ponoć wielu Anglików się tam przeprowadziło. Wiem! Sprzedam dom razem z inwentarzem i też się przeprowadzę! – Zawsze gdy mówiłam o mojej matni z domem, gestykulowałam nerwowo. Poza tym poczułam, że z nerwów pocę się pod pachami.

– Tyle że na klimatyzację trzeba zarezerwować nieco grosza. To nie jest idealne miejsce do życia, bo od wczesnej wiosny do jesieni utrapieniem są tam huragany. Ostatni zmiotł z Wielkiego Kajmana olbrzymią część domów...

Zbierałam błakające się kawałki duszy, mimo że działał jeszcze lek znoszący strach, jakaś odmiana „głupiego Jasia”, to świadomość zaczynała do mnie docierać. Ta makabra mogłaby przecież się powtórzyć! Wysłałam jednak SMS-a do Bogusia: „Nie mam siły dzisiaj wracać, nie mogłabym nawet, muszę się pozbierać. Idę spać”. Nic nie odpisał. Potem ze swojej komórki wysłałam tekst na bloga. Moja dusza płakała, byłam rozbitkiem.

Malinowa Trufla pisze:

*Zbankrutowałam, częściowo, na szczęście, nie całkowicie. Nie jest to stan zbawczy, ale może pozwoli mi na odbicie się i na skok w dal? Może także wzwyż? Spoglądać na świat z góry to móc przewyciężyć swoją przyziemność. Bliżej nieba, bliżej siebie. Moja skąpana w słońcu polana niech przetrwa każdy wiatr.*

## *Mikstura z afrykańskiego masła*

Niebo postanowiło wynagrodzić mi przeżycia sprzed dwóch dni. Czym? Kolejnymi dwoma fajnymi dniami. Było już czuć, że zbliża się koniec lata, jeszcze nie kalendarzowy, ale meteorologiczny na pewno. Już od końca lipca płakałam z żalu za upływającym czasem. Powietrzem kręcił lekki wiatr, sporo czasu już nie padało, trawa przed domem Juliana całkiem wyschła, a niskie już słońce dawało znać, że zbliżają się chłodniejsze dni i wieczory.

Nie lubiłam jesieni, kojarzyła mi się ze śmiercią i chorobami. Jednak tym razem miałam Juliana. Jego obecność czule drażniła moje zmysły i muskała mą próżność. Julian przyjął mnie wraz z całym psychicznym obciążeniem. Z Bogdanem, Krystą, Szakim, a nawet z Agą. Myślałam o nich, martwiłam się. Czy Bogdan ma pieniądze na jedzenie? Czy rachunki domowe są opłacone, bo Krysta fatalnie znosi monity? Wreszcie, co oni sobie o mnie pomyślą?

Ale mieszkałam. Wreszcie gdzieś mieszkałam. Jeśli ktoś by mnie zapytał, co to znaczy, powiedziałabym, że niech najpierw sprawdzi się w kilku miejscach, a wtedy na pewno będzie wiedział, gdzie jest jego dom. Nie można się zamykać w jednym świecie i udawać, że innych nie ma. To już wiedziałam.

Odkrywałam zakamarki mieszkania Juliana, bibeloty zwiezione z podróży, ceramiczne płytki azulejo, wielkie kosze na drobiazgi, ceramiczne, ręcznie malowane talerze i dzbany. Mnóstwo okolicznościowych kubków. Uśmiechnęłam się, gdy w łazienkowej wnęce odkryłam drewnianego koguta z czerwonym grzebieniem i kolorowym ogonem.

Tymczasem Julian pisał.

Jego mieszkanie było dużym apartamentem. Z pokoju, który odwiedziłam miesiąc temu, przechodziło się do pracowni drzwiami schowanymi w czymś, co bardzo przypominało szafę. Było też jakąś formą garderoby. Z kolei pracownia to była istna kryjówka. Mojemu wspaniałemu Jurandowi (i jednocześnie Redfordowi) nie przeszkadzałam w niczym. Spałam, trochę czytałam i spędzałam czas na odpoczynku. Przemycywałam i smarowałam rękę, kurowałam się. (Najtrudniej było mi ranę oglądać. Zawsze bałam się widoku krwi.) Albo z okna po zachodniej stronie obserwowałam okolicę. Albo, co się zdarzało najczęściej, zerkałam na Juliana, gdy pisał. Podobało mi się, że potrafi się wyłączyć. Mnie to się rzadko udawało, może z wyjątkiem godzin, kiedy bywałam w Mieteksie. Podobało mi się również jego zajęcie. Odkąd zaczęłam pisać blog, i ja polubiłam pisaninę. Jednak mojej nie powinnam porównywać z tym, czym zawodowo trudnił się Julian. „Kończę Islandię” – zdradził mi w Rzymie. Jeszcze musi (potem się poprawił, że musimy razem) pojechać do Lizbony, bo fotografie, które dotąd zgromadził, to za mało. No i marzy, żeby poczuć miasto raz jeszcze... Chciałabym z nim pojechać, tylko co będzie, jeśli wspólne wyjazdy spodobają mi się bardziej niż jemu? Miał wiele kobiet i wcale się z tym nie krył. W Portugalii na pewno nie był sam. W Islandii także. Powie: „pas”? Znów będę cierpieć! Miłość nie umiera na hasło: „to koniec”.

Miłość? Tak?! Coś się tworzyło, byłam tego pewna. A u Juliana? No cóż, on snuł

dalekosieżne plany wyjazdowe, zdradził, że w zanadrzu ma Australię, potem może Peru (choć to miał być wyjazd sentymentalny). Cieszyłam się, ale lęk mnie nie opuszczał. Że nie okaże się długodystansowcem. Że w końcu jakiś diaboliczny kobieton skieruje na niego wabiki. Poza tym zazdrościłam tym, co były przede mną. A nawet, o pokrętny paradoksie, tym, które w nieprzeczytanych książkach zostawiły zakładki. Z jakichś powodów te ostatnie wydały mi się najbardziej niebezpieczne.

Po południu drugiego dnia przegoniłam niedobre myśli i wygrzebałam się spod koca. Powlokłam się do łazienki. Ostrożnie, żeby nie zamoczyć opatrunku, wzięłam prysznic. Później napaćkałam się tłustą miksturą z afrykańskiego masła karite. Julian wspominał, że śmiało można go użyć do masażu. W naszym przypadku na miłość wypielęgowaną było jeszcze za wcześnie. To, co między nami się działo, to był czysty spontan, ale nie żadne szaleństwo czy sport, a raczej miłość nieśpieszna, bez zadyszki. Gdy wyszłam pachnąca i zamknęłam za sobą drzwi do łazienki, Julian wyjrzał zza parawanu zasłaniającego biurko.

– Posmutniałaś. – Przyjrzał mi się uważnie. – Poczekaj, rozweleś cię. Zobacz, jak skaczę!

Jego głowa śmiesznie podskakiwała za parawanem z laki, policzki ruszały się w górę i w dół, a miny przy tym robił przezabawne, jak niemowlak chlapiący łapkami wodę w wanience. Zaśmiałam się głośno i zajrzałam za parawan.

– O nie! Ty oszuście!

Julian kuczał na biurku i jak narciarz to podnosił się, to opadał.

– Ty śpisz, a ja już dwa rozdziały zredagowałem. Było ci wygodnie? Nie lepiej gdybyś odpoczęła w łóżku? Jeszcze chwila mi zejdzie. Przepraszam, ale muszę się spać i pojutrze oddać materiał wydawcy. Ostatnio dostałem lenia... – Julian przechylił się na krześle do tyłu i patrzył na mnie. Długo. Inaczej niż wcześniej. W jego wzroku było coś bardzo miękkiego. Coś, co kazało mi natychmiast podejść blisko i podotykać go tu i ówdzie. Zamknął oczy. Nie, o nic więcej mi nie chodziło, tylko żeby być blisko i się przytulić. To mnie zawsze wzruszało.

– Wydrukujesz mi kilka stron? Chętnie poczytam. Rwie mnie jednak ręka... Wskoczę do łóżka, masz rację – powiedziałam, odwracając twarz, żeby nie zobaczył łez.

Na dwuosobowym łożu panoszyły się dwie niewielkie, ale mocno wypchane poduszki i dwie kołdry w biało-zielone stokrotki. Bielutkie prześcieradła były z miękkiej satyny, a pościel była dużo bardziej elegancka niż moje dotychczasowe marzenie – o tej z łóżka walniętej Kingi. Zasnęłam.

– Normalnie jakby kobieta zajmowała się twoją pościelą. Sam sobie ścielisz łóżka? Tak fachowo? – zachwyciłam się po przebudzeniu, gdy Julian pojawił się w drzwiach.

– Nie, sąsiadka. Pyta tylko, na ile osób przygotować. – Julian zaśmiał się głośno. Prowokator! A ja się denerwuję!

– I co jej wtedy mówisz?

– Że na dwie. – Chichotał.

– Możesz przecież skłamać. – Zabrakło mi poczucia humoru...

– Mogę, ale przecież jestem uprzejmy. – Przewracał oczyma.

Do sypialni wchodziło się z przeciwnej strony korytarza niż do salonu. Nie była



ona jakaś szczególna, ze ścianami w kolorze jaśminowej bieli, z ciemnobrązowymi wykończeniami. Szafy też były ciemnobrązowe, i drewniane lampki. Rude taftowe zasłony sprawiały nocą, ale także w dzień, że ważny stawał się dotyk. W ciemni niepewność, oczekiwanie i niecierpliwość wyrastały ponad wszystko. Uprawialiśmy miłość z zasłoniętymi oczyma. Bandaż na rękę chronił ranę, a delikatność i troska Juliana, by w ciemności nie sprawić mi bólu, miały swój urok. Ciemność, cisza nocy za zamkniętymi oknami i odgłosy naszych ciał, przyśpieszone oddechy, dźwięki zachłannych pieszczot były afrodyzjakiem do potęgi n-tej.

Ciągle na niego czekałam. Mimo że był ze mną. Bardzo blisko, tuż obok. Pierwszy raz w życiu czułam, że zmysły moje stanęły na baczność i wciąż były gotowe. Jak rekruci w wojsku. Czułam każdy nerw, każde miejsce erogenne, wiedziałam, czego chcę. Moje ciało układało się w taki sposób, by przyjąć Juliana najpełniej, najdokładniej, jeśli to określenie nie jest zbyt perwersyjne. Pewnie jest, ale nieważne.

Życie moje! Rozpieszczaj mnie! Dotykaj. Mów.

Byłam bezwstydną, co sprawiało, że uwolnione po latach podniecenie podchodziło mi aż pod sutki. Chciałam brać. Tak, brać! A Julian znakomicie wiedział, co mi dać i w jaki sposób. Całował mnie, jakby chciał dotknąć ustami mojej duszy, a ja, mimo że naga, chciałam rozebrać się jeszcze bardziej, zedrzeć z siebie kolejne lata, ubranie, a może przebranie... Otworzyć swoje ciało szerzej. Och! Jakie to wszystko było piękne!

Zaczynałam wierzyć, że nasz związek nie ma prawa istnieć jako układ. Że obowiązuje od punktu „a” do punktu „b”, chyba żeby dołączyć „c”. I jeśli „to”, to „tamto”. Tak nie jest, że to, co ładnie się układa, jest piękne (a dla mnie na pewno takie było), stanowi zaledwie pokręcony związek ciał! Nie! Czułam tkliwość dla mojego Juliana, Juranda, Redforda, kochanka, i wiele bym dała, żeby to było wzajemne.

– Wiesz co? – Julian wkładał mi palec do ust. – Teraz jeszcze mniej mi się chce pisać. Muszę jeszcze sformatować fotografie, i w świat! Przewodnik po Islandii ujrzy półki w księgarniach. Mimo że w podróży towarzyszyła mi wariatka, pseudomalarka, potem zresztą nie mogłem się jej pozbyć, sam tekst też pisałem długo, męczył mnie, do tego nadal mam innego rodzaju niedosyt w związku z tą książką, to jednak uważam, że ta wyspa jest znakomitym miejscem dla turystów szukających czegoś więcej niż tylko wygrzewania się z kieliszkiem whisky w gejzerze.

Przelknęłam gładko tę informację. Aha. Wariatka. Pseudomalarka. Była.

Wieczorem byliśmy zmęczeni, ale nie sobą. Miłością, wysiłkiem, pożądaniem, erotyką, orgazmami. Wszystkim razem. Kolejność tej wyliczanki jest w zasadzie obojętna. Byłam prawdopodobnie tej nocy najłatwiejszą kobietą na Sołaczu, nie stosując żadnych babskich sztuczek, skoro on tak bardzo nalega... W takim razie ja coś dam i zaraz to z powrotem zabiorę. Chciałam bliskości i niemoralności, która mi się jakimś zrządzeniem losu przytrafiła. Polubiłam swoje ciało! Nareszcie! Mogłam dotykać je bez zażenowania, a nawet więcej, skórę miałam delikatną, napiętą, a piersi nabrzmiałe i gorące, sutki sterczały mi całe dni, głosząc wyraźny komunikat. Nawet brzuch po dwóch cesarkach też mi już nie wadził. I talia osiemdziesiąt plus. Lubiłam kłaść rękę na podbrzuszu, które pulsowało w rytm skurczów miłości. Malowałam te drgania w myślach, jak elektrokardiogram maluje na papierze rytm serca. A Julianowi bardzo się

podobało, że jestem siebie świadoma, że w pełni się akceptuję, że wiem, iż seksownym można być nawet z ułomnościami. Nasze zapachy mieszały się po raz kolejny. Niewątpliwie ciągnęło nas do siebie, a ze mnie schodziło napięcie.

– To prześcieradło... Jestem z siebie taki dumny! – Julian leżał na brzuchu, opierając głowę na moim podbrzuszu.

– Tak, zwiń je i pokaż sąsiadce. – Byłam rozleniwiona, ale odchyliłam się do tyłu i zapaliłam lampkę. Światło spłynęło na nasze nagie ciała, tworząc cienie i półcienie. Byliśmy bezwstydni, a przez to jeszcze bardziej zmysłowi i ułożeni jak z podręcznika Kamasutry.

– W moim bloku wszyscy wiedzą, że strzelam w środek tarczy. – Spojrzał na mnie badawczo. Prowokator! Znowu mnie straszy!

– Może cały Poznań wie? Jeszcze nie? To idź na Stary Rynek, wdrap się na wieżę i codziennie równo w południe wyskakuj z okienka, razem z koziołkami!

– No wiesz! To dla mnie obraźliwa wizja, chociaż przyznaję, nie zawsze stawałem na wysokości zadania. To co? – zmienił temat. – Rzucisz pracę, zostawisz swojego żigolo i pojedziesz ze mną do Portugalii?

– Żigolo! Gdyby on to słyszał! Gdy byliśmy w Rzymie, powiedziałaś, że chcesz mi pomóc. Dlaczego? Myślę, że mi to zaproponowałaś, żeby zrównoważyć swoje kontrowersyjne, w kwestii uczuć, życie.

– Bajki! A dlaczego ty wróciłaś do matki? To, że wróciłaś, jest mniej ważne niż to, że w końcu z nią pozostałaś. Każdy coś równoważy. Jedni pomagając, inni szkodząc.

– Inne kobiety też finansowałaś? – zapytałam z niepokojem w głosie.

– Nie. – Odpowiedź była krótka.

Raczej nie kłamał, poznałabym. A co do mojego powrotu do matki, miał rację. Lubiłam nienachalny intelekt Juliana, jak i seks z nim. Był taki... pociągający. Westchnęłam i z bólem serca włączyłam komórkę. Opierając łokcie na pupie Juliana, czytałam SMS-y.

„Mamo, niedawno wyjechałem, a Ty już fiksujesz. Gdzie jesteś? Jak się czujesz? Pozbądźcie się wreszcie tego ohydneho psa! Babcia o Tobie mówi same złe rzeczy, i takie słowo na B, pewnie wiesz jakie...” To był Marcin.

Wiedziałam. Bładź! Nieraz tak do mnie mówiła. Śmiałyśmy się potem z Zośką, w jak prostackich rodzinach musiałyśmy się wychowywać. Zośka była z ukraińska sudyną, a ze mnie zrobiono wielkopolską bładź. Kiedyś było mi z tego powodu przykro.

Pierwszy raz czułam się żoną występna, knującą i zdradzającą. Tylko czy na pewno? Czyja zdrada była pierwsza? Czy zdrada małżeńska jest gorsza niż niedotrzymanie małżeńskich przyrzeczeń?

Zadzwoiłam do Marcina.

– Nie mogę rozmawiać, czy możemy umówić się na jutro? Nie martw się, jestem w hotelu, ale błagam cię, nikomu o tym nie mów.

– Mój syn Piotr też próbował ingerować w moje sprawy po śmierci matki. – Julian słyszał moją rozmowę z Marcinem.

– Zrozumiał coś kiedyś?

– Tak, myślę, że tak.

– Opowiedz mi o swoich dzieciach, masz ich kilkoro, prawda? Spotykacie się? Gdzie mieszkają?

– Jedna córka nawet niedaleko stąd się wybudowała. Na Winiarach. Czy Piotr zrozumiał? Może? Po śmierci matki wyjechał do RPA, ożenił się z Zuluską i od kilku lat ślemy sobie kartki na święta. Czasem zadzwoni, ale to ja rzeczywiście dbam o nasze relacje. Jego numer i adres e-mailowy zawsze mam pod ręką, w komórce, ale też na kartce przyklejonej na lodówce. Spojrzę tam i czuję, jakbym na Piotra patrzył. On był sierotą, tak go odbieram. Jego matka była jedyną moją żoną, z którą się nie rozwiodłem. Piotr odziedziczył mój ucieczkowy charakter. On nie wie, że mieszkanie przeznaczyłem dla niego, ale... czy kiedyś to w ogóle doceni? Nie mam pewności. – Julian zamyślił się i popatrzył gdzieś w dal.

– Jul, wydaje mi się, że ty się bardzo często zamyślasz...

– Nie przesadzasz? Zamyślam się, bo jestem mężczyzną myślącym. – Julian błysnął zębami w uśmiechu i pocałował mnie w kark.

## *Testament*

Po dwóch pięknych dniach musiałam wreszcie wrócić do domu, czego wcale mi się nie chciało czynić. Nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Byłam w takim momencie życia, kiedy najbardziej zadowoliliby mnie zadawanie im bólu. Tak myślałam tamtego dnia. Przypominał mi o tym siniak nad okiem, wprawdzie mało widoczny, bo nieco przypudrowany. I rana na rękę, która jednak zaczęła się paprać. Wdało się zakażenie.

– Psy w paszczach mają mnóstwo zarazków – zabawiał mnie rozmową lekarz, zadając jednocześnie ból. W gabinecie cuchnęło zepsutą krwią. Skalpelem i ja chciałam się posłużyć, oczywiście mając na myśli swoich „pacjentów” do zoperowania. Dwoje. Cięłabym bez znieczulenia.

– To nie był pies, to raczej wilkołak – odpowiedziałam zbolalym głosem.

– Na pocieszenie pani powiem, że człowiek ma w jamie ustnej znacznie więcej zarazków – próbował mnie pocieszyć. – Gdyby ktoś panią ugryzł, rana paprałaby się jeszcze bardziej niż po psie.

Nieźle trafił. Rana od ukąszeń bliskich paprze mi się już któreś dziesięciolecie.

Wracając z przychodni, zajrzałam do agencji ubezpieczeniowej i kupiłam dwie polisy. Niewielkie, ale jednak! Jedną przeznaczyłam dla Juliana, drugą dla Bogusia i synów. Zawsze byłam kolekcjonerką polis, w ten sposób okazując patologiczną dbałość o rodzinę. Tylko dlaczego znów? Impuls? Wyrzuty sumienia? Niewykluczone. Na pewno chciałam się odwdziaczyć Julianowi, bo uwierało mnie korzystanie z jego pieniędzy. A że polisę przeznaczyłam dla Bogdana? Uwierało mnie, że po mojej śmierci, bez pieniędzy, stanie się ciężarem dla synów.

Na przystanku autobusowym szarzał tłum, choć nie była to jeszcze godzina szczytu. Powinnam koniecznie wywalczyć miejsce siedzące, bo po zabiegu było mi po prostu słabo. Nie znosiłam korzystać z publicznej komunikacji, a jednocześnie całe życie nie uczyniłam nic, żeby to zmienić. Chociaż nie, prawo jazdy zrobiłam, i na tym się skończyło.

Drzwi autobusu otworzyły się dokładnie przede mną, już przez okno wypatrzyłam, że wolne jest miejsce blisko wejścia. Dam długiego susa i luz. Poczułam jednak, że ktoś spycha mnie ze stopnia. Siła była tak wielka, że się zachwiałam. Wielka stopa w rozdeptanym brązowym papciu była bliżej siedzenia niż moja. Nie! Wstąpił we mnie duch rywalizacji.

Ufff. Tylko dzięki sprytowi wsadziłam tyłek na miejsce szybciej niż opasły cham w wygniecionym garniturze i wielkim kapeluszu na głowie.

– Co pani tak pcha dupę?! Stratowałaby mnie! Co za niekulturalne babsko! – Cham łypał na mnie wściekłym okiem zza wielkich okularów ze śladami paluchów na szklach.

– Bardzo proszę się zastanowić, zanim użyje pan ponownie obelżywych słów! Jeśli wyjdzie mi jakiś siniak od pana łokci, to się jeszcze spotkamy – zasyczałam. Usłyszałam, jak stukamy się zębami, podobnie do młodych wilków.

„Drzwi zamykają. Się” – z głośnika przy drzwiach dobiegło ostrzeżenie, jak zawsze, z akcentem na „się”. I autobus ruszył.

Cieszyłam się, że siedzę, a nie stoję w tłoku, że wygrałam wyścig o miejsce z nieznanym zasad *savoir-vivre*'u, bezczelnym typem. Że zwycięstwo odniosła norma i nieco sprytu. Dosłownie! Ręka mnie rwała, ale to nic, bo ja spod oka cieszyłam się wkurzeniem do granic możliwości Kapelusznika z Dużym Łbem i Wielkim Dupskiem. Aż mi się lepiej zrobiło, gdy go tak nazwałam. Miło było patrzeć, jak stoi przyciśnięty przez tłum do okna, jak ociera pot z dużego łba, Kapelusznik, cham z wielkim dupskiem!

Wysiadłam z ulgą. Za płotem na skraju mojej ulicy nie zauważyłam tym razem dwóch wielkich psów, którym zawsze śmierdziało z paszcz, a mimo to stałam się ogniwem w łańcuchu ludzkiej bezsensownej agresji. Od drzwi naskoczyłam na Bogdana z furią:

– Przed niczym mnie nie bronisz, nawet przed psem! Z uwagi na bezpieczeństwo muszę nocować poza domem jak bezdomna. Pieniądze niepotrzebnie wydaję.

– Miej pretensje do własnej matki, a nie do mnie. O co ci znowu chodzi? O drewniane pięć złotych?

„O co ci znowu chodzi?” tym razem nie obudziło tajfunu w mojej duszy! Zwróciłam uwagę na coś innego. Nie zapytał, gdzie byłam!

– Są tacy, co mi radzą uśpienie psa. We wszystkich cywilizowanych krajach taki eksces w wykonaniu psa skutkowałby tym właśnie.

– Zgłupiałaś do reszty! No, chyba że sama się tym morderstwem zajmiesz, bo ja na pewno nie będę robił krzywdy biednemu stworzeniu.

Szaki to bystre zwierzę, łąsił się do kolan Bogusia, na mnie łypał spod oka, ja na niego zresztą też, pokazując mu zabandażowaną rękę. Wywoływałam poczucie winy. Biedne zwierzątko! Też coś! Jaśnie pan Boguś nie będzie robił krzywdy biednemu zwierzęciu! A ja? Mnie co niby robi?! Hę?!

W tym domu były tak pokręcone relacje, że moje ciało na pewno gotowi byłiby poświęcić na ołtarzu zbudowanym dla psiej ekstazy. Albo na przykład na karmę. Może wyolbrzymiałam wszystko, ale nie mieściło mi się w głowie, że dobro Szakiego jest ważniejsze niż moje.

– W razie gdyby to biedne zwierzątko zagryzło mnie na śmierć, kupiłam polisę. Będzie w segregatorze z rachunkami.

– Znowu krwio pijcom dajesz zarobić! O nas myśl, zamiast tracić kasę na korporacje. Tam utknie w niezidentyfikowanej kieszeni i tyle ją będziesz widzieć!

Boguś... ach, nieważne, co chciałam powiedzieć. Nie warto. A może warto wykrzyczeć, że mój mąż wypracował sobie taki komfort, iż może pod czarnymi przylizanymi kłakami całe wolne dni gromadzić wiedzę z różnorodnych dziedzin. Po czym nie robić z niej żadnego ekonomicznie korzystnego użytku!

– Krzysiek i Marcin mają mieć po czterdzieści procent. No, a dla ciebie jest reszta.

– Dwadzieścia procent dla męża?! Przy wspólnocie małżeńskiej? To nie jest sprawiedliwe!

– To już nie mój problem. Zresztą, proszę mnie skremować i rozsypać z Giewontu, gdy już mnie doszczętnie wykończycie. Na trumnie zaoszczędzisz.

– Daj spokój! To żeś wymyśliła! Ja na pewno nie będę się tak wysoko wdrapywał. Poza tym jest coś takiego jak ochrona środowiska! Żeby w czystym środowisku jakies

popioły rozsypywać? Wybij to sobie z głowy!

– Ha! Czyli jednak rozważasz moje wcześniejsze odejście?

## Pożegnanie zasłużonej

Po siedmiu dniach choroby przyszło mi zakończyć dni bez firmy, ale o tym wiedział tylko Julian. W okresie zwolnienia lekarskiego codziennie grzecznie wychodziłam z domu około ósmej, a Julian u siebie czekał na mnie ze śniadaniem. Zaczęłam podejrzewać, że jeśli ktoś tak dba o drugą osobę, to musi to być jakiś kant. Lub... No właśnie, co? Oczekiwałam symptomów głębszego uczucia. Bo że u mnie takowe się buduje, to wiedziałam od pierwszego seksu. Jednak idąc z Julianem do łóżka, tworzyłam załazek gniazda, jak sroka na mojej sośnie, która wraz z samcem buduje ciepły schron na zimne dni. Przeczuwałam owo „coś więcej”, bo dbałość o mnie, dogadzanie, wreszcie – snucie wspólnych planów – dawało mi co do związku z Julianem nadzieję. Marzyłam, by Julian się do mnie choćby przywiązał, żeby zrozumiał, że nie potrafi beze mnie żyć.

W Mieteksie wdepnęłam od progu w tak zwaną gęstą atmosferkę. Odkąd poznałam Juliana, zaczęłam zauważać coraz więcej wad tego przybytku. Rozmawialiśmy na temat mojej firmy kilka razy. W końcu poznaliśmy się w dniu, w którym zawisła nade mną groźba wylania mnie stamtąd... Moja niechęć do firmy nie zmartwiła Juliana, wręcz przeciwnie, zaplanował, że od rana będę z nim czytać to, co on pisze, że będziemy fotografować, przetwarzać zdjęcia. Wspólnie? Ależ to jest budowanie gniazda! Gdy ktoś kocha, chce być zawsze blisko, dotykać, czuć zapach kochanej osoby, podpatrywać. Zastanawiałam się, co go we mnie pociąga? W takiej szarej myszy, do tego w parze?

– Coś dzisiaj jest na rzeczy z Czesią, ma porządnie węża wygolonego – doniosła mi Gośka. – Za to Bernardowi kłaki z uszu i nawet z nosa wystają.

No cóż, Gośka była jak zwykle na bieżąco.

– Czy to jest ważne?!

Zaprotekowałam zbyt głośno, ale szybko się opanowałam, bo przemknęło mi przez głowę, że za drzwiami być może stoi Rafał i nadstawia ucha. Wyjdzie mu, że jestem kłótniwa! Czyli nie nadaję się do pracy w zespole!

– Nie wiem, czy ważne, ale na pewno to jest śmieszne. – Gośka wzruszyła ramionami.

Nie byłam w stanie pojąć błahych problemów, zwłaszcza gdy moje mnie przerastały! Zgraja wypasionych kotów wisi mi na plecach, problem z sierściuchem też mam dotąd nierozwiązany, i na dobitkę trafił mi się romans!

Gośka najwyraźniej nie miała ochoty wyjść.

– Ładnie mamusia i mężuś wychowali pieska, co? – Wskazała na bandaż na mojej ręce. A to się nam znalazł mieteksowski Amundsen!

– No, jakby. Dam go do uśpienia, skoro głupi gryzie rękę karmiciela. Kupię sobie kota!

– Piesek jest winien?! Tymczasem mamusia i mężuś nadal będą hasać po świecie i ssać z pani krew za darmo?

– Oni się sami już dawno uśpili.

Po co to powiedziałam? Za późno, by się wycofać, za późno, by odkręcić... Tylko

chwilkę czułam się głupio. Bo czy to ja powinnam się wstydzić i tłumaczyć? Nie. Włączyłam komputer, nie dbając, że Gośkę, która szykowała się do wyjścia, zatrzymały moje słowa. Stop. Basta. Sorry – powiedziałam sobie w duchu.

Nie chciałam już rozmawiać, wolałam pobuszować w skrzynce e-mailowej, gdzie znalazłam jękliwą wiadomość od Jerzego:

„Elu. Zawiodłem się, gdy nie zastałem wiadomości, ale poczekam cierpliwie. Jutro będę do szesnastej pracował i wyglądał e-maila od Ciebie. Jurek”

Zrobiło mi się żal tego faceta, prawdopodobnie czyjś męża i być może ojca. Pomyślałam, że on jest bardziej samotny niż ja z czasów, kiedy jeszcze nie znałam Juliana. Poczulałam z nim wspólnotę. Napiszę, na pewno, może wieczorem... Napiszę. Altruizm był moją największą wadą.

Po południu Jęchorek zaprosił Rafała i mnie do swojego gabinetu. Rafał znów rozpoczął narzekania, że musimy obniżyć koszty wynagrodzeń. Ciekawe, po co przyjął niejakiego Krzysia, który drugiego dnia pracy się rozchorował i od tamtej pory na oczy go już nie widziałam.

Byłam pewna, czułam wręcz, że zbliża się dzień, kiedy kolegalnie mnie wywalą, po czym z radością zatrą swoje mdłe łapki. Nie chciało mi się już tropić, komu bardziej na tym zależy, Rafałowi czy Jęchorkowi. Obaj byli siebie warci. Jęchorek z uśmiechem na wyposzczonej twarzy znów sugerował, że jeśli chodzi o niego, to moja osoba jest firmie niezwykle potrzebna. A ja przyjmowałam tę wersję. Rafał zaś próbował mi wmówić, że to Jęchorkowi zależało na przekazaniu spraw na zewnątrz. I tę wersję także przetykałam.

Koszty wynagrodzeń, oszczędności, srata tata. Wałkowali to, aż w końcu mnie poniosło. Zwróciłam się do Rafała, który zielonym, plastikowym długopisem jeździł sobie po zębach i z języka robił rurkę. Żeby co? Wetknąć w nią obgryziony długopis? Ohyda!

– Ja nie muszę tu pracować – powiedziałam powoli.

– Żartuje pani? – Rafałowi wypadł z ręki długopis, ale podniósł i zaraz ponownie umieścił go w ustach.

– Nie muszę. Naprawdę nie muszę. Chcę, to jest właściwe słowo – powiedziałam dość głośno.

– Pani Beciu, proszę ciszej, młodzież słucha... – wyszeptał Jęchorek, z przestraczem spoglądając na drzwi.

– Niech słuchają, niech się uczą. Traktujecie ich jak głupków, bo doskonale zdajecie sobie sprawę, że drżą o etat. Dzisiaj bez doświadczenia o pracę trudno. Tylko że oni za chwilę będą je mieli, bo Mieteks im to właśnie daje! Wtedy powiedzą wam „bye”, a może nawet coś gorszego! – mówiłam coraz głośniej, Jęchorek siedział nieruchomo i uśmiechał się jak Gioconda albo jak moja siostra Aga. Identycznie. On krył się za poglądami innych, a moja siostra za plecami matki. Za kim Gioconda – nie wiem. Świat jest pełen ludzi zarządzających z drugiego szeregu, ja niestety zawsze sterczałam w pierwszym i dostawałam w łeb.

Rafał otworzył szerzej paszczę, wyjął z niej długopis i wstał. Zaczął łązić po pokoju, a ja zastanawiałam się, czemu portki od garnituru wiszą na nim jak na wieszaku.



Raczej nie schudł, pewnie za duże kupił. Czyli liczył, że się na prezesurze upasie!

– Proszę się uspokoić, pani Beciu. No już! Pani ma tylko swoje sprawy organizacyjne i finansowe, a ja, kurwa, całą firmę! Stu ludzi czeka na wypłaty! – Rafał argumentował takim tonem, jakby chciał się rozplakać.

– Tak, tak, wypłaty bolą pana najbardziej...

– Może napije się pani wody? Woda na nerwy najlepsza. – Jęchorek włożył do odtwarzacza CD z mazurkami Chopina.

Bolała mnie ręka, ale ja dalej... swoje... W oczach Jęchorka starałam się odnaleźć iskry dawnej więzi. Daremnie. Nie było już między nami tej relacji, która kazała mi trwać w firmie całe dwanaście lat. Jeśli oczy nie kłamią, to moje na pewno wyrażały to samo, co jego.

– Nie chcę ani wody, ani herbaty! Chcę powiedzieć to, co pan już dawno ode mnie powinien usłyszeć – oświadczyłam, patrząc Jęchorkowi prosto w twarz. – W firmie nic nie działa. Oszczędności? Ktoś tutaj robi oszczędności? Ach, cofam to, zapomniałabym, pan razem z Rafałem oszczędzacie, zwalnając ludzi.

– Pani Beciu, proszę się napić wody... Lepiej się pani poczuje... – Jęchorek wciskał mi w rękę szklankę.

– Nie, dziękuję. – Formułowałam akt oskarżenia! Najpierw dla Jęchorka: – Oszczędzacie! Tak! Po czym, gdy zgłosi się do pana jakiś były pracownik i trochę lepiej się do pana uśmiechnie, a następnie powie, że ma trudną sytuację, to pan, oczywiście, nie dbając o kondycję firmy, śpieszy mu z pomocą. Tylko że jednemu, co żebrze, pan pomoże, a w to miejsce dwóch innych zwolni! Nie zastanowi się pan, że może ci, których pan zwalnia, mają jeszcze trudniejszą sytuację?! A są na przykład zbyt dumni, żeby się zalić.

– Pani Beciu, proszę się uspokoić. Pan Krzyś przejmie wprowadzić część obowiązków, ale dla pani zawsze jest w naszej firmie miejsce.

Jęchorek nastawiał głośniejsze Chopina. Fortepianowe akordy wbijały się w mój mózg jak gwoździe w gips, Chopin niewątpliwie zmierzał do finału. Rafał siedział jak mumia i poobgryzany długopis tym razem trzymał naprawdę głęboko w ustach, wystawała tylko niewielka jego część. Gryzł go zawzięcie czy ssał? A jaka to właściwie różnica? W ogóle na mnie nie patrzył, ani na długopis. Zresztą, gdyby w tym momencie patrzył na długopis, dostałby zęza. Zaczęłam się martwić, czy nie porysuje sobie migdałków, był czerwony na twarzy, więc może...

– Ty też się, Rafał, wody napij – poradził mu Jęchorek. – Nie jesteśmy tacy okrutni, pani Beciu, chcemy, żeby niektórzy nasi pracownicy przeszli na samozatrudnienie. Panią też braliśmy pod uwagę. Co pani o tym myśli?

– Świetny pomysł. Gratuluję. – Siedziałam wyprostowana jak nigdy, pewna siebie, wyluzowana. Górowałam nad nimi, choćby opalenizną. To ja rozdawałam karty, to ja mogłam wreszcie decydować o samej sobie. Przecież świat nie składa się wyłącznie z biurw! Nie ma też takiego pojęcia jak „międzynarodówka księgowych”!

– No, widzi pani! Po co się od razu denerwować? – Na bladej twarzy Jęchorka pojawiło się ożywienie.

– Właśnie z uwagi na to, żeby się już nie denerwować i nie słuchać o kosztach

mojego wynagrodzenia, sama się zatrudnię. Ale już nie w Mieteksie! – Wstałam, wyszłam i rąbnęłam drzwiami.

Coś głucho klapnęło, Czesia oberwała drzwiami w brzuch. Jak zawsze nadstawiała ucho, Mieteks to kraina podsłuchu. Tym razem nie było to ważne, bo zaintrygował mnie pakunek w jej ręce. Za drzwiami na parking, dokąd mnie pociągnęła, podała mi zawiniątko. Rozerwałam papier, moim oczom ukazała się Baba Jaga, duża, z równie dużą miotłą. Skwaszona gęba baby podobna była do mojej, blond kłaki, wystające spod jej chusty, też coś mi przypominały.

– To order, za wolę walki – wyszeptała Czesia. – Powiem w zaufaniu, że oni już dawno zamierzali panią zwolnić. Słyszałam, jak Jęchorek opieprzał Rafała, że tego jeszcze nie zrobił. Że dupa jest, a nie prezes. Trzydziestego pierwszego sierpnia dadzą pani papier, już dzisiaj go pisałam. Niech pani się nie martwi, to są hipokryci i krętacze, mnie też pewnie niebawem wypieprzą na pysk, a tyle im służyłam.

Był dwudziesty dziewiąty sierpnia dwa tysiące dziewiątego roku.

Trzydziestego pierwszego sierpnia wstałam wczesnie. Noc w zespole nor przeleciała mi szybko, nawet nie wiem kiedy. Przed snem połknęłam dwie tabletki uspokajające, oprócz tego wypiłam melisę i głóg, na wszelki wypadek dołożyłam sobie jeszcze cztery wielkie tablety magnezu.

Za oknem świeciło słońce. Przeciągnęłam się, nic mnie nie bolało. Nie czułam się zdenerwowana ani też nie drażnił mnie podmuch zbliżającej się jesieni. Czułam dziwny luz. Jedno się kończyło, a drugie zaczynało. Poddałam się biegowi wydarzeń. A może to była rezygnacja, wżarta w mój charakter jak brud w terakotę w mojej kuchni? Pasywność? Pewnie tak, bo to było zawsze jedno z bliższych mi uczuć, szczególnie jeśli szło o rodzinne powiązania, a raczej zobowiązania.

Na krześle obok łóżka wisiała grafitowa garsonka i wrzosowa koszulowa bluzka. Na siedzeniu krzesła leżały cieniutkie grafitowe rajstopy i liliowa, koronkowa bielizna. Na podłodze postawiłam jasnopopielate sandały na niewielkim obcasie. Niech widzą, że zwalniam kobietę z klasą – pomstowałam w myślach. Przesilenie niewątpliwie minęło. Zresztą, życie podsuwało mi tę sytuację po to, żebym, kurde, wreszcie o sobie pomyślała!

Matka przyglądała mi się z arogancją.

– Wszystkie twoje garsonki są jak dla chłopca szyte – fuknęła. – Jedna sąsiadka mi ostatnio powiedziała, że ty nawet chodzisz jak żandarm. Zresztą, ja stara, a twoich butów bym nigdy nie włożyła. Strach się do ciebie zbliżyć. – Temat ślicznej liliowej bluzki oczywiście pominęła.

– Boisz się mnie?! A to dobre! Chyba jednak jest odwrotnie. Pies dostał? – zadałam to pytanie z przyzwyczajenia, bo rudzielec już mnie absolutnie nie interesował.

Wyszłam, nie czekając na kolejny paszkwil ze strony matki. Zamówiłam taksówkę, choć ostatnio zbyt często korzystam z tego rodzaju luksusu. Ale co tam! Nie codziennie mnie zwalniam, więc podjadę jak ludź, a nie przyczłapię w błocku, jak nizina!

Przed biurowiec przybyłam spóźniona, w końcu jakie to miało teraz znaczenie? Wysiadłam z taksówki prosto na Jęchorka i Rafała. Stali przed biurowcem jak portierzy w Cegielskim, a ze trzy metry dalej, przed jedyką na terenie popielnicą, tłoczyli się

wszyscy palacze firmy, nic sobie z Jęchorka i Rafała nie robiąc. Ha!

– No, nareszcie pani jest! Martwiliśmy się. Prosiłem Rafała, żeby do pani zadzwonił.

Hipokryta! A ja mu tak wierzyłam!

– Widać, że wszystko jest dobrze, szefie. W końcu, kurwa, tak eleganckiej Beci to ja jeszcze nie widziałem. – Rafał gwizdnął.

– Czasem trzeba – bąknęłam.

Weszłam do budynku, zostawiając ich osłupiałych. Cwaniaczki! Rysie zarządzania! Nie dam im satysfakcji, odejdę z fasonem. Nie jak jedyna żywicielka rodziny, a jak gazela! I na pewno nie będę błagać, żeby mnie przywrócili do pracy!

Usiadłam przy biurku, włączyłam komputer. Powinnam wykasować rzeczy zbędne, przegrać prywatne zdjęcia i pliki. Nie będą się gapić na moich udanych syneczków i śliczną synową! Na płytkę wrzucę też wszystkie Power Pointy, a później polatam po Internecie. Dotrwam do końca dnia i na pewno nie ruszę już niczego, co jest związane z Mieteksem! Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, w zasadzie skrobanie. To Jęchorek wsunął się do pokoju.

– Pani Beciu, czy coś się stało? Rozmawialiśmy z Rafałem, że musieliśmy zapomnieć o pani imieninach, a może urodzinach? Tacy zabiegani jesteśmy. Fredrek przypomniał nam, że już obchodziliśmy te uroczystości... – Jęchorek usiadł na brzeжку krzesła i omijał mnie wzrokiem.

– Nie, nic się nie stało. Wszystko jest w porządku.

– To dobrze! Bo chcieliśmy pani pomóc. Firmę trzeba przeorganizować, a sama pani mówiła, że nie wiąże swej przyszłości z Mieteksem. Ale mamy nagrodę. Pani Beciu, to jest wielkie wyróżnienie! Otrzyma pani rekompensatę od firmy w postaci sześciomiesięcznego wynagrodzenia i ekwiwalent za niewykorzystane urlopy. Trochę się tego uzbierało. Będzie pani mogła sobie odpocząć, po świecie pojeździć. To jest dla pani szansa, a z naszej strony pomoc!

Jak ja uwielbiam te nowoczesne, obłudne gadki! To się dopiero okaże, czy mi pomogli. Ode mnie to będzie zależało, tylko ode mnie! Gdy znajdę dla siebie lepsze miejsce w życiu, wtedy dopiero powiem, że mi pomogli. Dwanaście lat to szmat czasu, za długi, by poświęcić się dla jednego tylko środowiska. A jednak trochę było mi żal...

Spakowałam swoje kubki, resztkę cukru, słoik z kawą, solniczkę w kształcie cebuli, pożegnałam się z mieteksiakami, odebrałam świadectwo pracy, a na końcu zamówiłam taksówkę. I pojechałam na Sołacz. Julian stał w drzwiach z kieliszkami szampana w ręce.

– Jesteśmy wolnymi strzelcami! Pasuje mi taka sytuacja, będziesz miała więcej czasu dla mnie! – tymi słowami przywitał mnie mój Redford i nadał w jakimś stopniu Jurand, kiedy przekroczyłam próg jego domu. Miałam mocne postanowienie. Wreszcie odmienić swoje życie.

– Szefowie zapomnieli się ze mną pożegnać. Mieli wrócić do firmy po piętnastu minutach, ale nie wrócili. Zresztą wiedziałam, że tak właśnie będzie... Niedawno Jęchorek z pompą żegnał sprzątaczkę, woźnego, dozorczynię, a na pogrzeb największego firmowego pijaka po podstawówce pojechał z kwiatami. Swój wieniec w pierwszym szeregu niósł. Przemawiał. A Rafał? Nie lepszy! Firmowego złodzieja z powrotem

przyjął, bo bardzo mu współczuł. Natomiast ze mną zapomnieli się pożegnać... Dwanaście lat dla nich pracowałam i zapomnieli!

– No masz! Widzę, że muszę cię wyciągnąć z pesymizmu! Marsz do sypialni!

Rozśmieszył mnie i skierował moje myśli do innego korytarza. Jakby szerszego. W zasadzie nie miałam cwaniaczkom z Mieteksu wiele za złe, jedynie to, że byli szefami, a ja szarą, najemną siłą. Przecież... nie mogłam już dłużej patrzeć na anemiczną twarz Jęchorka ani czerwoną facjatę Rafała, który ostatnio wyglądał, jakby przeżył samozapłon paliwa w maluchu. Teraz mogłam już i tak myśleć!

Wieczorem w patologicznym domu obwieściłam nowinę o zwolnieniu z firmy i pracy na własny rachunek. Boguś spojrział na mnie przerażonym wzrokiem, a matka skwitowała to w sposób, jak zwykle:

– Ty? Szybko przesrasz ten biznes!

Jak porządki, to porządki! Jak przesrać, to przesrać! Postanowiłam także zrobić czystkę na polu zleceń. Kinga. Możemy zostać przyjaciółkami, ale wyciąganie od niej pieniędzy i zmuszanie mnie do wysłuchiwania nudnych opowieści już mi nie pasowało.

– Kingo, mogłybyśmy się rozliczyć? Musimy się zawodowo rozstać, nie będę miała już dla ciebie czasu. Sytuacja mi się zagmatwała – palnęłam przez telefon.

– Jak ci się sytuacja zagmatwała?! – pisnęła Kinga, wyraźnie niezadowolona.

– Z pracy mnie wywalili i muszę znaleźć coś nowego.

– Wywalili cię z pracy, a ty rezygnujesz z dodatkowej kasy? Porąbało cię? Jakich to grzybów trzeba się najeść, żeby tak odbiło?! Nie myśl, że jesteś jedyna! Jutro będę u ciebie, więc przekażesz mi wszystkie dokumenty. – Ton Kingi był mało przyjacielski. W zasadzie był to modelowy sposób na obwieszczanie takiemu gównu jak ja, która z nas dwóch moderuje listę płac.

Następnego dnia przyjechała z samego rana.

– Ty mnie jednak zadziwiasz, ale w okresie klimakterium niejedna już sfiksowała. Tylko żebyś mnie potem nie prosiła o powrót do współpracy, bo jeśli teraz przekażę swoje sprawy do biura podatkowego, to później już żadnej rozmowy nie będzie.

– Zostało do zapłaty tysiąc dwieście złotych. Najlepiej, gdybyś przelała mi je na konto. Przelejesz?

– Oczywiście, jutro rano – rzuciła mi Kinga już zza drzwi.

Wyrzałam oknem. W ogrodzie kwitły astry i przeszło dziesięcioletnia trzmielina. Różowe, bordowe i pąsowo czerwone kwiaty. Choinki też podrosły w czasie wilgotnego lata, jeszcze rok i zasłonią mi widok na tańczących sąsiadów, a za dwa lata będą dotykać elektrycznej linii napowietrznej. Westchnęłam i zamknęłam okno, gdy usłyszałam jazgot odlatujących gęsi. Schroniłam się przed światem, przed jesienią i przed odgłosami ptactwa jak zawsze w stróżówce po Marcinie.

Tam, a także u Juliana, upłynął kolejny miesiąc.

## *Świat jest taki piękny*

Julian i ja siedzieliśmy przy stoliku w kameralnej tawernie w starej części Lizbony. Był wieczór, ale tutaj dopiero zaczynało się życie, tym bardziej że rozpoczynał się weekend. Było ciepło, bardzo przyjemnie ciepło jak na początek października. Ciemnowłosa kelner podał nam kartę. Zapalił małą lampkę na stoliku. Dobrze się czułam. Patrzyłam miłośnie w ciemne oczy Juliana.

– Odwlekasz decyzję zarówno co do psa, jak i co do męża. Psem mogę się zająć – zaoferował. – Schronisko albo fiolka, ostatecznie weterynarz, ale to droższa impreza. Nie mogę cię zrozumieć, jak można zajmować się zwierzęciem, które ma mordercze instynkty. Myślisz, że to jest postępowanie humanitarne? A jak nie dopilnujesz i zagryzie jakieś dziecko?

– To nie jego wina. Krysta go psuje.

– Krysta, Krysta. Pozwoliłaś się prowadzić na pasku. Stałaś się ofiarą frustratów. Jak mogłaś?! – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Dobrze, przepraszam. Pozwól, że zaproponuję ci specjał tutejszej kuchni. Myślę o *bacalhau á gomes de sá*. Do tego jasne *porto envelhecido*. Może też *café com leite*?

– Oj, przetłumacz mi to, proszę.

Wiedziałam, że Julianowi podoba się bardzo, gdy go doceniam, był łasy na komplementy. A ja też lubiłam podkreślać, że szanuję jego sugestie i porady.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnął się przekornie. – Chodzi mi o to, że przydupasowi nie tupnęłaś nogą, a z matką nigdy nie ustaliłaś reguł. Że oto jesteś, chcesz zabić jej samotność, ale to nie znaczy, że będziesz ją utrzymywać. I potem tylko to egzekwować.

– Julianie, mnie nie o to chodziło. Przetłumacz, co będziemy jedli.

– A więc chodzi o dorsza pieczonego w szklanym naczyniu z cienko pokrojonymi ziemniakami i cebulą. Do tego dodaje się jajka na twardo i czarne oliwki. Zamówiłem też porto, jedno ze słabszych, jasne, i kawę z mlekiem. Z zup zrezygnowałem, bo są za ciężkie jak na mój gust.

Minął kolejny miesiąc naszej znajomości, a ja wiedziałam z całą pewnością, że bardzo lubię towarzystwo Juliana. Gdyby nie on, nigdy nie wiedziałabym, że na świecie szyją piękne kiecki, że bielizna ma różne kolory i rozmiary, że małe koronkowe gateczki są prześwietne i nie jest w nich zimno.

Znakomicie czułam się w seledynowej sukni w drobny kwiatowy wzór. To jedwabne portugalskie cudo było skromne w swojej konstrukcji. Delikatna tkanina pozwalała, żeby dół falował przy najdrobniejszym nawet ruchu. Do kompletu włożyłam sandały z materiału imitującego jedwab w identycznym jak suknia kolorze. Podobna w tonacji była też torebka, którą sprezentował mi Julian. A szal! Delikatny, kremowy szal otulał moje ramiona, jak za dnia ciepłe portugalskie powietrze.

Wiedziałam, że wyglądam rewelacyjnie. Tym razem nie spięłam swoich marchewkowych włosów, pozwoliłam im swobodnie opadać i kusić towarzysza. Tak, zdecydowałam się na ten półśrodek i, co ważne, polubiłam kolor, który w zasadzie

krzyczał! Czulałam się o co najmniej dziesięć lat młodziej. Kto by zresztą w takiej chwili myślał o wieku? Porto, kochanek i jednocześnie intelektualista u boku plus gwiazdzista noc zaczęły robić swoje. Fado, jako zapowiedź czegoś wzruszającego, śpiewali wszyscy w tawernie. Z zaplecza wyszła kucharka i usiadła przy gitarzyście. Podobnie jak grupka portugalskich gości. Wszyscy śpiewali tęskne i smutne pieśni. Julian też dał się porwać. Nucił. Nie spuszczałam z niego oczu, był ze mną, piękny, cieszył się. Śpiewał. Też zaczęłam nucić i wystukiwać obcasem rytm.

Przy stoliku na środku sali siedziały dwie samotne kobiety. Zerkały na Juliana kokieteryjnie spod przymrużonych powiek. Bezpruderyjne Niemki, a może Holenderki? A ja nie byłam sama ani samotna! Niewątpliwie zaczynałam poznawać smak poczucia wyższości. Że jestem lepsza, ładniejsza, lepiej ubrana. I wreszcie mam Jego.

– Zatańczymy?

Lubiłam taniec. Zapomnieć się w nim, zlepić z muzyką, przycisnąć do partnera, a w wolniejszym zarzucić mu ręce na ramiona, by stanowić jedność. Jestem piękną kobietą, jestem zmysłowa, nie boję się niczego. Odejdźcie, zmory przeszłości! – wystukiwały obcasy moich sandałów. Podobne zaklęcia czyniło moje podbrzusze. A kysz, a kysz! Idźcie stąd! Już was nie potrzebuję! Julian potrafił tańczyć, jego ruchy były śmiałe, a ciało gibkie, ładnie się układało; nogi stawiały kroki jakby nonszalancko, bez wysiłku. Nie musiałam się domyślać, w którą stronę dać następny krok. Umiejętność prowadzenia partnerki w tańcu wiele ułatwia. Fruwałam po parkiecie, a wokół mnie dół kiecki i jedwabny szal.

– Wiesz... gdybyś teraz siebie widziała... Chcę z tobą tańczyć, a jednocześnie mam potrzebę usiąść w pobliżu i przyglądać się tobie, kochana – szepnął mi Julian do ucha.

– Onieśmielasz mnie! – droczyłam się, zarumieniona.

– Wyglądasz, jakbyś pozowała Tamarze Łempickiej do *Młodej dziewczyny w zielonej sukience*.

Siedliśmy przy stoliku i jednocześnie chwyciliśmy za kieliszek porto. Każdy za swój, oczywiście.

– Julian, czy mógłbyś odpowiedzieć mi na jedno pytanie? Z kim byłeś poprzednio w Portugalii? – Nie mogłam się powstrzymać.

– Wiesz co? To był niewypał. Poznałem ją w necie, niby popełniła parę wierszy, ogólnie niezborna życiowo, ale miała dużo wolnego czasu, bo jej mąż sporo zarabiał i praktycznie nie było go w domu. Ten wyjazd to była dla nas typowa randka w ciemno. Zażartowałem, czy odważyłaby się pojechać ze mną do Lizbony, a ona przystała. Mnie się zawsze podobały odważne i nieco bezczelne kobiety i to mnie zwiódło. W Lizbonie dowiedziałem się, dlaczego ten mąż omijał ją wielkim łukiem.

– Dlaczego?

– Bo nie miała nic do zaoferowania! Zupełnie nic.

– O mnie też kiedyś być może będziesz mógł tak powiedzieć jakiejś następczyni...

– Nie, bo żadnej następczyni już nie będzie. – Julian uśmiechnął się i spojrzał mi głęboko w oczy.

Takie kobiety jak ja na takie słowa mogą czekać nawet długie lata, by w końcu je

kiedyś usłyszeć. Czułam, jak mi przez serce przepływa rzeka dużo cieplejszej krwi. Byłam szczęśliwa. Czułam się jak na wakacjach i w najlepszym towarzystwie.

Mimo „tych kobiet” i mimo że pracowicie spędzał kilka godzin dziennie, nie czułam się zaniedbywana. Lubiłam patrzeć, jak pracuje. Zaglądałam mu przez ramię. Robiłam notatki. Przewodnik po Lizbonie był po części moim dzieckiem. Razem wyszukiwaliśmy sceny do sfotografowania, na targu wyszukiwałam ciekawe obrazy, nadziewane bakłażany czy grillowane sardynki. Co mi się tam interesującego rzuciło w oczy.

Podczas weekendu zwiedzaliśmy Lizbonę, spacerowaliśmy po jej krętych, jasnopopielatych uliczkach. Niezwykle malowniczo prezentowały się pomarańczowe dachy domów i budowli, jako ciepłe przestrzenie na tle błękitnego nieba. Przemierzaliśmy chyba wszystkie siedem wzgórz, na których jest zbudowana Lizbona. Byliśmy na Miradouros, schowanych wśród platanów tarasach widokowych. To stamtąd jest najlepszy widok na Tag. Rzekę widzieliśmy zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Miasto przemierzaliśmy zarówno pieszo, jak i sławnym na cały świat tramwajem nr 28, a potem mniej znaną windą z Elevador da Bica wąską i bardzo stromą uliczką w górę, do Calçada do Combro. Zmierzchało, lizbończycy gromadzili się przy stołach, inni – w tawernach. Zewsząd dochodziły dźwięki życia: stukanie sztućców o talerze, muzyka fado i rozmowy. Staralam się zapamiętać Lizbonę poprzez dźwięk, kolor i przez zapach.

Późnym wieczorem, wracając pieszo do hotelu, wdychaliśmy powietrze tętniącego witalnością miasta nad Tagiem. Było już po północy, kiedy doń dotarliśmy, mocno zmęczeni.

- Zostańmy jeszcze kilka dni – zaproponował Julian.
- Kilka dni? Wydawało mi się, że lot mamy pojutrze. Nie mogę chyba...
- Właściwie dlaczego?
- Nie powiedziałam w domu.
- Musisz być tak odpowiedzialna w stosunku do tych ludzi?

Powiedział: „tych ludzi”. Nie „Bogdana i Krysty”, użył formy bezosobowej. Odebrałam to jako zazdrość. Ale ponad wszystko czułam, że żal mi będzie wyjeżdżać. W jakimś stopniu Boguś, Krysta, Szaki i zespół nor rozplynęli się we mgle. Rano dostałam od Bogdana SMS-a: „Co u Ciebie? Kiedy wracasz? U nas wszystko dobrze. To znaczy, Krysta fiksuje, jak zawsze”.

Oni byli daleko. To wszystko, co z nimi związane, też było daleko. Jeszcze nie odpisałam. To dobrze, bo przedtem napisałabym, że wracam w środę i byłby problem. A tak dowie się, że zostanę do końca tygodnia. Musimy zostać obydwój. Julian i ja.

Byłam przepełniona radościami.

## *Powrót znad Tagu*

Wróciliśmy w sobotę późnym wieczorem. W kraju wiało i zacinało, środek października w naszym klimacie często bywał dżdżysty. W domu Boguś podgrzewał kalesony na kaloryferze, a Krysta na drugim suszyła swoje gacie.

Bogdan przyglądał mi się podejrzliwie. Czyżby docierało do niego, że jego czterdziestoparoletnia własność, która nigdy przedtem nie wyjeżdżała, z jakichś powodów stała się nagle odważną globtroterką? Krysta wyczekiwała na prezent. Nie miałam nic dla nikogo. Obawiając się zarzucenia mnie niewygodnymi pytaniami na temat Portugalii, po kilku monosylabach czmychnęłam do stróżówki i pod pretekstem udzielenia odpowiedzi na moją ofertę zatrudnienia zalogowałam się w poczcie.

„Elżbieto. Teraz ja nie pisałem. Dopadły mnie terminy, a wczoraj kilka godzin grabiłem trawę w ogrodzie. Czyli rozumiem z Twego listu, że nie będziesz niechętna mojej pisaninie. Napisałaś ostatnio na blogu o bankructwie. Mam nadzieję, że nie jesteś w finansowych tarapatach, ale gdybyś była, pytaj, bankructwami zajmuję się zawodowo. Wiesz, Elu, czekam na Twe listy i blogowe notatki, bo mimo że jesień i już nic nie powinno kwitnąć, nasz kontakt na przekór naturze ma szansę się rozwinąć, jak w maju. Jurek

PS. Jeśli nie znajdziesz w sobie dość chęci, żeby mi odpowiedzieć, daj znak, że przeczytałaś mojego e-maila, napisz coś choćby na blogu”.

Tak, znalazłam dość chęci. Na razie nie na blogu, bo co pisać, gdy jest się szczęśliwym... W zasadzie nie miałam powodu do zaniepokojenia, że nawiązuję znajomość z normalnym, być może zagubionym życiowo człowiekiem. Małym, biednym chłopczykiem, który pięknie pisze i pięknie czeka. I jest w nim coś podobnego do mnie. W końcu Juliana i Jurka poznałam mniej więcej w tym samym czasie. Jeśli w domu nie ma z kim rozmawiać, to ucieka się w wirtualność.

Za to u Juliana w ogóle nie zaglądałam do komputera.

„Witaj, Jerzy. Byłam kilka dni w Portugalii. Pisziesz, że dość długo grabiłeś trawnik. Czy ty mieszkasz w parku? Ja też mam ten problem z ogrodem, ale widocznie nie dbam o niego tak jak Ty, bo nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek był tak długo grabiony. W moim ogrodzie jest zaułek wśród świerków i brzoź, gdzie zaszywam się, gdy mam wolną chwilę. Tam powstaje większość moich pomysłów i planów. Tam płacę. Ale, co tam ja... Ty jesteś na pewno dużo bardziej ciekawą osobowością, już zaczynam budować w myślach Twój wizerunek, to ciepły obraz. Pozdrawiam, Elżbieta”

Skoro nawiązaliśmy znajomość, a pisząc blog, jest się przecież na to narażonym, i ten ktoś sprawia wrażenie otwartego, to co mi może przeszkadzać w przyjacielskim zbliżeniu? Lubię ludzi, lubię też wiedzieć, kim jest adresat moich myśli, ktoś, z kim rozmawiam.

Dotąd byłam odbiorcą czyichś przekazów. Kingi, Zośki, a nawet Juliana. Dlaczego tak się przed Jurkiem otwieram? Czy dlatego, że nie mam odwagi powiedzieć mu, żeby nie pisał, bo ja jestem w układzie z Julianem? Jakby to zabrzmiało... Czy zrozumiałby, że jednocześnie jestem w związku z Bogdanem? Czy z Bogdanem w ogóle tworzymy



związek?! Na nieszczęście tak. Między kobietą i mężczyzną zawsze występuje jakaś oferta, jakiś pakiet usług, czasem nadpłaconych, często niezapłaconych... Ech.

To co z tym Jerzym?

## *Inne światła*

Było ze dwa tygodnie po portugalskiej eskapadzie. Zbliżało się Święto Zmarłych. Do domu wróciłam pod wieczór, jak zawsze. Spać, spać – myślałam. Bogdan nie wytrzymał. Zadał mi TO pytanie. TO, którego od dawna się obawiałam.

– Gdzie byłaś tak długo? Bo chyba nie powiesz mi, że w pracy!

Rzeczywiście nie byłam tak długo w pracy. Byłam tam. Ot co!

W zdychającym domu było ciemno i ponuro. Energooszczędne żarówki dawały mdłe światło, a stare brązy i beże ścian nie zyskiwały przy tym świetle nic. Jeszcze bardziej ponuro wyglądał pokój matki utrzymany w obrzydliwym bordo, jak trumna.

Do tej pory udawało mi się wychodzić z domu bez pytań. Wracać i również ich nie usłyszeć. Czy mnie to dziwiło? Tak. Ale i ułatwiało byt. W razie czego miałam przygotowaną wymówkę, że wynajęłam na mieście biuro, gdzie prowadzę działalność. Tymczasem pod wpływem impulsu, przekory, czy Bóg wie czego, na pytanie Bogdana odpowiedziałam w sposób absolutnie niezamierzony.

– U kochanka byłam. Ładny dom ma, jasne światła. Pracuje, zarabia...

Obudziła się we mnie ta sama chęć sprzeciwu i prowokacji, jak przed nocą spędzoną w malinach.

– Tak, ciekawostka przyrodnicza! I co takiego robiliście z tym kochankiem? – parsknął Boguś, pomijając moją uwagę o zarobkach. – Spróbuj tylko...

W takich chwilach on zawsze ujawniał, jak prosty jest jego przewód myślowy. Mniej więcej taki jak kabel elektryczny idący od słupa w naszym ogrodzie do słupa u Kędziorów, pod warunkiem, że nie siedziało na nim plectwo.

– Opowiadał mi ciekawostki, ale z termodynamiki, a potem o kurczliwości stali rozmawialiśmy. I takie inne temaciki bzdecikowate też były poruszane... – mówiłam niemalże prawdę.

– Wiesz co? Możesz mieć nawet i tuzin kochanków, bylebyś...

– Bylebym co? – brutalnie weszłam mu w słowo.

– Bylebyś i ze mną sypiała.

Oślupiałam! Jak on mnie potraktował! Kto w naszym związku był dziwką? Mógłby być trzynasty, bylebym z nim sypiała! Najpierw uśpił mi seksualność, przedłużył przerwy między orgazmami. Następnie wyziębził całkowicie i zabił miłość. Na końcu przyssał się do mojego portfela i ssie nadal... Teraz mu się nagle przypomniało!

Tymczasem Julian był w siódmym niebie, po powrocie z Portugalii zakazał mi myślenia o zarobkowej pracy. Wciąż mnie namawiał, żebym się do niego przeprowadziła. To drugie pomijałam milczeniem, bo skąd wezmę pieniądze, żeby opłacić byt Bogusia i rachunki za dom? Na razie miałam jeszcze sporą kwotę z mieteksowskiej odprawy. Nie mogłam przecież wydawać na Bogdana pieniędzy Juliana. Nie jestem nieuczciwa. Przed nazwiskiem mam „von”, a nie jakiś złodziej.

Prawie całe dni bywałam u Juliana i spędzałam czas wyłącznie z nim. Przeżywaliśmy chwile normalności, jak modelowe małżeństwo, czasem maćcone rozmowami o przyszłości, czego nie znosiłam i co zaburzało harmonię naszych

stosunków. Wolałam tak, jak jest teraz, bez presji i przyspieszenia. Natomiast że mnie kocha, bardzo chciałabym usłyszeć!

Więc było tak. Dzień u Juliana, noc w norach. Śniadanie w salonie, kolacja w stróżówce. Często jedzona razem z Kędziorami. Po kolacji otwierałam laptop, gapiłam się ślepo w informacje z kraju. Czasem z zagranicy. Przeglądałam wpisy na blogu. Pisałam.

Malinowa Trufla pisze:

*Nie znoszę aranżowania wydarzeń. Nie akceptuję reżyserowania życia. To okropne... Nie można fałszować rzeczywistości. Kocham prawdę i chcę tylko prawdy, ale tkwię w kłamstwie, bo ono tym razem jest mniej okrutne. Gdyby było to możliwe, a raczej społecznie akceptowalne, rozebrałabym się do naga, by odrzucić nie tylko odzież, ale też absolutnie wszystkie woale.*

I popychałam do przodu dialog z Jerzym, który stał się dla mnie takim „lepszym Bogusiem”, bez żadnych podtekstów. Zaczął pokazywać nieco inne niż dotychczas wirtualne oblicze.

„Witaj, Elżbieto. Dziękuję za list. I za pozytywną aurę. Wiesz, z różnych elementów można wyciągnąć jakieś wnioski. Jak na przykład w przypadku mojego e-maila, w którym pisałem o pracy i grabieniu ogrodu, po to, byś na tej podstawie Ty – jako czytelnik – mogła zbudować coś, co mnie dotyczy także *poza grabieniem*. Jednakże wolałbym, żeby nie było to pretekstem do przeszukiwania zakamarków mojej duszy. Choć czuję, że nie wypadłem źle. Też się lubię w ogródku czasem zaszyć, niestety jest on bardzo mały. Mam za to działkę w Konstancinie z prawdziwym lasem, z dużym domem całorocznym i pięknymi, leśnymi widokami. W Warszawie pędzę, a tam uciszam duszę. Przesyłam więc pozdrowienia piękniejsze niż konstancińskie widoczki. Jurek”

Zrobiło się emocjonalnie. Wyszło, że jestem wścibska. Malutka Becia, która wypełzła ze swojej nory do wielkiego świata, podstarzała, głupiutka, ciekawska, zainteresowana szmalcowymi kolesiami! Ależ mi dopiekł! Powinnam skasować całą tę jego wymuszającą moje odpowiedzi pocztę i zapomnieć. Nic nie było! Koniec z pokręconymi życiowo osobnikami! Ale jednak nie bez wytłumaczenia! Usiadłam przed komputerem i napisałam:

„Witaj, Jurku! Chyba mnie źle zrozumiałeś. Choć na pewno jesteś intrygującym mężczyzną, to jednak nie mam zamiaru wbrew Twojej woli przeszukiwać zakamarków Twej (ani czyjejkolwiek) duszy. Duchowość to temat dla psychologów, a mnie psychologia kręci w sytuacjach, które wymagają radzenia sobie z samą sobą. Dobrej nocy, Elżbieta”

*„Staliśmy krok nad przepaścią”, czyli krótka definicja rodzinnego postępu*

Było po Świącie Zmarłych. Wracalam do domu, był wieczór, padał mroźny deszcz, a o moją głowę ocierały się chmury niskie jak brezentowy dach w namiocie. Wiatr rozwiewał opadłe liście, które wzbijały się w powietrze, by z szelestem opaść na ziemię. Miałam na sobie nowy szary płaszcz z kołnierzem z czarnego lisa, a mimo to ziąb przeszywał mnie na wylot. Zazwyczaj nie nosiłam czapki, ale tego dnia naciągnęłam głęboko na czoło czarny wełniany beret, lisim futrem osłoniłam szyję, a i tak trzęsłam się z zimna. Ściskałam pod pachą torebkę, bo z banku podjęłam nieco gotówki. Krysta podczas rodzinnego spotkania przy grobie ojca awanturowała się, że nie opłaciłam rachunku za prąd. No nie opłaciłam. Krzyczała, nie zważając na rodziny innych zmarłych, jakby chciała wskrzesić ojca i wzorem dawnych lat włączyć go w sprawę. Żeby zrobił ze mną porządek. Relacja „sprawca bierny a sprawca czynny” nie mogła przecież tym razem dojść do skutku. Zaczerwieniła się na twarzy, a raczej zbrunatniała. Byłam zażenowana i oczywiście wystraszona. Zawsze miała wysokie ciśnienie.

– Uspokój się – szepnęłam do jej ucha.

Nie zareagowała, więc odeszłam w stronę kaplicy, nadal słysząc jej pohukiwania, teraz do Bogusia. Mianowicie że życzy sobie, żebym przedstawiała pokwitowania opłat dotyczących jej domu. Takie słowa sprawiały, że czułam się rozdarta na dwie niedopasowane do siebie części.

Byłam prawdomówna, tymczasem teraz... nie mogłam tego o sobie powiedzieć. Kobieta, żonę tkwiącą po uszy w romansie, szwendającą się diabli wiedzą gdzie, po czym wracającą wieczorem do domu, bez specjalnej dbałości o pozory, każdy facet wywaliliby na bruk. Wtedy nie miałabym tak potwornych wyrzutów sumienia. Jednak Bogdan nie mógł tego zrobić. To był mój dom.

Wlokłam się krok za krokiem, wdowie domy były ciemne, jakby wymarłe, i centrum handlowe, także jakby bez ruchu. U Znacwy Arcydziel było ciemno, ale u Malutkiego Sklepiarza świeciło nikłe światło. Ten sklep z zewnątrz zawsze wyglądał, jakby oświetlano go za pomocą gromnicy, ale to były tylko pozory, bo wewnątrz tętniło życie. To oklejone reklamami szyby dawały takie wrażenie. W sklepie na półkach, aż po sufit zalegały różnorakie towary, co potęgowało wrażenie ciemności. Już dawno nie widziałam Malutkiego Sklepiarza. Ucieszyłam się, że wreszcie znowu pogadamy, jak za dawnych czasów, i pomyślałam, że przy okazji rozmowy wypadałoby zakupić kilka rzeczy. Moja lodówka świeciła pustką jak nieużywane od lat szambo w naszym ogrodzie. Porównanie jej do szamba nie było przesadzone, urządzenie było stare i pełne resztek jedzenia. Boguś i Krysta strzegli ich jak sztab złota w mennicy. „To dla Szakiego! Dla Szakiego!”.

Za ladą nie było Malutkiego Sklepiarza. Przywitała mnie obca kobieta, szara mysz na pierwszy rzut oka. Miała pełne wargi i opuchnięte powieki, w ogóle wyglądała, jakby przed chwilą płakała albo tarła oczy. Alergiczka? Nie, to niemożliwe, była jesień, kiedy nic już nie pyli. Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– W szpitalu jest, nieprzytomny. Wczoraj miał rozległy zawał!

Kobieta chyba czytała w moich myślach. Wyrzuciła z siebie te słowa, jakby znalazła wreszcie kogoś, kto odbierze jej żal. Po czym zaszlochała. I mnie to ruszyło, czułam z tym facetem przyjacielską więź. Pomyślałam, czy to nie jest ta kobieta, o której opowiadał. Chociaż nie tak ją sobie wyobrażałam. Ta była niska i jasnowłosa, miała z pięćdziesiąt lat i zniszczone ręce. Ogólnie na pewno nie wyglądała na panią mecenasa, którą wyobrażałam sobie szczupłą, wysoką, ciemnowłosą.

– A pani... – chciałam dokończyć: „kim jest?”, ale ona mi gwałtownie przerwała. Znowu, jakby na moim czole był zainstalowany wyświetlacz myśli. W charakterystyczny sposób odpowiadała szorstko, niepełnymi zdaniem, jakby rwanymi.

– Siostrą. Bo któżby inny tak się martwił! Dają mu bardzo małe szanse. Lekarze. Przejął się... Niech pani zobaczy, jak to jest. Od kilku miesięcy dzień w dzień pocieszał tę swoją histeryczkę, o sobie wcale nie dbał. O niej tylko myślał! Że ma córki jeszcze niedorośle, mi mówił. Ale one przecież mają jakiegoś ojca! A jej co?! Tylko pięć dawek chemii wystarczyło, żeby guz zniknął. Piersi jej nawet nie odjęli. Przesadzała! Mówiłam mu! Nic o sobie nie dbał. Nic dla niej nie znaczył, o sobie tylko myślała. Jęczała mu codziennie, płakała, a on to wszystko znosił. Ale do czasu. Jak widać, do czasu. I jeszcze ten sklep, codziennie o czwartej rano na giełdę jeździł. Ja się pytam: po co? Po co mu to wszystko było? Miał za co żyć! I dla kogo też. Dzieci swoje ma i wnuki. A teraz...

– Bardzo się przyjaźniliśmy... to znaczy, przyjaźnimy...

W milczeniu patrzyłyśmy na siebie. Po czym przechyliłam się przez ladę i dotknęłam jej ręki. Spojrzała na mnie z przyjaźnią, a potem znowu zaczęła płakać. Pomyślałam: Czy gdyby moje życie było zagrożone, Aga czułaby smutek, choć w niewielkim stopniu, podobny? Bogdan? A matka? Czy możliwe, by moja matka płakała, gdybym była chora?

Pożegnałam się i wyszłam ze sklepu, zapominając, że wstąpiłam tam, by kupić kilka rzeczy. Zatrzymałam się i miałam się cofnąć, ale zrezygnowałam. Przecież nie wrócę i nie powiem: „Poproszę danio i paszтет”, a potem: „będzie dobrze”, jakbym chciała zamknąć temat czy, co gorsza, zaklepać sprawę.

Och, jak mi było smutno! Listopad jest miesiącem wrednym, budzą się kostuchy, demony i przychodzą nieszczęścia. Do domu człapałam przybita i rozedrgana. Od paru dni bałam się tam wracać. Miałam pewność, że kiedyś w końcu musi się coś wydarzyć. Coś, co mnie rzuci w świat, gdzieś. Stamtąd. W inne miejsce. Do Juliana. A może na kolana...?

– Cóż za kłaczaste bydlę zdechło ci na szyi? – zapytał od progu Bogdan. Oglądał mnie jak amebę pod mikroskopem, ale wzrok miał, jakby dostrzegł trującą najeżkę.

– Gdzie łazisz? Skąd masz na te wszystkie szmaty pieniądze?! Jesteś zwykła bładź!  
– zaświszczała Krysta, która jakby czekała, żeby zajrzeć w moją udręczoną twarz. Zajrzała, owszem. I naplula.

Czułam, jak Bogdan pompuje swoje ego, jak podnosi w górę swój całokształt, głównie w postaci łba. Stało się. Rozdrażnili mnie oboje, wzburzyli, doprowadzili do apogeum nerwowości, a sprowokowana zawsze mówię prawdę.

– Wyjście na zawsze z tego obleśnego domu będzie dla mnie największym postępem. Zachowujesz się obrzydliwie, nie jak matka. Nie wiem, co takiego musiałby

zrobić Krzysiek czy Marcin, żebym ja chciała postąpić względem nich aż tak ordynarnie! – mówiłam pozornie spokojnie, bardzo powoli, mocno akcentując słowa. Z naciskiem na: „obleśny”, „obrzydliwie” i „ordynarnie”.

– Twoje bachory mnie w ogóle nie interesują!

– Spokój już! – huknął Bogdan. – W sprawie postępu to jest tak: „staliśmy krok nad przepaścią”. Twoja matka ma rację. Dzięki, że spieszyłaś nasze małżeństwo!

Wiedziałam! Wiedziałam, że w końcu dojdzie do takiego ekscesu! Czy oni się zmówili? Ja winna? Czy skazanemu na ścięcie głowy kat może dołożyć tortur tylko dlatego, że nieszczęśnik się wzbrania przed egzekucją?

– O nie, tego mi nie przypiszesz! Wisisz na mnie, myślę o wyprowadzce stąd i boję się, że jeśli tego nie zrobię, to umrę z żalu, że odbieram sobie życie. Rozumiesz to? Dziękuję Bogu, że wreszcie coś mogę odmienić, że spotkałam kogoś, od kogo nie chce mi się wychodzić. Z łóżka przede wszystkim! A czym był nasz związek? Beznamiętny i bezzwrotny jak gotowe życzenia na kartkach świątecznych! – Po ostatnich słowach zaczęłam płakać. Dusza rwała mi się na strzępy, a potem jeszcze na mniejsze fragmenty, ostre, raniące jak potłuczone kawałki lustra.

– Bóg na pewno nie wspiera dziwek! Zobaczysz, że zostaniesz sama.

Krysta patrzyła na mnie jak inkwizytor. Jakby chciała oczyścić swój piękny świat pod tytułem „nasza nora” z obrzydliwego robala, jakim byłam ja. Byłam robalem, takim samym jak pająki o grubych kłaczastych nogach. Najpierw je trzeba usztywnić, potem wyrzucić za okno, by wreszcie potrzeb swoje okrutne rączki. Wytarłam oczy i spojrzałam na Krystę jak ofiara prześladowań na ciemność, przy czym już po przewrocie klasowym.

– Ty wszystko wiesz najlepiej! A niby skąd? Z telewizji? Nie mieszaj się w moje sprawy z Bogdanem ani w moje z niebiosami. W kwestii religii mam inne niż twoje zapatrywanie. Ciągłe się z Bogiem kłóczę, że nie jest sprawiedliwy, że niech się postara o naprawdę uczciwy osąd, skoro na długie lata odebrał mi prawo do miłości!

Krysta trzasnęła drzwiami. Wiadomo! Najpierw trzeba zasiać zamęt, a potem schować się za drzwiami z ruszającą się klamką, czyli w miejscu, do którego bez środków uspokajających nigdy nie odważyłam się wejść. Do kryjówki przed normalnymi ludźmi i jednocześnie centrum obmyślenia, jak własnej córce obrzydzić byt i jak rzucić ją na kolana.

– „Beznamiętny” mówiłaś?! – Boguś popchnął mnie na ścianę.

– Przestań – warknęłam, gdy skrzyżował mi ręce i próbował wepchnąć do łazienki. Po szamotaninie mu się to udało, zamknął drzwi. Zdarł ze mnie płaszcz i wrzucił na pralkę, a na to wszystko wepchnął mnie. Przycisnął brzuchem, a potem paluchem rozerwał wąski pasek koronki w kroku moich nowych czarnych stringów. Brutalnie rozszerzył mi nogi. Włożył palec.

– Od kiedy cipkę fryzujesz? Dla kogo stroisz się jak luksusowa zdzira? Mów! Jak on się nazywa?! Myślisz, że jestem głupi!? – Rozpiął spodnie, a gdy opadły na ziemię, z granatowych gaci wyciągnął olbrzymiego członka i wepchnął mi go, aż poczułam ból. Sapał, a ja zasłaniałam mu usta. – Ruszaj się, ruszaj, dla mnie, tylko dla mnie!

Wytrzymałam go w absolutnej ciszy, słyhać było tylko rąbanie starej pralki o równie starą ścianę. Słyszałam też bardzo dobrze, jak rozpaczliwie tłuką się w mojej

głowie dwie myśli. Zostać i podjąć walkę, rezygnując z Juliana, albo iść stąd natychmiast i nigdy nie wracać!

– Co tam jest?! – Krysta kopała w drzwi. Bogdan wstrzymał oddech. Próbowалам mu się wyrwać, ale przyciskał mnie do ściany.

– Nic, ładujemy pranie – krzyknęłam i zaczęłam się histerycznie śmiać, w końcu płakać i drapać Bogdana po czerwonym pysku.

– Co tam robicie?! To nie wygląda na pranie!

– Chcesz wiedzieć? Na pewno? Ty, taka święta? Pieprzymy się! – krzyknęłam łamiącym się głosem.

Bogdan opadł na kolana, łeb schylił, krew z ran od moich paznokci kapała mu na rękę. Ubrałam się i gąbką zmyywałam z płaszcza spermę. Bogdan cicho płakał, co było obrzydliwe.

– Za to, co mi zawdzięczasz? Jak mogłeś? Powiem tylko jedno słowo. Żegnaj!

Wyszłam z łazienki, w ciszy pakowałam swoje rzeczy, w absolutnej ciszy ruszyłam z tego domu w ciemność wdowej ulicy. Nawet Szaki nie szczeknął. Ani żadne okoliczne psy, włącznie z dwoma bydlakami z początku ulicy. Na postoju wsiadłam w taksówkę.

Świat zamieszkują zwycięzcy i przegrani. Ja czułam się przegrana. Ale jednocześnie byłam pewna, że droga, na którą weszłam, zaprowadzi mnie do zwycięstwa.

Julian wiedział, że tak będzie. Znał się na rzeczy. Nie opowiadałam mu szczegółów, ale gdy długo nie wychodziłam spod prysznic, domyślił się całej prawdy. Czekał na mnie w pokoju.

– Czy ty na pewno nie zrobisz mi krzywdy?

Zakręciło mi się w głowie, usiadłam na brzegu fotela.

– A ty na pewno podjęłaś ostateczną decyzję? – Patrzył mi w oczy.

– Właściwie jest mi źle. Raczej nie mówmy teraz o takich rzeczach. Prawdopodobnie coś mnie łapie. – Oparłam głowę o dłonie. – Nie mam pewności. Może coś mi jest... A przynajmniej tak się teraz czuję, chyba potem będzie lepiej. Prawdopodobnie po herbacie mi przejdzie, jeśli przejdzie... Ale wydaje mi się, że tak. Zresztą... – Położyłam się na oparciu, ręce zwisały mi aż do podłogi.

– Zobacz, Elu! Ja wszystko rozumiem, ale teraz wyszło. Czy ty jesteś czegoś pewna?! – Julian wstał. – W kilku zdaniach usłyszałem, że: „może”, „jeśli”, „prawdopodobnie”, „możliwe”, „nie mam pewności”, „wydaje mi się”, „raczej”, „właściwie”, „gdyby”. Kiedy będziesz używać dużo bardziej rzeczowych form? Jak myślisz? Nie denerwuj się, chcę cię na to uczulić! To będzie jak realizacja mojego dla ciebie testamentu.

Julian chodził po pokoju. Był mój, elegancki, kolorowy, w ciepłym islandzkim swetrze, który tak bardzo lubiłam. A wypowiadał tak krytyczne słowa. Teraz?

– Ty też jesteś dzisiaj gwałtowny, że zauważę konkretnie – zbuntowałam się.

– Gdybym był gwałtowny, dawno rzuciłbym znajomość z tobą w diabły. A ja już na dźwięk twojego głosu mam erekcję.

– Czy dla faceta zawsze wzwód prącia jest najważniejszy? Czy myślisz, że gdybyś nie miał erekcji, nie byłabym teraz z tobą?

– Nie próbuj robić ze mnie ofiary!

– Bo może z Bogdana zrobiłam...?

– Sam z siebie zrobił. Mężczyzna musi na kobietę zarobić i ją dobrze wypieprzyć. Przepraszam... Elu, nie będę ci serwował prawd życiowych przez gazetę. Facet, który żeruje na kobiecie, to pęta!

Dalsza część tego dnia nie była już seksualna, byłam obolała i nieszczęśliwa. Gdyby Bogdan zaczął wreszcie kierować swoim życiem! O nas powinien zadbać! Taka jest rola mężczyzny. To żadna odkrywca prawda! I czy – gdyby tak było – siedziałabym teraz na Sołaczu? To jasne, nie byłabym z Julianem! To kto mnie w ten związek wepchnął? Oni. W zasadzie była to najlepsza rzecz, jaką razem dla mnie wykombinowali.

– Nie potrafię ci nic doradzić, nie narażając się na zarzut podżegania. – Tym oświadczeniem Juliana zakończyliśmy rozmowę nie o nas. A jednak o nas bardzo.

Poukładałam swoje rzeczy w szafie, Julian uszykował mi na biurku miejsce na laptop, podciągnął kabel do netu. W końcu zgarnął wszystkie babskie książki z półki znanej mi od pierwszej randki, nawet te z zakładkami. Wrzucił do kartonu i wyniósł do pojemnika na makulaturę, który stał dwie kamienice dalej.

Potem zaparzył herbatę imbirową, na stoliku postawił filiżanki i dzbanek, usiadł naprzeciwko. Nic już do siebie nie mówiliśmy, patrzyliśmy na siebie tak, jak para nowożeńców po wypowiedzeniu przed ołtarzem sakramentalnego i nieodwołalnego słowa „tak”. Za pół godziny każde z nas zajęło się czymś innym. Julian wrócił do swojej pisaniny, ja zaś otwierałam laptop.

Malinowa Trufla pisze:

*Kiedyś było ze mną tak, że gdy mówiłam o swoich sprawach intymnych, kurczyłam się. Najchętniej zamieniłabym się wtedy w kamyk, żeby tylko nie było widać, jak bardzo potrzebuję miłości zwrotnej. Nigdy nie potrafiłam jej wrywać, ale i ona mnie omijała. Czy jest takie słowo, które dobrze opisze rytm wygłodzonego serca? To słowo to „tachykardia”?*



## *Jesienny pan*

No i zaczęło się nasze krok po kroku. Bardzo chciałam tworzyć bliskość nieopartą wyłącznie na seksie. Wstawaliśmy z łóżka o siódmej trzydzieści, o ósmej Julian wybiegał do sklepu po bułki, potem ja przygotowywałam śniadanie. Chrupiące bułeczki smarowałam serkiem, okładałam połówką lub serem pleśniowym. Na wierzchu stroiłam papryką, oliwkami, pastą kawiorową i kaparami. O dziewiątej siadaliśmy do stołu, później każde z nas zajmowało się pracą. Oboje razem albo Julian sam, a wtedy ja wychodziłam do miasta, najczęściej tylko na rynek warzywny. Obiady jadaliśmy w restauracjach. Spróbowałam już wszystkich możliwych potraw, zarówno naszej, polskiej kuchni, jak i europejskiej. A także bardziej egzotycznych.

Tak nam upłynęły dwa tygodnie.

Krzysiek i Marcin najpierw wyprali mi duszę, ale później dali jej spokój, a nawet czasem mailowali. Ja zaś bombardowałam ich telefonami. Potwór Bogdan zamilkł. Potworzyca Krysta też. Nawet Aga nie robiła mi przytyków. Zaczęłam podejrzewać, czy czegoś nie knują. Powiedziałam sobie, że jeśli mnie nie przeproszą, a byłam pewna, że nie, moja noga w tym rozpieprzonym domu nie postanie. Ale to postanowienie było dużo głębsze niż lata wspólnego z nimi życia. To był w końcu mój dom! Mój! Nie opuszczę go ani nie pozwolę, żeby się zmarnował, choć nie byłam na tyle stanowcza czy silna, żeby na nowo rozpisać role.

Zastanawiało mnie spokojne podejście Juliana do moich spraw rodzinnych. Miałam wrażenie, że czeka. Na co? Że stoi z boku. Dlaczego? Gdyby mu zależało, walczyłby o mnie. Dla mnie. Jakże szybko zapomniałam o układzie, porozumieniu, o welonie. Po co mi on, skoro nie mam rozwodu z Bogdanem? – tak to sobie poukładałam. Wiele upraszcza proste rozumowanie. Jesteśmy ze sobą, mieszkamy, bywa nam ze sobą znakomicie, wszystko gra! Voilà!

Ale ja kocham bardziej! Jednak tak naprawdę go nie obchodzę! Jestem, bo jestem! Bo chciałam być. Bo skorzystałam z sytuacji, a potem już się potoczyło! Tak się oto czasem dręczyłam.

Dawno temu zapomniałam o Mieteksie, każde wspomnienie o czasie tam spędzonym, o życiu utraconym na czynnościach zwanych księgowaniem napawało mnie niesmakiem. Wymazałam Mieteks z pamięci, ale on nie zapomniał o mnie. Czesia zaterkotała na moją komórkę. W pierwszej minucie pomyślałam, że dzwoni, bo chce się zapisać do kółka byłych pracowników. Ale nie po to zatelefonowała. Nawet też specjalnie na Mieteks nie narzekała, a po rutynowych grzecznościach wypaliła prosto jak z procy:

– Widziałam panią z „jesiennym panem” w Sushi Barze.

O jasne z modrym! Co znaczy, że mnie widziała? Kim jest „jesienny pan”?

– Z jesiennym panem? – zapytałam, choć serce podeszło mi do gardła, bo sushi jadłam tylko raz. Z Julianem.

– Taki nick ma dziadziśko na portalu randkowym. Mnie też chciał nabrać!

Podczas kiedy serce chciało mi wyskoczyć nosem, ona konspiracyjnym szeptem zaczęła mnie pouczać, żebym uważała na „jesiennego pana”, bo on od dawna tkwi na

wszystkich randkowych portalach i zarzuca sieci w sieci. Zamarłam, a potem, żeby zapęlić ciszę głuchą jak w najgęstszym borze, zaczęłam się tłumaczyć. Że to był brat takiej koleżanki Zośki. Że prowadzę jego sprawy finansowe. Kłamałam, żeby tylko nie się nie okazało! Ale zapytałam, kiedy go poznała. „Gdy pracowałam w Mieteksie”, odpowiedziała Czesia. Potem zaczęła relację: że była z nim tylko na jednej randce, na której prawie od progu i bez żenady zaproponował jej wspólny wyjazd do Rzymu. Do Rzymu! Chciało mi się krzyknąć: „O matko”, byle zagłuszyć jej słowa. Jednak niedawno matkę wyrzuciłam ze swej pamięci definitywnie!

– Przecież nie polecę z nieznanym tak daleko! Jeszcze by mi kazał za siebie płacić i wymuszał seks!

Seks. Seksu on na pewno od nikogo nie potrzebuje. Ma go. W najlepszym gatunku. Ze mną! To, co powiedziała Czesia, było jednak dla mnie uderzeniem w pysk. Nie mam twarzy. Już nie mam. Rozpadła się.

Wiedziałam, że Julian nie był ani kryształem, ani białą, niezapisaną kartką papieru, ale nie spodziewałam się, że w tej grze piłka spadnie tak blisko mnie. Chciałam, żeby nasz związek był początkiem czegoś niepowtarzalnego.

Poprosiłam Czesię, żeby sprawdziła, czy on nadal jest aktywny na portalu.

– Najwyżej – wytłumaczyłam się – powiem o tym Zosi. Niech wie, jakiego ma brata.

Dwie godziny później odebrałam telefon. Z emocji trzęsłam się jak galareta na brzuchu Bogdana.

– Nie ma, widocznie dziadziśko zmieniło nick. W ogóle zlikwiduję swój profil, bo ostatnio chodzę na randki za swoje pieniądze. Pierwszy raz stawiają mi herbatkę, ale za drugim razem, gdy pytam, czy się dołożyć, tak pro forma, oni się zawsze zgadzają. Beznadzieja.

– A pamięta pani takiego z Zielonej Góry, gdy jeszcze pracowałam w Mieteksie to było... – Odzyskałam spokój.

– Pewnie! O, to był bardzo kulturalny człowiek, od razu mi napisał, że jest w związku, trochę korespondowaliśmy, ale w końcu przeprosił. Znalazł jakąś młódkę i musiał uregulować swoją sytuację prawną, bo miał zamiar związać się na dobre. Taki gość to rzadkość.

Odzyskałam humor. Najpierw uznałam, że Julian dla mnie zrezygnował z portali, bo jestem ważna. Bo teraz liczę się tylko ja!

Ale jeszcze bardziej uszczęśliwiła mnie wiadomość, że szwagier chce uregulować swoją sytuację prawną, czyli rozwieść się z Agą. Zachciało mi się skakać, tańczyć, wbiegłam do pracowni Juliana i zaczęłam go przytulać i całować.

– Nie gniewaj się na mnie, Słoneczko, że byłam po południu taka naburmuszona. Teraz już jestem kochana, prawda?

– Nie masz gorączki? Mnie nazywać Słoneczkiem? Włączyć płytę Callas?

Arie były naszym miłosnym kodem, skrótem myślowym, zaśpiewem. Kochaliśmy Callas za głos pełen żaru i wielkiej melancholii, które zrodzić mogła tylko wielka i niespełniona miłość. Diva dawała nam siebie, kochającym się przy jej muzyce. Było – aria za arię!

– Nie jestem taka zła, zdarza mi się czasem wspaniałomyślność i chęć sprawiania dobrych uczynków. – Uśmiechnęłam się.

– Litość jest ostatnim uczuciem, jakie chciałbym budzić w kimkolwiek. Jako zwolennika eutanazji, jeśli będzie taka konieczność, proszę mnie wyłączyć. Z litości. Zrobić ci broszkę? Mam trochę srebra z kiedyś.

Julian był smutny.

– Srebra? Jakiego srebra? Wspaniałomyślność nie zawsze powodowana jest litością. Zrób. I pokaż mi, jak to się robi. Chciałam powiedzieć: „Może zrób”, ale pamiętając, że nie trawisz stanów mojej małej dosadności, zrezygnowałam z tego „może”.

– Zaśmiałam się sarkastycznie.

– Dosadność, dokładność, prawda. Jeśli powiesz na przykład o swoim samopoczuciu: „raczej dobre”, to nawet ja to zrozumiem, pomyślawszy krótką chwilę. Dotąd jednak miałaś skłonność do sformułowań typu: „prawdopodobnie wydaje mi się, że chyba czuję się dobrze”.

Znakomicie o tym wiedziałam, i mnie denerwowało „rozmemłane gadanie”, ale długoletni nawyk sprawiał, że nie potrafiłam się od tej formy uwolnić.

– Swoją drogą ciekawe, dlaczego używam aż tylu osłabiaczy, co ty od razu wyłowileś. – Spoglądałam, jak zdejmuje zegarek, kładzie go na stole.

– Bo w ogóle nie jesteś pewna siebie.

– Ale poczekaj. Czy ja dobrze usłyszałam? Ty rzeźbisz w srebrze? Od dawna? Zawodowo?

– Trochę rzeźbiłem, dla siebie i dawno temu. W pawlaczu w przedpokoju mam jeszcze narzędzia. Różne anki, kleszcze, polerki, kowadełka i masę innych rupieci. Więcej tajemnic na dzisiaj nie mam. – Julian usiadł, na dłonie wylał kilka kropli oliwki i zaczął masować mi stopy.

Oparłam się na fotelu. Potrafić rzeźbić w srebrze! Nikt w moim otoczeniu nie był artystą! Lubiłam ludzi utalentowanych, zawsze tak było. Ale najbardziej ceniłam tych, którzy potrafili ze swoich zdolności zrobić użytek. Patrzyłam na Juliana jak na kogoś nieodkrytego. Odślonił dla mnie kolejny rąbek swej osobowości i, co oczywiste, byłam tym zachwycona.

– Też bym chciała mieć jakieś zdolności...

– W moim rzeźbiarstwie więcej było improwizacji niż talentu. Oczywiście z czasem nabyłem warsztatu. Skupiłem się na dużych formach, robiłem różne brochy i wisiory. Pierścionków już bym nie potrafił, zresztą do tego trzeba mieć sporo narzędzi. Spróbuj sama, zobaczysz, że to fajna zabawa. Talent nie jest najważniejszy.

– Pokażesz mi? – Z wrażenia dostałam rumieńców.

– Czemu nie? Możemy zacząć od jutrzejszego południa.

Świetnie! Pomyślałam jednak, że nie wolno mi być pewną, że tak dobrze będzie mi już zawsze. Nie wolno, bo na pewno zaraz zdarzy się jakiś krach. Te kobiety! Przecież były. Portale! Podobnie. Wyszukiwanie następczyń. Nie wolno mi myśleć optymistycznie.

Dwie godziny później, w La Rambli, kelner postawił przed nami deskę pełną hiszpańskiej szynki, chorizo, oliwek, papryczek nadziewanych dorszem lub serem

i śliwek w boczku. Zamówiliśmy także butelkę czerwonego wina. *Perlat garnatxa* zawsze nam bardzo smakowało. To wino krzepkie, z posmakiem śliwki w czekoladzie, korzeni, pieprzu, beczkowej wanilii i owoców.

– Bardziej smakuje mi szynka ze świń czarnonogich, jest wyrazista, pikantna, a na języku pozostaje smak trawy spalonej słońcem. Białonogie, jak białogłowe, dają delikatniejsze wrażenia. – Julian podłożył sobie pod plecy czerwoną poduchę. – Będąc w Hiszpanii, zwiedziłem Muzeum Szynki. To oczywiście jest jednocześnie sklep.

– Jak to brzmi! A gdyby nazwać gabinet stomatologiczny Muzeum Sztucznej Szczęki?

– Tak nazwali... Ale tylu gatunków szynki naraz nie widziałem nigdzie.

Po spałaszowaniu przystawek zabrałam się za moje ulubione *empanadillas de atun*. Pierwszy pierożek z tuńczykiem od razu rozpląnął się w moich ustach. Potem drugi i kolejne. A Julian jak zawsze pozostał przy *gambas al pil pil*. Krewetki jeszcze skwierczały w gorącej czosnkowej oliwie. Popijaliśmy wino, wcinaliśmy smakołyki. Było bosko.

– Byłeś kiedyś na jakimś portalu randkowym? – zapytałam, pewna, że odpowie, zgodnie z prawdą, iż kiedyś był...

– Temat zmieniłaś radykalnie... Skąd takie myśli? Byłem i nadal jestem.

– Nadal jesteś i tak lekko mi o tym mówisz? – Znowu ten wkurzający strach! Odstawiłam wino. To oczywiste, że spodziewałam się innej odpowiedzi. Że one wszystkie są straszne, ale „ty i tylko ty” uratowałaś mnie od złego świata! I kocham cię. A potem byśmy mogli sobie żyć... Potem, po rozwodzie z Bogdanem.

– No, ostatnio się pozawieszałem. W zasadzie teraz już mi się nie chce. Bo generalnie to jest zabawa, wszyscy tam się bawimy.

– Zabawa uczuciami?!

– Tak, zabawa. Dać ci poczytać? Zdziwisz się, jakie niektóre panienki są naiwne. Gdy piszę, że zaproszę panią na narty, a przecież wiesz, że wcale nie potrafię jeździć, to wklejają swoje fotografie w strojach narciarskich. Jeśli wspominałam o letnim wypadzie... to w strojach kąpielowych. Niektóre w bardzo skąpych. – Julian rozparł się na siedzeniu, i dopiero jakby się rozkręcał.

– Duzi chłopcy nie mają już innych zabawek? – Przerwałam mu brutalnie. W ogóle chciałam wstać i wyjść. – Jak można być tak okrutnym?! Stop! Nie chcę nic więcej na ten temat słyszeć. A nie pomyślałaś, by się wreszcie spod tych brzuszysk wydobyć? – Staralam się ściszyć głos, knajpka była nieduża, przy sąsiednich stolikach siedzieli goście.

– Za późno. Przy czym to nie brzuszyska mnie pociągają, raczej jestem chorobliwie uzależniony od zainteresowania moją osobą. A może uciekam w to, żeby się nie zakochać... Może ratuję swoją duszę? – Julian bawił się moim małym palcem, gniótł go i pocierał... Wyrwałam palec.

– Z mojej strony masz naprawdę wszystko, nawet za dużo.

– Nie ma zgiełku, jest zbyt cicho, a ja całe życie byłem obiektem zainteresowania, musisz mnie zrozumieć, umówiliśmy się. Z tobą jest inaczej, dobrze.

– Tak, najprościej jest powiedzieć, że się umówiliśmy. Palnąć i niech sobie myśli. Niech się zadręczy. Umowa... Tylko że się nieco pozmieniało. Gdybyś od początku

pokazał mi wszystkie swoje bebechy, to byłby uczciwy układ. A tymczasem co chwilę coś dochodzi. Brakuje, żebyś flirtował z wdowami z mojej ulicy!

Byłam rozzalona, coś we mnie zaczynało pękać, przestawałam się godzić, a przynajmniej już nie bałam się wyrazić swojego zdania, tak jak kiedyś, panicznie.

– Elu, nie zgodzę się. Tak mnie nie traktuj. Jednak orgazmy daję tylko tobie. – Julian mówił to do mojego ucha, z ustami w moich włosach, z rękoma na mojej bluzce. – Nie możesz mnie zamknąć i ograniczyć mi wolność, to byłoby barbarzyństwo!

– Też coś! Barbarzyństwo. – Odsunęłam się. – Pogotowie seksualne? Orgazmy to nie wszystko. Zaślepiłeś mnie, a ja uwierzyłam, że żyje się dla seksu. Ale okazuje się, że ja potrzebuję miłości, uczucia, że świata poza mną nie widzisz. Że jestem tylko ja!

– Wiem...

– Wiesz? I co?

– Wiem... – powtórzył cicho.

– Mną się nikt nigdy nie zachwycał. Nikt mi nie zwrócił nawet milimetra uczuć, które ja oferowałam. Nawet wtedy, gdy byłam dzieckiem i mówiłam: „łóża” albo „lowelek”. – Pomyślałam, że jeszcze chwila, a się rozplaczę. PIEROŻKI z tuńczykiem całkiem wystygły, a ja wiedziałam, że nie przełknę już ani jednego.

– Dlaczego poczułem się teraz jak zboczeniec...? – Julian długo milczał, zanim zadał to pytanie. Potem skinął na kelnera.

– Gdy potrzebuję nastroju bliskości nieopartego na seksie, ty się oddalasz. – Spojrzałam na niego z wyrzutem.

Chciałam z Julianem tworzyć, miałam nadzieję, że nasz związek będzie ewoluował. Miło mieć „przytulankę”, ale potem przychodzi czas, że chciałoby się, żeby owa „przytulanka” dawała coś więcej niż radość z przytulania się.

Wściekła wyszłam z La Rambli. Julian mnie dogonił. Do samochodu szliśmy w milczeniu. Potem, podczas jazdy, też żadne z nas nie kontynuowało tematu ani też nie wszczęło innego. W domu od razu poszłam w swój kąt i włączyłam laptop. Julian też zniknął w pracowni. I choć miałam poczucie, że sen z Julianem w roli głównej nie jest prawdziwym życiem, byłam pewna, że następnego dnia zrobię kolejny krok w kwestii zwanej „tolerancją”. A co jest dalej? Zgoda na bycie jedną z kilku?

Dotąd miałam poukładany obraz prawidłowego świata. Że jest on i ona, najważniejszy związek, a między nimi uczucie i tym samym przyzwolenie na wiele. Czyli na bliskość, cielesność, na tworzenie intymności. Ale to „wiele” nigdy nie znaczyło dla mnie „perwersja”. Tak. Gdy zrobię kolejny krok do przodu, do tego stanu mogę się zbliżyć.

E-mail od Jerzego był możliwością ucieczki do jeszcze innego świata. Jerzy był „zapomnieniem”. Że jest gadułą, to wiedziałam, lubił pisać o sobie, o swoich zapracowanych dniach, mnie zbytnio nie wypytywał. Czytałam wiadomości od niego jak odcinkową opowieść o codzienności.

„Dzień dobry, Elżbieto! U nas zima, jest ślisko i nieprzyjemnie zimno. Jutro z samego rana jadę samochodem do Krakowa na rozprawę, którą mam w środę. Muszę jechać jutro, by przejrzeć jeszcze akta sprawy. Mam nadzieję, że zima nie da mi w kość. A także mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj, a potem po powrocie zostanę zasypany – jak

zima śniegiem – zwałami listów od Ciebie. A może TY czasem przyjeżdżasz do Warszawy? Jerzy”

„Jurku. Dziękuję Ci za list. To cenne – przeczytać miłe słowo od kogoś, kogo znam coraz lepiej. Czuję się tak, jakbyśmy mieszkali w tym samym bloku, na tej samej klatce i nawet na jednym piętrze. Jeszcze chwila, a będę Ci się zwierzać z najbardziej intymnych myśli, bo zapomnę, że dla siebie jesteśmy utkani tylko z tych e-maili, a nie z krwi i kości. Jedź ostrożnie. Elżbieta”

Malinowa Trufla pisze:

*Moje pierwsze „ja” powiada: Dobrze jest wiedzieć na pewno. To ułatwia i skraca. Nie błądzi się wtedy. Nie traci czasu na zbędne przemyślenia. Dylematy. Mrzonki. Ot, jest plan i hajda do przodu.*

*Drugie „ja” ripostuje: Ależ to jest ograniczenie! Bo szukając, błądzimy tylko wtedy, gdy nie wiemy, czego szukamy. To zdarza się niezwykle rzadko. A poza tym, co znaczy „błąd”? Bo czego najbardziej szukamy? To oczywiste. Chwili, czegoś zmieniającego nasz świat na lepszy. Kogoś ważnego. Jednak najczęściej szukamy samego siebie, bardzo pogubionego. Dla siebie jednak warto znieść ograniczenia i przemierzyć fałszywe drogi.*

## Przeplatanka

Jerzemu współczułam podobnie szczerze jak sobie. U niego zdarzały się różne dni. Pracowite i mniej. Nerwowe i mniej. W moim życiu było podobnie. Jeden dzień był dobry, drugi zły, i znowu następny dobry, kolejny niestety fatalny. Nie uwierzyłam Julianowi. Korzystając z tego, że pochłonięty był pracą, zaczęłam przeglądać portale randkowe. Nie mogłam przestać. Natychmiast i koniecznie chciałam zweryfikować, czy to, co mówił, jest prawdą. Szukając, czytałam różne anonse i przeglądałam zdjęcia męskich „towarów”. Prężyły się w swoich cherlawych jestestwach te dusze zachłanne, ustawiały do zdjęcia. Było coś okropnego w tym, jak wydymają wargi, wypychają klaty i wciągają brzuszyska. Wśród nich mógł być mój Julian! Pojawiała się też druga myśl: że to były bardzo samotne i odrzucone osoby. Niestety, nie znalazłam nic, co by mnie naprowadziło na ślad bytności tam Juliana.

Przy okazji przeglądania netu częściej niż poprzednio mailowałam z Jerzym, co było mu bardzo na rękę. Pisał, pisał i jeszcze raz pisał. Ja czytałam i czytałam, a Julian też pisał i pisał, tyle że w pracowni, skąd od kilku dni nosa nie wychylał. Bałam się, co z nami będzie. Nie chciałam go stracić. Serce służył mi nie było. A Julian? Mógłby się dla mnie zmienić, nie byłoby ciszy. Mógłby, jeszcze nie było za późno! Moja ucieczka w stronę Jerzego stawała się coraz bardziej histeryczna.

„Witaj, Elżbieto. Czyli co? Decyzję co do nas podjęło Twoje pierwsze *ja!* Znowu tylko zapowiadasz, a nie napisałaś nic osobistego. Rozumiem, że uznałaś, że nie warto, że po co? I masz zamiar naszą korespondencję wyciszyć. Obietnicami? Nie jestem wirtualny, jestem z krwi i kości! Trochę się głupio poczułem. A może uważasz, że nie warto naszej znajomości kontynuować? No cóż, takie są też chyba zasady gry w necie.

A w Krakowie w środę po rozprawie miałem chwilę i udało mi się pójść do Kościoła Mariackiego. Poszedłem na Wawel, przespacerowałem się po rynku, zajrzałem do Wierzyńka, w końcu kupiłem obwarzanki i ruszyłem w drogę powrotną. To były wspaniałe chwile. Teraz to już nie takie zwykłe pozdrowienia, ale cały kosz bardzo przyjacielskich fluidów Ci przesyłam. Żebyś godziła się na naszą znajomość. Jerzy”

Żebyś godziła się na naszą znajomość! Ależ tak jest. Czy tego nie czuć?

„Witaj, Podróżniku! Cieszę się, tak po przyjacielsku, że wróciłeś szczęśliwie do domu. To nie tak, jak piszesz. Muszę przyznać, że nasz korespondencyjny nawyk sprawia, że martwię się o Ciebie, gdy wyruszasz w długą trasę i gdy nie mam listu. Nauczyłeś mnie czekać na e-maile. Otwieram i czytam... i cieszę się, ale nie lubię tonu nerwowego – to mówi, po namyśle, moje drugie *ja*. Zazdroszczę Ci pobytu w Krakowie, bo Kraków w Polsce to dla mnie jak Rzym w Europie. Uwielbiam to miasto, atmosferę sztuki i nauki unoszące się w powietrzu. Teraz słucham Piwnicy pod Baranami. *Dezyderata* to jest to. Co znaczy *zasady gry w necie*? Pozdrawiam, Elżbieta”

„Masz rację, Elżuniu, przepraszam. Do mojego e-maila wdarł się rzeczywiście styl nerwowy. Bo dyskusja w necie ma to do siebie, że jest koślawa. Gdy się zaczyna odpowiedź na list, to jeszcze wiadomo, co pisać. Potem tematy nabierają trochę innych dróg, inne myśli wchodzą i tak to jest rozwichrzone, że rozmowy takiej jak bezpośrednia

nie ma. Inaczej nie mogę wytłumaczyć tego sformułowania. Prawdopodobnie wyszło tak, bo byłem rozżalony lakonicznością Twego listu. Ale złych myśli nie miałem. No i Cię całuję i życzę snów o pięknej soczystej trawie. A może pomyślimy, żeby korzystać z czatu? Co Ty na to?”

„Jerzy – dziękuję za trawę, to jest piękny obraz, taki wiosenny. Chciałoby się w niej tarzać bez końca. Ale z czatu nie będę mogła korzystać, bardzo rzadko otwieram komputer. W moim zamyśle przestrzeń wirtualna miała służyć mi do gromadzenia myśli, zdań, jakie chronię przed ludźmi, których muszę zadowolić. Szkicuję swoją duszę, a może jedynie definiuję przestrzeń. Nie wiem tego jeszcze. Elżbieta”



## *Rzemiosło to jest to*

Czy moje oddanie Julianowi było rodzajem poświęcenia siebie, czy rzeczywiście graliśmy na podobnych skrzypcach? Raczej to drugie. Zawsze brakowało mi kogoś, kto rozpaliby we mnie rodzaj spontaniczności skierowanej na wspólne tworzenie. To znaczy, ja od dawna miałam takie chęci, ale pasowałam, gdyż nikt za mną nie szedł. Julian bardzo mnie zainspirował. Wystarczyło, że pokazał mi kilka tajemnic, a już siadłam i próbowałam własnych sił. Chciałam się pochwalić synom. Wystarczyło mi, że wiedziałam, że dają sobie radę, że żyją, pracują. Nie tęskniłam, nie zabiegałam o spotkania. Ot, uznałam, że mój czas dla nich się skończył i wypada mi tylko z boku obserwować ich sukcesy.

Tego dnia Julian wyciągnął z tekturowego pudełka ciemnofioletowy, prześwitujący gorset i poprosił, abym go włożyła, w zasadzie pomógł mi. Włożyłam, a jakże, przejrzałam się w lustrze. Kogo zobaczyłam? Rozneglizowaną, dość seksowną kobietę o absolutnie zawstydzonym spojrzeniu. Zdziwiłam się. Ona też. Włączyłam swoje ulubione *Bolero* Ravela. Przy tej muzyce można wszystko...

Najpierw nieśmiało zagrały skrzypce. I ja podobnie, w rytm muzyki, pierwsza zaczęłam mojego kochanka rozbierać. Staralam się być dominująca. Rozbierałam powoli, w rytm pierwszych skrzypiec, potem drugich i trzecich. Szybciej. Pasek od spodni, koszula. Julian pocałował mnie w sutek i przeprosił na chwilę, kilka razy okręciwszy się wokół własnej osi, zainicjowałam samotny taniec. Gdy wrócił, zdjęłam mu spodnie, pocałowałam w brzuch, dłońmi masowałam jego twarde pośladki. Głośna muzyka chowała moją nieporadność. Niewątpliwie miłość fizyczna dzieje się w rytmie bolera. Julian nie wytrzymał.

– Pieść mnie jeszcze. Zajmij się tylko mną. Ten raz.

Nie musiał prosić, to był mój pierwszy raz w ten sposób. Byłam niezdarna i zawstydzona. Wiedział to, poprowadził moją rękę. Głowę. Zapomniałam o ograniczeniach. Stawałam się coraz bardziej swobodna, spontaniczna, gwałtowna, jak *Bolero*. Byłam kotką. Byłam gejszą. Byłam młoda. I piękna. Julian lizał moje piersi, które już dawno znalazły się poza gorsetem. Rozpinał haftki w kroku.

– Proszę cię, nie przestawaj, całuj, Kochaj wszystkim, czym chcesz – usłyszałam jego zduszony głos.

– Ale widzisz, że chyba nie potrafię, nigdy tak nie...

– Rozbieraj mnie na najmniejsze nerwowe receptory, na neurony, mięśnie i ścięgna, na komórki... Znajdź wszystko. Teraz możesz.

– Nie mogę, nie umiem, postaram się...

– Teraz masz mnie całego, nie chowam się.

– Tak, tak – szeptałam. Byłam podniecona, odurzona podnieceniem mojego mężczyzny. Sobą też. Muzyką. Szybkością jak u zwierząt. Tak. Teraz, natychmiast. Julian zerwał ze mnie fioletowe tiule i pchnął na skórzany fotel. Po czym wszedł we mnie od tyłu, gwałtownie, pewnie i bez żadnej finezji. Wiedział, że może, bo takie są prawa miłości. Bo u mnie i tym razem było tuż-tuż...

– Przepraszam, jeśli cię zabolalo... Przepraszam... – Julian odgarniał mi z czoła sklezione od potu włosy.

Wybrzmiewaliśmy wraz z ostatnim szarpnięciem strun, z ostatnim akordem bębna. Julian głaskał mnie po ręce, a ja leżałam z nosem pod jego pachą i słuchałam, jak bębny w moim brzuchu kończą utwór na orkiestrę, chór, a nawet i na balet.

Potem każde z nas zajęło się swoją pracą. Wiedziałam, że na etapie drugiej redakcji nic Julianowi nie pomogę. Zbliżaliśmy się do finiszu, w styczniu książka miała ukazać się w księgarniach. Każde zajęło się sobą, czyli ja zajrzałam do poczty, a Julian znikł w pracowni.

Jeśli chodzi o Jerzego, czułam się w obowiązku pisać, odpisywać, nieco ujawnić, za wiele nie pytać, czyli nie przekraczać dystansu. Gdyby ktoś mnie zapytał, jaki jest Jerzy, powiedziałabym, że przeciętny, zamknięty w przestrzeni „od – do”, ograniczony szponami paragrafów, beznamiętny, jak znani mi adwokaci. No, i że jest zagrożony dyskropatią odcinka piersiowego kręgosłupa. Czegoś chce. Ale co by to miało być, pewnie się nigdy nie dowiem!

Odkryłam, że ta nasza niezobowiązująca wymiana myśli jest dla mnie układem bezpiecznym. Zawsze mogłam się z niego wycofać, bo nic między nami nie iskrzyło. Owszem, byłoby mi przykro, gdyby jednym cięciem zakończył naszą znajomość, ale... mogłabym z tym żyć.

Bez Juliana nie potrafiłabym już funkcjonować! To wiedziałam.

Męki miłosne, ale i ekstazy przeżywałam z Julianem. To o nim śniłam. Gdyby ktoś zapytał, jaki jest Julian... No cóż, Julian był silny, intelektualny, zaskakujący. Myślał za mnie, działał za mnie. Elektryzował mnie. Pociągał. Kusił. Przez niego byłam rozedrgana. Cierpiałam. Bo go kochałam! Do diabła! Godzimy się na nieszczęśliwe życie ze strachu. Lata całe byłam niewidzialna, nic nie czułam. Krzyczałam, a mimo to nikt mnie nie słyszał! Nie chcę już posłusznie gasnąć! Chcę być i czuć! I szaleć!

Wieczorem posprzątałam narzędzia jubilerskie, odłożyłam na półkę na w pół wykończoną broszkę. Miała kształt sopli lodu. Ten kształt powstał absolutnie przypadkiem, kreacja w moim rzemiośle nie wchodziła w grę, istniał tylko przypadek. Julian zajrzał mi przez ramię i cmoknął. Pewnie na mnie, bo broszka nie mogła go zachwycić. Przy okazji pochwalił się, że nabył bilety lotnicze do Melbourne. Mieliliśmy lecieć w pierwszy dzień po świętach, czyli niedługo. Nie mogłam się doczekać! Tam będzie ciepło! Hurra! „Super” – zdążyłam tylko wykrzyknąć, a Julian znowu znikł w pracowni. Tym razem miał romans całkowicie przeze mnie akceptowalny, z Portugalią. Zostałam sam na sam z rutynową opowieścią Jerzego o niczym, sama zrobiłam to samo. I od razu dostałam zwrotne „znowu o niczym”. W końcu wpisałam notkę na blogu.

„Dzień dobry, Elu. Soczyście zielona trawa to rzeczywiście widok i odczucie, że chce się, jak piszesz, tarzać. Czy pisałem Ci kiedyś, że jestem gadułą? Czy to też w pisaniu się uzewnętrznia? Tym razem będę monotematyczny. Czekam na Twe listy jak zawsze, bo chciałbym je czytać, czytać i jeszcze raz czytać... Napisz do mnie długo i pięknie. Proszę. Całuję. Jerzy”

„Jurku! Nie wiem, jak to się stało, ale mamy już za sobą nawet sporą wirtualną historię. Nigdy wcześniej z nikim nie e-mailowałam, co najwyżej w sprawach

służbowych. I tak sobie myślę, że dobrze, że jest ktoś, kto moje wypociny wieczorne czyta (a przynajmniej to deklaruje). Trochę o Tobie już wiem, a że jesteś spontaniczny i gaduła, to dla mnie oznacza wyłącznie same dobre rzeczy. Bo czuć, że nie manipulujesz, że piszesz prawdę i nie przedstawiasz siebie innym, to się liczy w świecie pełnym manipulacji i nieprawdziwych relacji międzyludzkich. Śpij dobrze. Elżbieta”

„Witaj raz jeszcze, Elu! Ciąg dalszy następuje. Dziękuję Ci za obiecujący list. Całe popołudnie siedziałem przy pismach i pracy merytorycznej, z którą gonię czas. To ta świąteczna gonitwa sprawia, że wszystko jest spiętrzone. Teraz zrobiłem sobie krótką przerwę, potem znów zabiorę się za robotę i tak zleci. Pozdrawiam Cię wtorkowo i całuję. Jerzy”

„Jerzy, miłe są takie spotkania w zasadzie w sytuacji przypadkowego wyboru. Też Cię pozdrawiam. Elżbieta”

Malinowa Trufla pisze:

*Od kilku dni próbuję rzeźbić w srebrze. Nawet ciekawie mi to wychodzi. Cieszę się, bo może okaże się, że znalazłam w sobie jakiś talent. Srebro to inne tworzywo niż życie, ale podczas formowania jedno i drugie wymaga finezji i talentu właśnie.*

Gdy wyłączyłam laptop, była dwudziesta druga.

## *Tanie romansidło*

Od rana Julian wprawiał mnie w dobry humor. Z szafy wyciągnął torbę z marcepanami o różnych kształtach. Od razu się na nie rzuciłam jak wygłodniała wilczyca, były takie pyszne. Na biurku położyłam kilka, na później. W czekoladzie jest coś takiego, czemu nie mogę się oprzeć i jem tak długo, aż się skończy. Sięgnęłam po następnego czekoladowego słodziaka. W ustach miałam niebo. Tymczasem w poczcie zastałam fetor, jakby komuś się wymknęło. Zimnego e-maila od Jerzego czytałam trzy razy.

„Witaj, Elżbieto! To *coś* między nami chyba rzeczywiście nadaje się na tanie romansidło. Ale takie jest życie, pełne niespodzianek, a w naszym wypadku chyba jednak przyjemnych. Pozdrawiam Cię zatem o poranku tak, jak Cię może pozdrowić tylko przyjaciel. Jerzy”

Bardzo się zdenerwowałam. Co znaczy „tanie romansidło”? Ze mną w jednej z ról? Dlaczego napisał w tak okropny sposób? Adwokacina! Nawet pisać dyplomatycznie nie potrafi. Dlaczego znowu mnie dotyka ta wpychająca się wszędzie niesprawiedliwość? Przecież w żadnej mierze go nie uwodzę! A on, zamiast zastanowić się, a potem sformułować myśl jakoś oględnie, od razu tnie jak skalpelem. Pisze wyrok, choć nikt mu nie kazał być sędzią ani prokuratorem. Ja zaś na pewno nie będę tym razem oskarżoną! Zaczęłam przeglądać swoje poprzednie e-maile skierowane do niego, by znaleźć zdanie, słowo, które mogło jakoś prowokować. Po co to robiłam? Nie musiałam się wszystkim tłumaczyć. Czy jednak powinnam godzić się na wymówki? Też nie. W wysłanej korespondencji znalazłam podejrzaną zdanie. Prawdziwe, ale cóż... Od razu napisałam.

„Jerzy. Muszę Cię przeprosić za zwrot *sytuacja przypadkowego wyboru*. Chodziło mi o określenie impulsu, który kierował mną, gdy postanowiłam odpisać na Twój komentarz na moim blogu. Elżbieta”

## Wdowi uścisk

Następnego dnia, od samego rana nie mogłam się doczekać, żeby zajrzeć do poczty. Interesowało mnie, jak Jerzy tym razem się wytłumaczy. Czułam w stosunku do siebie niesmak, bo sypiałam z Julianem, żyłam za jego pieniądze, wprawdzie nieco mu pomagałam, ale jedynie „nieco”, mieszkałam w jego domu, bo przygarnął mnie jak sierotę. Tymczasem zadaję się z neurotycznym kolesiem, który usiłuje do mojej głowy przerzucić część ze swoich chorych emocji. W stosunku do Juliana na pewno nie postępowałam fair! Wprawdzie z jego strony był eksces z randkami, ale potem już temat nie wrócił, a ja Juliana widziałam wyłącznie zajętego pracą.

W końcu nie wytrzymałam i przeczytałam ten list. Od Jerzego. Było koło południa.

„Elżbieto. Przepraszam za to *tanie romansidło*. Napisałem tak prawdopodobnie dlatego, bo pomyślałem, że chcesz mnie odrzucić. I tak wyszło, ale złośliwej myśli nie miałem. Teraz pewnie jesteś zajęta, ale może dzisiaj wyjątkowo sobie o nas ciepło pomyślisz? O tym, co nas spotkało. Napisz, proszę. Jeżeli jednak takich myśli nie miałaś, to też napisz – coś wymyślając. Może to będzie nawet ciekawsze? Tak więc nie robiłbym dramatu wokół naszej znajomości. Zaczęła się z wielkim rozmachem (może i wzajemnym wyczuwaniem), może jakoś potrwa. Kto wie? Ja oczywiście jestem już w kancelarii, a wcześniej rano byłem w sądzie. Po południu przyjmuję klientów. Dzisiaj mam dzień zapełniony po brzegi – w zasadzie do wieczora, ale w przerwach spojrzę do poczty. Może w ciągu dnia coś miłego do mnie napiszesz? Całuję nadal. Jerzy”

Nie, nie napiszę niczego miłego! Nic nie napiszę! Najwyższy czas przestać traktować wirtualną korespondencję jako ucieczkę od tematów, od których na pewno uciekać nie powinnam. Czyli jak sprawić, by Julian był tylko mój. I co się dzieje z moim domem? Jak go odzyskać, jak wyrwać ze szponów matki i Bogdana?!

Stało się. Poprosiłam Juliana, żeby mnie zawiózł na moje osiedle. Nie był zadowolony, ale po kilkunastu minutach trzymania mnie w niepewności w końcu usłyszałam:

– Wyjeżdżać? Jesteś gotowa?

Było po południu, w mieście panowała nerwowość, jak to przed świętami. Mijaliśmy oświetlone bożonarodzeniowymi iluminacjami ulice. Uwielbiałam atmosferę świąt. Jadąc, wcale nie rozmawialiśmy, Julian na wyjazd zdecydował się wyłącznie dla mnie, to wiedziałam. Miałam pretensje o kobiety w jego życiu, a sama namówiłam go, by mnie zawiózł do domu z facetem, którego utrzymywałam. Odkąd zamieszkałam z Julianem, nie dawała mi spokoju myśl, że mam prawo do swojego domu i muszę tak wyreżyserować sytuację, żeby nie korzystać z pieniędzy Juliana, gdy tymczasem Bogdan z Krystą żyli jak stare dobre małżeństwo. Przesłałam im na życie pięćset złotych, to nie było dużo, ale za nic. Za to, że się urodzili!

Pieniądze z odprawy kurczyły się szybko, byłam w matni. Jeśli nie wyślę kasy, to Bogdan, podobnie jak Rysiek Zośki, wejdzie w kłoszardzi stan. Było tak, że ja jestem na garnuszku Juliana, a z mojego pił Boguś. W prostym rozumowaniu, to Julian utrzymywał Bogdana!

Wjechaliśmy w moją ulicę, nie chciałam żeby Julian zobaczył, jak obrzydliwie wygląda mój dom, ale to byłoby nieuczciwe. Zbliżaliśmy się niechybnie. Stało się! Zza zakrętu wyłonił się Bogdan z... Co to? Na ramieniu mojego męża uwieszona była Kilkakrotna Wdowa, zajęci sobą wcale nas nie zauważyli. Bogdan paradował w nowej puchowej kurtce i białej czapie na głowie, a ona nie była już w żałobie. To ja mam okropne wyrzuty sumienia, gdy tymczasem oni po mojej ulicy beczelnie łążą, jakby nie mieli wstydu.

– Zatrzymaj! – krzyknęłam do Juliana.

– Nie – warknął i pojechał dalej.

Z tego wszystkiego nie spojrzałam nawet na dom i nadal nie wiedziałam, w jakim utrzymują go stanie. Czy niszczeje beze mnie? Czy światło w pokoju Krysty jest zapalone? Wszystkie żarówki? Czy tylko mała lampka z bordowym kloszem? A może jest ciemno, jak w grobie? Czy matka ma się dobrze, czy nie jest chora? Była słabego zdrowia...

– Nigdy więcej mnie na taki eksces nie namówisz. Mnie gęba pętaka nie interesuje. Powinnaś się cieszyć, że wreszcie zszedł ci z oczu, ale radości na twojej twarzy jakoś nie widzę! – Dojechaliśmy do domu, a Julian nadal był oburzony.

– Nie masz racji – zaprzeczyłam, ale on mnie nie słuchał, znikł w swojej pracowni, a ja nie miałam odwagi za nim podążyć.

Myślałam o metamorfozie Bogdana, niewątpliwie był zadbany bardziej niż kiedyś. Poza tym oboje wyglądali na naprawdę ładną i szczęśliwą parę. Z tego wszystkiego oburzenie na Jerzego całkiem mi przeszło. Napisałam krótko:

„Okej, rozumiem, też myślę, że się źle wyraziłam. Wróciłam zmęczona i zziębnięta do domu, idę spać. Elżbieta”

Ale nie zrobiłam tego. Nie było jeszcze dwudziestej. W końcu odważyłam się... Julian pracował, w komputerze przewijał strony, na biurku leżało kilka czytników kart pamięci. Otwartych miał kilka programów fotograficznych i edytorskich. Pogłaskałam go po twarzy. Miałam wrażenie, że schudł, ale może to było tylko błędne odczucie. Zimą wyglądamy na bledszych i bardziej mizernych niż zwykle. Pomyślałam, że w Australii naładujemy akumulatory. Dostarczymy naszym myślom słońca, wygrzejemy ciała i ogólnie damy się słońcu przeświecić. W planach mieliśmy koncert w Melbourne.

– Nie gniewaj się. On mnie nie obchodzi – powiedziałam. – Nie chciał dla mnie być inny, dlatego poprosiłam, żebyś zatrzymał samochód, mogłabym mu to wykrzyzczeć.. Nie chciałam się do niego zbliżyć.

– Nie godzę się z prostym cynizmem, czy męskim, czy damskim, nieważne. Cynizmem. Ale to temat rzeka... Podczas lotu do Melbourne będziemy mieli czas, żeby o tym pogadać. – Julian pocałował mnie w brzuch i wrócił do pracy.

Pokręciłam się po kuchni, zadowolona, że Julian się nie gniewa, że w zasadzie myślimy to samo. Zniosłam mu kubek herbaty z pokrzywą i tran. Sama też zjadłam. Sobie zaparzyłam herbatę malinową i z kubkiem usiadłam przed komputerem.

Malinowa Trufla pisze:

*Wiem, że już idę własną drogą. Spotkałam go, stał na poboczu, zamknęłam na nim*

*spojrzenie, po czym poszłam dalej. Nie oglądałam się, ale jestem pewna, że on tam jest nadal.*

*Chciałabym usiąść przed starą żeliwną maszyną do szycia i mocno deptać pedał. Do przodu. Deptać, deptać. Muszę wzmocnić w sobie przekonanie, że na pewno wyruszyłam. Chcę uwierzyć, że uda mi się iść i iść. Swoją drogą.*

Przeczytałam raz jeszcze swój wpis, a zamykając komputer, zauważyłam e-mail od Jerzego.

„Dziękuję, Elu, śpij ładnie, gdy to piszę, pewnie już to smacznie czynisz, więc się jeszcze piękniej obudź. Pa, Jurek”

## *Zasady dobra rzecz*

Zawsze szczyliłam się, że posiadam zasady. Jak żyć, jak traktować rodzinę, jak świętować i jak podchodzić do pracy. Nawet, jeśli miałyby to być byle jak. Normy postępowania, zwyczaje. Co do ubierania się, wychowania synów, a nawet, i jest to bardzo dziwne, co do współżycia z ludźmi bez zasad. Tak było kiedyś, tymczasem po tych kilku miesiącach od ucieczki z krainy emocjonalnej nędzy poluzowałam swój kodeks.

Moim udziałem stał się nawyk sprawdzania poczty, odpowiadania na e-maile. Od niefortunnego sformułowania: „sytuacja przypadkowego wyboru” zaczęłam się nad treścią wiadomości do Jurka zastanawiać i kilka razy sprawdzać.

Poranki moje były podobne. Śniadanie z Julianem, chrupiące bułeczki, kawa z mlekiem nalewana z dzbanka z porcelany. Fajna rozmowa, na przykład o lubrykantach. Umawiamy się na łózkowe popołudnie w sypialni obok. Julian czmycha do pracowni, ja wybieram się do Starego Browaru, bo mam skompletować rzeczy na wyjazd. Ale otwieram laptop i czytam. A potem piszę!

„Witaj, Jerzy, nie od razu udałam się wczoraj spać, ale obudziłam się ładnie, tak jak mi życzyłeś. Mam zasadę, że przed śniadaniem nie włączam komputera. Generalnie droga według zasad utrudnia kreatywność, ale jednocześnie wiele ułatwia. Jak zapewne czujesz, dzisiaj jestem nastawiona do życia optymistycznie. A jak to jest z Tobą? Pozdrawiam, Elżbieta”

Niepotrzebnie napisałam tak zachęcająco, bo zaraz w moim laptopie odezwał się dzwonek informujący o nadejściu wiadomości. Czasem miałam wrażenie, że Jerzy nic innego nie robi, tylko gapi się w komputer. Czasem zastanawiałam się, czy na pewno jest prawnikiem. Nie wiedziałam, ile ma lat, jaki jest jego status materialny, czy ma wielu klientów, czy nie. A może jest alkoholikiem albo narkomanem. Poza tym w ogóle nie pisał o swojej żonie, o córkach wspominał. O żonie nie.

„Witaj, Kochanie (czyż to nie intymne?), dziękuję Ci za list. Pieścisz mnie w nim, nie mam nic przeciwko, spróbuję też nie nabierać dystansu. Pieszczot nigdy za wiele, szczególnie dobrego samopoczucia z pieszczotami związanego. Co do Twojej usystematyzowanej i skodyfikowanej drogi – też popieram. Zasady muszą być, jest tylko problem, czy zawsze i w każdej sytuacji ortodoksyjnie należy ich się trzymać, bez modyfikacji. Ja ortodoksem nie jestem, aczkolwiek ogólnie zarysowane zasady też posiadam – i to w gruncie rzeczy podobne do Twoich. Może się kiedyś spotkają? Tak myślę, że chciałbym Cię o wiele spraw zapytać. Jakie by Ci tu pytanie na początek zadać? Nie wiem, czy na ten temat już rozmawialiśmy, ale napisz, czy spotkanie się ze mną byłoby dla Ciebie przełamaniem konwencji i czy w związku z tym masz jakieś plany – by się spotkać lub też odwrotnie? Oczywiście i co dalej? Poprzednie zdanie jest brzydko napisane. Proszę Cię, byś potraktowała je życiowo i filozoficznie, a nie w kategoriach szantażu, bo tak mi się w gruncie rzeczy napisało. Innego zdania jednak nie potrafiłem zbudować. Całuję Cię, J.”

„Witaj, generalnie, korespondując w ten sposób, co my, można mieć obawy, czy rzeczywiście rozmawia się z tą osobą, którą sobie z tych strzępów informacji tworzymy.



To jest pierwszy człon odpowiedzi na Twoje pytanie. A drugi – czemu nie? Jeśli będziesz w Poznaniu, zapraszam. Ja do Warszawy się nie wybieram, niestety. E.”

„Elżbieto. Początek Twego listu mnie zmroził. Tak sobie pomyślałem, że te *obawy* oznaczają, że *obawiasz się, że czas kończyć naszą korespondencję*. Nie wiem, dlaczego tak czarno pomyślałem. Ale zaraz pięknie mnie rozchmurzyłaś. Dziękuję. Co do tego, z kim tak naprawdę się koresponduje, to mam nadzieję, że nam, a na pewno mi się utrwaliło, że korespondencja jest z właściwą osobą. Ty to Ty. A ja to ja i chyba razem jesteśmy otwarci na świat. Natomiast zgadzam się, że w wirtualu nie osiągnie się większego stopnia szczerości, a w każdym razie jej oceny. To chyba obiektywnie niemożliwe. Net nie ma takiego sposobu przenoszenia, który pozwalałby usłyszeć, przeczytać, zrozumieć czy dojrzeć to mrugnięcie, spłoszenie czy drgnięcie głosu. Może odkryjemy nowe, nieznane powszechnie, a w każdym razie nam, pasma przenoszenia emocji i rozszyfrowywania tych elementów niechcianych lub niepożądanych w osobach korespondujących. Całuję Cię, J.”

Nie miałam zamiaru poznać go bardziej, ale był tak konsekwentny. To mnie przyjemnie łaskotało. Żyjąc latami z przekonaniem o swojej nikłej wartości, to była jakaś wartość. Żeglowałam po wodach dużo szerszych niż kiedyś. Tak czułam.

## *Nie chcę być instrumentem*

Był tydzień przed Bożym Narodzeniem. Julian skończył książkę o Portugalii i przejrzał poprawki redaktorskie w tekście o Islandii. Usiadł w fotelu i czytał Nietzschego. Ja od rana, nie doczekawszy się e-maila od Jerzego, na drewnianym szkieletniku próbowałam tworzyć własną wizję srebrnego wisiora. Nastawiłam płytę Salifa Keity, którego głos szybował po mieszkaniu. Ciepły, wypełniony tysiącem tęsknot. Ciary szły mi po plecach. Czułam, że mogę wszystko. Mogę pisać, skoro piszę bloga, mogę kochać, skoro Kocham Juliana. Poznałam też Jerzego, czyli stać mnie na przyjaźń. Zawodowo mogę być finansistką czy nawet na powrót zasilić międzynarodówkę księgowych. Mogę nawet tworzyć biżuterię. Świadome tworzenie na pewno nie było łatwe, wymagało wizji, pomysłu i świadomości formy. Tego na pewno jeszcze nie potrafiłam.

Julian podniósł głowę znad książki.

– Zjadłem viagrę i cialis. To co?

– Nie za dużo? Bierz pod uwagę zdrowie. Sporo ostatnio pracowałeś...

– Odrzucasz moje zaloty... – Stał za mną, lizał mnie po szyi. Potem włożył mi rękę w majtki. Byłam gotowa, ręką naprowadziłam go na łechtaczkę, wielką jak brzoskwinia.

– Muszę znaleźć sobie zajęcie, koniecznie muszę... – Wstałam z krzesła, odwróciłam się w jego stronę i przywarłam ciałem mocno, najmocniej.

– Ma ci być dobrze! Po to jestem. Rozchyl się bardziej, uwieś na mnie, nie bój się...

– Nie mogę, bardziej już nie mogę. – Wspięłam się na jego stopy. Byłam rozbita, rozgrzana emocjonalnie, chciałam wykrzyknąć całe moje poszatkowanie. Usiadłam na podłodze i zaczęłam płakać. Wpadłam w żal, płakałam i poprzez spazmy długo nie mogłam nic wykrztusić. Julian dyszał ciężko.

– Julian, nas wiążą nasze wady. One najbardziej ludzi do siebie przyciągają. To jest tylko seks. Boję się – powiedziałam, gdy się uspokoiłam.

Julian usiadł w kucki naprzeciwko i nic nie mówił. Nawet na mnie nie patrzył, podparł głowę rękoma i tak siedział. Wyglądał jak jogin. Nadal płakałam.

– Hamletyzujesz. Nie zmuszaj mnie, żebym z żalu nad brakiem człowieczeństwa u siebie pił wódkę w towarzystwie księżycy. – Podniósł głowę i popatrzył na mnie.

Miałam wyrzuty sumienia. Po co mu wypominam?

– Słuchaj. – Chwyciłam jego dłonie i zaczęłam je całować. – Ja nie mogę tak żyć. Nic nie jest wieczne. Nasza wzajemna fascynacja zaraz minie. Wyczerpiemy limit i będzie na pewno mniej emocjonalnie, i uciekniesz ode mnie. Nie wyobrażam już sobie życia bez ciebie, bez tego wszystkiego twojego. Przystopujmy, poszukam pracy, będziemy się spotykać wieczorami, czasem gdzieś wyjedziemy.

– Jak chcesz. Ale jaką masz pewność, że nie zniszczymy tego, co nas łączy? Pożądania.

– Wolałabym, żeby łączyło nas wspólne jądanie, poglądy, wychodzenie razem, nawet taniec...

– Ależ to wszystko zmierza w zasadzie do tego samego. Do bliskości. Poza tym wychodzimy przecież...

– Nie chcę być instrumentem.

– Nie jesteś. Posłuchaj i uwierz mi. Nasz związek zrodził się z samotności. Nie znałem wcześniej nikogo tak samotnego jak ty. Siedziałaś w tej mordowni, jakby wycięta z innego obrazka... Jak uciekiniarka od pętaka, który potrafi walczyć z przeważającymi wyimaginowanymi siłami, a nie targać się z życiem. To się wyczuwa. Od samotności do seksu jest bardzo niedaleko. Też miałem po dziurki w nosie związków na krótki czas, a nawet na jedną, zresztą bardzo często beznadziejną noc. Ale, żebyś mi nie wygarnęła, że zostawiałem kobiety po nocy: nie, większość z nich zgadzała się ze mną, że seks nam nie wyszedł. Jednocześnie większość z tych kobiet mimo to bardzo chciała ze mną być... Za cenę braku bliskości?

– W tej mordowni ty też byłeś. Też wyglądałeś jak z innego obrazka. Nie można oceniać jednostronnie, bo między płciami tworzą się płaszczyzny duchowe, oczarowanie, u kobiety zawsze tak jest.

– Niech się tworzą, tym lepiej. Ale nie oszukujmy się, w łóżku musi być podniecająco, a w kuchni smacznie i bardzo często pikantnie, i tak dalej, i tak dalej. Coś mnie chyba gorączka łapie, zdrzemnę się. Obudź mnie za godzinkę, pobiegaj po necie.

Julian dawał mi to, czego nie potrafił dać Bogdan, a Jerzy znakomicie uzupełniał Juliana. Tak naprawdę to wszystko mnie bardzo dużo kosztowało. Czytając historię życia Jerzego, moje myśli zaczynały podlegać dyscyplinie, znikła emocja, przychodził spokój.

„Elżuniu, dzisiaj krótko, bo rozpoczynam okres Wigilii. Najpierw podzielimy się opłatkiem w kameralnym gronie w kancelarii, potem z ulubionymi klientami. Potem spotkam się z przyjaciółmi ze studiów i jednocześnie koniarzami w Lesznowoli. Posiedzimy na sianku, powspominamy, życząc sobie radosnych świąt. Mam tam dwa konie, które też potrzebują opłatka. Całuję prawie świątecznie. Jerzy”

„Jerzy, było mi bardzo miło czytać o Twych przedświątecznych spotkaniach. Marzyłam o wielkim świątecznym stole i dużej rodzinie, szczęśliwej, zgodnej, takiej, jaką pamiętam z dzieciństwa. Ciocie, wujkowie, ich dzieci, rodzice, dziadkowie, my – wszyscy tam byliśmy. Stół był odświętnie nakryty, na obrusie nie mogło być żadnej zmarszczki. A tymczasem to, co ja mogę przekazać moim synom, to obraz samotności i oddalenie. Brakuje mi respektowania zasad, poszanowania tradycji, miłości rodzinnej... Chyba jestem na przedświątecznych manowcach. Elżbieta”

## *Rytm wygłodzonego serca, czyli „tachykardia zdiagnozowana”*

Co znaczy słowo „hipokryzja”? Obłuda, kłamliwość, dwulicowość? Moja rozmowa z Jerzym nabierała mocy, i, co gorsze, tempa. Nie potrafiłam skończyć tego dialogu. Znow czegoś nie potrafiłam, tak jak odejść od Bogdana. Albo od matki. Usprawiedliwiałam siebie, że nie wypada, albo, jak w przypadku Jerzego, że to miły i samotny człowiek. Tyle że coraz bardziej mi bliski. I to udawanie przed Julianem, że nie ma Jerzego, hipokryzja mnie przerastała. Czułam się podle. Otwierałam rano e-maila, a towarzyszyły temu takie emocje, aż musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Na rękach miałam gęsią skórkę, a serce mi w piersi waliło, choć w bierności i w udawaniu zawsze byłam mistrzynią.

„Witaj, Elu, Kochanie, właśnie wstałem i rozglądam się, co by tu pożytecznego zrobić. Po pierwsze, córki do szkoły odwiozę, potem chyba pojadę na wieś, zobaczyć, co słychać, wrócę i potem już tylko czeka mnie robota merytoryczna. Pozwy, pozwy i jeszcze raz pozwy. Niestety, także jutro i w niedzielę najpewniej mnie to czeka. Twój wczorajszy list przeczytałem dwa razy. Najpierw wczoraj, szybko, bo nie było warunków do wnikliwości i zastanowienia się. Potem drugi raz, to na razie tyle, na przebudzenie. Buziaki, Jurek”

Zawsze byłam słaba psychicznie, rozedrganie emocjonalne rozsadzało mnie od środka. Poprzedniego wieczoru miałam napady gorąca, potem zimna i znowu gorąca. Po przeczytaniu e-maila wypięłam kawę i colę, a potem wyszłam do miasta. Jeśli chodzi o wigilię, byłam w tyle. Nie kupiłam ryb, nie zamówiłam ciast ani w restauracji nie dokonałam przedpłaty na mięsa. Na myśl o mnogości spraw do załatwienia uruchomił się we mnie pośpiech. Przyspieszyłam kroku, byłam na Rynku Jeżyckim. Stałam w kolejce przy stoisku z suszonymi owocami. Kompot z suszu na stole wigilijnym u mnie musiał być. Już dochodziłam do lady, kiedy... zrobiło mi się znowu gorąco.

W mojej piersi ktoś zmienił bieg! Poczulałam galop mechanicznych koni i elektryczne spięcia. Było mi słabo. Usiadłam na skrzynce po owocach. Zawsze był we mnie strach przed najbardziej ostatecznym momentem, nie przed aktem umierania. Mój strach był bardziej konkretny. Bałam się zamknąć oczy. Tak jak dziecko wyobraża sobie, że gdy ono nic nie widzi, to i jego nie widzą, tak ja wyobrażałam sobie, że gdy zamknę oczy, mnie już nie będzie. Słyszałam głosy: „Co się stało?”, „Zobaczcie, jest biała jak kreda”, „Może to zawał”. I jeszcze: „Niech ktoś zadzwoni po lekarza, straciła przytomność!”.

Nie wiem, ile czasu zamarudziłam w niebycie. W piersi tykał mi zepsuty zegar z kurantem, przy czym kurant poza moim ciałem wydawał dźwięk, który oznaczał pogoń za życiem. Uniosłam się na noszach. Karetka pędziła na złamanie resorów.

Nie! Nie teraz! Nigdy jeszcze nie upiekłam pączków... Nasze wspólne pierwsze święta, Juliana i moje, wciąż były w powijakach. Nie ugotowałam nawet kompotu z suszu, nie ulepiłam pierogów ani też kulek maślanych z limonką! Nie kupiłam nic, by go obdarować. Co tam prezent – nie dowiedział się, że go kocham. I nie usłyszałam, że i ja jestem dla Juliana tą jedną, jedyną, kochaną.

A chłopcy? Nie powiedziałam im, że najważniejsza jest miłość, bo jeśli jej zabraknie, to tak, jakby i siebie nie miało się w całości.

Jerzy. Zapłacze się. Nie odpowiedziałam na jego e-maila!

Nie stworzyłam domu. Nigdzie. Ani z matką, ani z Bogdanem, ani z Julianem. Julianowi do końca nie zaufałam. I wreszcie – nie zabezpieczyłam Bogdana, pieniądze z polisy na długo mu nie wystarczą! Kaszlałam, tak jak mi nakazał kardiolog, napinałam się, ale moje spieprzone serce wciąż waliło.

Na śmierć absolutnie nie wyrażam zgody!

Lęki determinowały moje życie, z tego powodu unikałam konfrontacji. W szkole podstawowej mdlałam przy zastrzykach, w kościele też, finał zwykle następował podczas kazania. Musiałam natychmiast wyjść z kościoła albo mnie wynosili. Wstydziałam się i bałam, że do mojej matki dotrze, że nie kocham Boga. Jeśli się Boga kocha, to się go wielbi! Potem na studiach, gdy po imprezie wchodziłam na Wielką Kopę... Wszyscy weszli, tylko nie ja. Mnie znieśli. „Tachykardia” – powiedzieli w szpitalu. Wstydziałam się wtedy, że koledzy pomyślą, że jestem słaba, niepełnosprawna.

– Częstoskurcz nadkomorowy. Sto sześćdziesiąt na minutę, trudno ustalić ciśnienie, ale to możliwe przy takim tętnie. – Lekarz w izbie przyjęć jeździł mi po tętnicy szyjnej jakimś metalowym przedmiotem. Potem podłączyli mnie do kroplówki.

– Dam pani betaloc i elektrolity. Powinno przejść. Jeśli szybko przejdzie, nie będziemy trzymać pani w szpitalu, bo arytmia nie jest duża. To nerwy – powiedział, gdy serce go wreszcie posłuchało. – Ale proszę leżeć, aż się zaaplikują elektrolity.

Julian pojawił się w szpitalu po kilku minutach. Poczułam się bezpiecznie. Poprosiłam, żeby powiadomił moich synów. Ale on nie chciał, dał mi telefon.

– To nic takiego, nerwy, mówił mi lekarz – relacjonowałam Krzyškowi. – Ma mnie kto odebrać. Nie martwcie się. Nie, nie chcę, żeby ojciec przyjeżdżał.

Zaczęłam płakać. Poruszałam się we mgle niezdecydowania. Lekarz zerknął, jak Julian wychodził, na pewno zauważył, jak patrzę za nim. Słyszał rozmowę z synami.

– To nie jest mój mąż – powiedziałam. Lekarz zdziwiony patrzył na mnie. – Nie jest... bo ja jestem we wszystkim nieudacznicą. To i serce mam nieudane – wyszeptalam, potem znów zaczęłam płakać. – Wylęgam się. – Rozpłakałam się dużo bardziej. Lekarz się uśmiechnął i chwycił mnie za rękę, sprawdzał puls.

– Proszę tak o sobie nie mówić. Szybcioro dała sobie pani radę.

Poczułam się maleńką, kochaną dziewczynką.

– Jeszcze niedawno powiedziałabym, że to jest pierwsza pochwała od wielu lat.

Julian wrócił z kartą informacyjną w ręce. Publicznie okazane łyzy dobrze mi zrobiły. Zaczęłam się z siebie i ze swojego znerwicowanego serca śmiać.

Wieczorem w domu rozmawialiśmy o harmonii, a ja biłam się z myślami, co najbardziej zakłóca moją. Otwierając laptop, oficjalnie przyznałam się Julianowi, że chcę sprawdzić pocztę. Jego to nie zainteresowało. Byłam gotowa opowiedzieć mu o Jerzym. Tylko co? Że korespondujemy? Dotąd często odbywałam z facetami różne rozmowy i nie wpadłabym na to, żeby ich treść przekazywać Bogdanowi. Zaczęłam czytać e-maile, mogłabym nawet na głos, ale Juliana duchowo już nie było. Wrócił do Nietzschego, zapomniał o nas. Po kilkunastu minutach odłożył książkę.

– Skończyłeś? – zapytałam.

– Wezmę jednak Kierkegaarda *Bojaźń i drżenie*. – Julian zdjął z półki tomiszczę i od razu zatopił się w lekturze. A ja też się oddaliłam, w stronę zwierzeń Jerzego. W bojaźni, w drżeniu, w dylematach, w zastanowieniu.

„Witaj, Elżbieto, wracając do Twojego e-maila, wiesz... już pewnie wyczuwasz, jak jesteś bliska mi emocjonalnie. Czytam Twoje *między wierszami*, a jakbym słuchał własnej opowieści o niebycie. To smutne, gdy dwie osoby czują to samo, a mogą w zasadzie tylko tak pomyśleć i napisać. *Pomyśleć i napisać* to zdecydowanie za mało. Nie wolno trwać w takim życiu. Bo nie mamy czasu, by coś zmienić? Bo się boimy? To za mało...

Wiesz, idzie dobre. Jutro około południa rozpoczyna się astronomiczna zima, a to oznacza, że zacznie się czas wydłużać i pomału można się przygotowywać do wakacji letnich, a wcześniej do dłuższych wiosennych dni. Odwrotnie przeżywam pesymistyczne przesilenie letnie w czerwcu. Potem już tylko coraz krócej i można kupować prezenty gwiazdkowe. A co do świąt, to oczywiście rodzinie, cała rodzina mieszka w Warszawie, pobędę tu i ówdzie, trochę się podje i posiedzi przy stole. Pogodę zapowiadają paskudną, raczej nie na eskapady, chyba że wyjdzie coś spontanicznie. Teraz skończyłem wigilię w gronie kolegów z kancelarii, potem lecę coś jeszcze załatwić, a później złożę życzenia kolejnym klientom. Czyli piękny przedświąteczny czas. Pozdrawiam optymistycznie i całuję mocno. Jerzy”

Tej nocy spaliśmy długo i w objęciach. Z ramion Juliana, w których się wreszcie uspokoiłam, nie było wyjścia. Spadły ze mnie kilogramy i napięcia kilku dziesięcioleci.

## *Oni by się ciągle żarli*

Boże Narodzenie w swoim życiu przeżywałam na różne sposoby. Gdy byłam dzieckiem, stroiłam choinkę łańcuchami z kolorowego papieru i cukierkami. Zapalałam najprawdziwsze świece i wieszalam pierniki. Zawsze był ogień w kaflowym piecu i wielka choinka wycięta z własnego lasu. Było też mnóstwo prezentów, o niewielkiej wartości, ale jakże ważnych! Dziadkowie dbali o atmosferę.

W ostatnich latach święta spędzaliśmy we troje bądź we czworo. Łamaliśmy się opłatkiem i składaliśmy sobie „dotykające do żywego” życzenia. To znaczy, od Krysty słyszałam wciąż to samo: „Żebyś wreszcie zmądrzała!”, a od Bogusia: „Byś w nadchodzącym roku skończyła z czarnymi myślami. Trzeba myśleć pozytywnie!”. Marcin niezmiennie życzył mi zdrowia i, w zależności od tego, na co w mijającym roku umarł ktoś z naszej ulicy, naciskał, żebym poszła się prześwietlić, gdy było zejście na raka, bądź żebym zdiagnozowała się holterem, gdy ktoś zszedł na zawał. Ja odbijałam piłeczkę do Krysty, życząc jej, a raczej sobie: „Żebyś wreszcie nas pokochała”, a Bogusiovi: „Żeby w końcu praca znalazła ciebie i się z tego powodu bardzo ucieszyła!”. Kiedy dochodziło do życzeń dla Marcina, wzruszenie odbierało mi mowę, wieszalam się mu na szyi, pochlipując i szepcząc, że go tak kocham. Grzybową i karpia zjadaliśmy w ciszy, a przy kompocie z niemieckiego suszu pozostawałam przy stole już sama z Bogusiem. Marcin jechał do swojej dziewczyny i razem szli na pasterkę. Krzysiek zaś dzwonił po dwudziestą pierwszą, zapewniał, że kocha, i Kasia niby też, ale wpadali dopiero na obiad w drugi dzień świąt. Wtedy powtarzała się scena jak z Marcinem. Wisiałam mu na szyi dotąd, aż nie udało mu się mnie „strzepnąć”.

W tym roku Marcin zaplanował święta z kolesiami w Zakopanem, a Krzysiek z Kaśką mieli jechać do jej rodziny, w lubelskie. Synom pozwalałam kroczyć własną drogą. W moim domu zaś było inaczej, to mnie rodzice mówili, jak mam żyć. Czyli tak samo jak oni. Buntowałam się, a jakże, ale nieskutecznie.

Gdy rano opowiedziałam moją historię Julianowi, usłyszałam:

- Ty w ogóle do swojej rodziny nie pasujesz! Oni najchętniej by się ciągle żarli.
- Nie wszyscy, Krzyśka i Marcina nie znasz.
- Szybko z domu uciekli i uratowali charaktery.
- To nie jest jeszcze takie pewne. Boję się, bo to przecież ja im dałam w posagu nędzę i skonfliktowaną rodzinę.

Tego dnia pojeździliśmy po marketach i większość produktów świątecznych była już w lodówce. Te święta miały być dla nas próbą, sami, przed podróżą na drugą półkulę, miało być tradycyjnie. Zadowolona, że pierwszy raz nie muszę znosić do domu ton jedzenia, udałam się do fryzjera, już nie do osiedlowego, ale jeszcze też nie do Lucjusza!

Po dwóch godzinach wróciłam z ciemnymi włosami i nową, krótszą fryzurą, z puszystą grzywką. Czułam się w nowej skórze dużo lepiej, kompleksy się przytłumiły, byłam wyspana i wypoczęta, a rozbudzona erotycznie okrywałam się rumieńcem na samą myśl o seksie.

- Ładnie ci tak. – Julian nie musiał tego mówić. Jedno jego spojrzenie wystarczało

mi za lata bez męskich spojrzeń.

Kiedy godzinę później wniósł choinkę i pudło ze złotymi bombkami, poczułam się spokojna i wreszcie bezpieczna. Choinkę postawił w stojaku, zapachniało, zabrałam się za jej ubieranie. Włączyłam kolędy.

Wieczorem siedliśmy przy drzewku, w świetle z lampek choinkowych. Trzech tenorów śpiewało nam kolędę.

– Czuję się tak, jakby mi ktoś czytał książeczkę, którą znam przecież doskonale, bo sama czytałam ją moim małym synkom. To była bajka, a oni w nią wierzyli... Tak jak i ja teraz w coś wierzę...

– Pamiętasz początek tej bajki?

– A pewnie. *„Leciały przez obłoki trzy smoki w świat szeroki. Wiatr wieje, noc zapada, do smoka smok powiada: są cuda na tym świecie, o których nic nie wiecie!”* I tak dalej, i tak dalej. Ja już wiem dużo o cudach. Ty jesteś moim cudem, to, że się spotkaliśmy, jest cudem, my jesteśmy cudem...

– Życie, że trwa, że udaje się z niego sporo wycisnąć, to jest cudem największym...

Malinowa Trufla pisze:

*Jeszcze pół roku temu nie wyobrażałam sobie, że odrzucę to, co mnie męczy. Zapomnieć jest najłatwiej, ale uporać się z wyrzutami sumienia już nie. Gdybym mogła pomóc tym wszystkim głupcom, którzy uważają siebie za mędrców! Wrócę tam kiedyś, ale teraz wolalabym pogłaskać kotka... mimo że jestem uczulona na sierść...*



## *Lody na patyku*

Dzień przed Wigilią był mroźny. Około dziewiątej rano, ledwie się obudziliśmy, zadzwoniła Kinga. Chciałam, żeby tak było. Żeby zadzwoniła i się pokajała. Zachowała się nie fair, bo długi trzeba regulować. Liczyłam na Kingę, bo łatwiej się żyje w harmonii. Większość z nas przed świętami Bożego Narodzenia chce pozamykać stare sprawy. Nie trzymałam długo urazy.

Z ochotą wybiegłam na spotkanie w kawiarni Gruszeckiego na Starym Rynku. To nijaka cukierenka, wąska kicha, ciemna, ale kiedyś jadłam tam bardzo dobry tort chałwowy.

Kinga pojawiła się odstawiona, wyglądała dużo młodziej. Kiwnęłam na nią ręką. Na krzeselko rzuciła czarny długi płaszcz z haftowanej grubej tkaniny. Usiadła, zakładając dużo szczuplejszą niż kiedyś nogę na drugą, także dużo szczuplejszą. Spojrzała na mnie z wyraźnym zaciekawieniem. Tak mi się wydawało.

- Znakomicie wyglądasz, Becia, naprawdę. Słyszałam, że już nie mieszkasz z rodzinką. Służysz ci to, nie powiem. Seks? A nie mówiłam? Czemu lata całe gubiłaś kolor w tej wypłowiałej słomie? W kasztanowych włosach jest ci rewelacyjnie!

Poczułam się bardzo ukontentowana! O to mi chodziło! O moje na wierzchu!

- Zakopmy topory – kontynuowała Kinga. - Tyle lat, po co się na siebie denerwować?! Miałam już wczoraj zadzwonić, ale się zwyczajnie bałam. No bo wiesz... te pieniądze... - Kinga, mówiąc to, skubała widelczykiem sernik.

- Tak jakby były najważniejsze... - Niestety, nie nauczyłam się jeszcze w dyplomatyczny sposób wygłaszać prawdziwych myśli. Czyli że nie odpuszczę jej ani grosza.

- Połowę ci dzisiaj wyślę, a drugą za jakiś czas...

- To dobrze, bo będę miała dla Bogdana...

- Ty go utrzymujesz? Widziałam go z jakiś miesiąc temu z takim małym i chudym stworzeniem w mini. Nogę na nogę zakładała jak w *Nagim instynkcie*, a wyglądała dużo starzej od nas. Bogdan całkiem zadowolony się wydawał. Swoją drogą, trafił na taką samą idiotkę jak ty, tylko się nie obraż. Przyszło do płacenia, wtedy to małe coś portfel mu pod stołem podawało. Żeby wyglądało, że to on zapłacił. Ja od dawna rozliczam się z samcami po połowie. Nie ma wtedy żadnego: „wybacz”, zobowiązań i innych rozliczeń... Fifty-fifty...

Potem Kinga opowiadała, że na dobre związała się z Mirkiem, że nieważne są dzieci, a w zasadzie „stare konie”, które zaczęły już jej dom dzielić. Że po jej śmierci syn chce mieć dół, a córka górę... Była oburzona.

- Na Mirka przepisałam połowę firmy i jeszcze dom mu przepiszę. Może mi odbiło, ale to z nim mi jest najlepiej, to on dba o mnie, o dom. Wreszcie się zakochałam, i z wzajemnością.

Wracałam na Sołacz w bardzo dobrym nastroju. Planów majątkowych Kingi nie brałam na poważnie. Ot, chwilowe rozgoryczenie rodziną, które najpewniej szybko jej minie. Nie mogłam się jednak wyzwolić od myśli o spotkaniu Bogdana z Zośką. Co

innego Kilkakrotna Wdowa, ona mogła zawrócić mu w łepetynie, nawet będąc niezamożną. Ale Zośka?! Nie. Ona nie. Czy motto każdego żigolaka brzmi: „To prawda, że nie masz już talii a haluksami straszysz na kilometr, ale przecież dobrze zarabiasz i masz dom! Jesteś więc atrakcyjna”?

W domu było cicho. Julian zawsze słuchał jakiejś muzyki, tym razem było głucho. Rozebrałam się i zajrzałam do wszystkich zakamarków. Julian leżał w sypialni na łóżku pod dwiema kołdrami. Na mój widok uniósł się na łokciach i słabym głosem poprosił mnie, żebym kupiła lody na patyku. Dotknęłam jego czoła. Nie było gorące. Zeszłam do sklepiku. Były, o różnych smakach, nawet owocowe, które wydały mi się lepsze niż waniliowe bądź czekoladowe. Były bardziej odświeżające. Kupiłam te lody i przyniosłam.

– Nie powinieneś chyba jeść zimnego – powątpiewałam. Wyszłam do kuchni, stamtąd usłyszałam cichy głos Juliana:

– Proszę cię, wyłącz mnie...

– Coś ty powiedział?

Na pewno się przesłyszałam! Zbliżyłam się do łóżka i jeszcze raz położyłam mu rękę na czole. Nie było gorące, ale Julian miał rumieńce, był spocony i mówił od rzeczy.

– Proszę cię, zrób to dla mnie... Jesteśmy tylko przechodniami.

– Co ty mówisz? Jesteśmy w domu. Zmierz gorączkę. – Sama włożyłam mu termometr pod pachę. – Jeśli nie masz, zadzwonię po pogotowie. Nie, od razu zadzwonię.

Zrobiłam to. Julian robił się na przemian blady i czerwony, potem znów jakby tracił przytomność.

– Będiesz nieśmiertelny. Uwierz! Nie wyobrażam sobie inaczej. Sama też chciałabym żyć sto lat albo i dłużej. Wysił się, proszę cię, Julianie. – Patrzyłam śmiertelnie przerażona, widząc, jak z trudem łapie powietrze.

Gdzie to pogotowie!?

– We wszystkim jest przemijanie i trzeba się z tym pogodzić, a nie udawać, że końca nie ma... Rozczarowałam cię... – wyszeptał i osunął się na poduszkę.

Strach kierował moimi myślami.

– Nie zawsze miałem potencję, miałaś za dużo czasu między moimi wzwodami. – I znowu stracił siły.

Lekarz był zdecydowany. Wyciągnął całą maszynę, zarejestrował rytm serca, osłuchał, podniósł Julianowi powieki i zadecydował:

– Szkolna, bierzemy męża na neurologię. Za jakąś godzinę może pani zadzwonić.

– Ale, panie doktorze, proszę mi powiedzieć, co się stało? Jaki jest stan? – Byłam przerażona, odprowadziłam nosze z Julianem do drzwi.

– Po badaniach będzie wiadomo. Proszę kontaktować się ze szpitalem.

Dzwoniłam kilkanaście razy, nic nie było wiadomo. Przedstawiałam się jako żona. Wtedy dotarło do mnie znowu, że Julian to znany podróżnik, autor kilku przewodników, a ja szara jak mundurki w Korei. Nawet nie konkubina! Nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Krzysiek i Marcin szusowali na stoku, Kinga zajęta była Mireczkiem i miała wyłączony telefon. Został mi tylko blog.

Malinowa Trufla pisze:

*Niewątpliwie zawsze była we mnie tęsknota za kobiecością według bardzo prostego scenariusza. Że jestem, używam wszystkich zmysłów, żyję, pracuję, posiadam zdolność do kochania, zainteresowania. Wady też mam. I jest On, któremu się jeszcze coś chce. Na przykład zaskoczyć mnie czymś pozytywnym, wiedzą, nowoczesnym poglądem, myślą jasną, ciekawością świata. Podziwiam Go. On chce jeszcze coś dla mnie zbudować albo w tym budowaniu wspomóc. A ja mu na to pozwalam.*

Znowu zadzwoniłam do szpitala. Była noc, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. I wtedy się dowiedziałam. Już drugą godzinę trwała operacja. Posłano po profesora Ziomeckiego i to on właśnie stał przy stole operacyjnym.

– Co się stało? Proszę mi powiedzieć!

– To pani nic nie wie? Mąż od lat miał tętniaka mózgu. Doskonale wiedział o zagrożeniach. Proszę zadzwonić nad ranem.

Byłam niepokojem, bryłą zbitego strachu. Gdyby mi wyraźnie nie zakazano przyjazdu do szpitala, byłabym tam już dawno. Zawinięta w koc z australijskich merynosów czekałam na szóstą rano. Będę czekać przed salą operacyjną. Bo kocham. Bo tęsknię. Bo się bardzo boję. Jestem paniką!

Są zakazane słowa i zwroty, na przykład: „Teraz jestem szczęśliwa, nareszcie wszystko nam się ułożyło”. Nie wierzyłam w wieczne szczęście, przyzwyczajona do złego, wyłącznie złych momentów wyczekiwałam. Bałam się, że kiedyś nadejdą. Moja podświadomość rywalizowała z nadzieją na odmianę. I wygrywała.

## *Everybody's happy*

Późną nocą wsłuchiwałam się w odgłosy domu i przeglądałam w necie strony na temat zabiegów na mózgu. Nie były optymistyczne. Nie mogłam się pozbierać, mimo że zjadłam oxazepam. Nawet się modliłam, chociaż w kościele widziano mnie kilkanaście lat temu. Ale pamiętałam *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario*. Wyciągnęłam nawet różaniec, który od kilkudziesięciu lat, czyli od zakupienia go na Jasnej Górze, nosiłam w torebce.

Jednak w końcu przysnęłam. Obudziłam się około siódmej. Różaniec leżał na podłodze. Zmieniłam ubranie i bez mycia się zeszłam do sklepu. Jak bezrozumny manekin zbiegłam na dół, by zrobić to, co codziennie wykonywał Julian. Pobiegnęłam kupić pieczywo! Bo chciałam, żeby na śniadanie zjadł ciepłą bułkę z czosnkiem w środku? Bardzo je lubił. Czosnek jest bardzo zdrowy!

W piekarni była bardzo długa kolejka, wiadomo, każdy chciał kupić pieczywo na całe święta. To nic, że potem zostawało. Że ptaki miały co wygrzebywać ze śmietnika. Mój dziadzio dbał, aby chleb się nie marnował. Odsmażany się jadło, maczany w mleku. Różnie. Ale jego pokolenie zaznało głodu, nasze nie.

Wracałam do domu z torbą pieczywa, a na klatce schodowej pachniało cynamonem, goździkami i grzybami. Nie miało to tym razem dla mnie znaczenia. Do wczorajszego dnia żyłam, jakby czekała mnie wieczność, jakbym doświadczyła harmonii. Miałam pewność, że Julian żartuje, mówiąc, że coś dla mnie będzie od niego testamentem. Zrozumiałam, że mówił to świadomie. Truchlałam na myśl, że te jego słowa mogłyby być prorocze.

Do szpitala pojechałam taksówką. Nikt tam nic nie wiedział. Stałam za szklaną ścianą, a za nią było wszystko, co moje. To znaczy Julian. Czekałam na lekarza, tak poradziły siostry. W końcu pojawił się asystujący profesorowi podczas operacji lekarz. Był bardzo zmęczony. Na jego czole trudy operacji na chorych mózgach wryły szachownicę. Zaprosił mnie do gabinetu. Usiadłam.

– Niestety, mąż zmarł na stole operacyjnym. Na krótko odzyskał przytomność, ale to wszystko dobre, co mogę powiedzieć. Przykro mi, gdyby wcześniej zdecydował się na operację... Rok, dwa lata temu...

Ta wiadomość nie dotarła do mnie w całym potwornie bolesnym wymiarze. Próbowałam coś negocjować z Bogiem, ale śmierć jest nieodwracalna. Koniec! Nie było mojego świata! Runął. Roztrzaskał się.

Wybiegłam z gabinetu, na korytarzu usiadłam na ławce. Patrzyłam na pacjentów w otwartym pokoju naprzeciwko mnie. Dwóch było nieprzytomnych. Gdybym mogła zapłacić każde pieniądze, tam na górze, i wyżebrać czas dla nas...

– Skąd się dowiedziałas!?! – usłyszałam znajomy głos.

– Nie wiedziałam, przyjechałam i powiedzieli mi, że nie żyje... – Łzy potoczyły się po moim policzku strumieniami. Ktoś chwycił mnie za ramię. Powoli odwróciłam głowę.

– Niemożliwe! Przecież przed chwilą rozmawialiśmy! Żyje. Przywiozłem pampersy.

Bogdan usiadł obok mnie. Patrzył, jak płacę, jak skurczona siedzę na ławce. Dotknął mojej ręki. Odepchnęłam ją jak skażoną substancją promieniotwórczą.

– O kim ty mówisz?! Nie żyje! Nie wchodź między nas, ty akurat nie wchodź! – Gwałtownie wstałam, zakręciło mi się w głowie.

– Usiądź, nie denerwuj się. Twoja matka żyje, ma lekki niedowład, ale jest przytomna, wyjdzie z tego.

– On umarł! Jaka matka? Ja nie mam matki już od dawna. Gdzie ona jest? Jaki niedowład?

Słuchałam opowieści Bogdana jak o kimś mi obcym. Że wczoraj przyjechała Aga i jak zawsze długo ze sobą rozmawiały, szeptały. Potem Krysta wyszła z pokoju i krzycząc, jak to ona, kazała mu oddać wszystkie klucze. „Przecież nie oddam jej kluczy, gdzie będę mieszkał?! Przecież wreszcie dostałem pracę!” Zawołała z pokoju Agę i od piętnastej do dwudziestej siedziały przy drzwiach, żeby nie wyszedł. I żeby w końcu oddał klucze. Ale Krysta już wtedy jakaś dziwna na twarzy była, spuchnięta, czerwona...

– Co mnie teraz to obchodzi? Teraz, gdy umarł Julian! Gdy nie mam już nikogo?! – przerwałam mu brutalnie.

– Ja jestem... Musimy zacząć jakoś żyć. Bo to jest twój dom. Ty robiłaś remonty, naprawy, serce tam zostawiłaś... A teraz mamy oddać klucze? To chyba chodzi o to, żeby Aga tu zamieszkała, bo ponoć się rozwodzi z mężem. Według mnie ta wiadomość rozwalila Krystę zupełnie. Przecież tak się nimi chełpiła! Tak nami pogardzała. Tobą. Mną. Naszymi chłopakami! A teraz co? Co wyszło z worka? Cała hipokryzja, udawanie. Ale nic. Aga pojechała na dworzec po dwudziestej. A wtedy Krysta zaczęła skakać, rwać sobie z głowy włosy. Krzyczeć, że zawoła sąsiadów. Że ją źle traktuję, że chciałem ją zgwałcić. Zgwałcić! Przecież zamknęliby mnie za znęcanie się nad staruszką na lata! Poszedłem do naszego pokoju, a ona trzaskała krzesłem o drzwi. W końcu ucichła. Myślałem, że doszła do rozumu, po jakichś dwóch godzinach wyszedłem... Leżała na podłodze i wyciągała rękę w moją stronę. Żebyś widziała jej wzrok! Pierwszy raz w życiu widziałem, jak prosi. Zadzwoiłem po pogotowie, i jest tutaj. Udar mózgu.

– On umarł, dobry, kochany. Zostawił mnie. Odszedł. A ona, zła taka, żyje. Dlaczego? Bogdan, powiedz mi, dlaczego?

– Może ona coś wreszcie przemyśli? Nic innego nie mówiła, gdy ją brali do szpitala, jak tylko: „Nie mów jej. Nie mów!”. Ciebie miała na myśli. Musi ją to wszystko mocno boleć. Że jeśli się coś stanie, to nie Aga jej pomoże. My jesteśmy obok, my się nią opiekujemy, czy chce, czy nie. Może wreszcie wykorzystasz tę sytuację do zaprowadzenia normalnych relacji z matką. Wróć do domu.

– Nie mogę. Muszę się pożegnać... Jeszcze nie mogę. – Oparłam się na ramieniu Bogdana i zaczęłam płakać. Nie wiem, ile to trwało. Raczej bardzo długo.

– Przemyślałem, zmieniłem się, pracuję...

Spojrzałam na swoje dłonie, na zawiniątko z bułkami czosnkowymi, na pąsowe róże, dla Juliana. Wszystko zeszło z żalu. Jak ja. Miałam ten żal w sobie. Jak mam go wwieźć do domu, który jest już i tak bardzo naszpikowany moim wcześniejszym żalem?

Wyszłam ze szpitala. Pożegnałam Bogdana. Bez celu błąkałam się po Starym Mieście. Nie czułam ani mrozu, ani wiatru, ani atmosfery świąt. Czułam ból tak wielki,

taką żalność, jaką może czuć kobieta, która tylko na niewielką chwilę narodziła się na nowo. Pokochała, aby od razu być w żałobie. Serce miało mi za chwilę pęknąć, to nic, nie zależało mi na dalszym życiu. Beznamiętnie odebrałam telefon od Krzyśka.

– Mamo, może ci pomóc?

– Ja go tak bardzo kochałam...

– Ale ja mówię o babci!

– Ona?! Żyje, tak, żyje. A on... umarł... I wszystko skończyło się wraz z jego odejściem... – Nie dokończyłam.

– Julian? Mamo, nie wiedziałem. Wróc do domu. Wróc... Obiecuj mi. Zaraz zadzwonię do ojca.

Potem rozmawiałam z Marcinem. Opowiedziałam mu o Julianie, o tym, że on mnie traktował jak królową. Julian dawał mi siłę do walki o siebie. Opowiedziałam też mojemu synowi, że kochaliśmy się bez wstydu, nieskromni. Julian dał mi potęgę. Wierność? Czym jest? Zasadą zaledwie. Wcześniej nie mogłabym nawet zrobić nic z domem rodzinnym, bo nie wiedziałam, że życie może być inne. Mieliśmy tyle planów... na przykład lecieć do Melbourne... muzyki posłuchać. Rozmawiając z Marcinem, zrozumiałam, że znalazłam odwagę na szczerłość.

– Mamo, kocham cię.

W domu pozbierałam swoje rzeczy, potem oderwałam kartkę naklejoną na lodówce. Adres Piotra Sobkowiaka napisany ręką Juliana wzruszył mnie po raz kolejny. Z westchnieniem otwierałam laptop, w skrzynce było mnóstwo nowych wiadomości. Ale ja wpisałam adres Piotra i napisałam e-maila.

„Pana ojciec nie żyje, kochałam go. Kocham nadal. Elżbieta”

Od razu zadzwonił telefon.

– Ja też go bardzo kochałam. Tętniak?

– Tak. Gdybym wiedziała, gdybym tylko wiedziała... Powinnam była się domyślić. Mogę się pożegnać z nim, z domem, z jego rzeczami? Wyprowadziłabym się nie później niż do końca roku. Teraz byłoby mi bardzo ciężko.

– Wszystko uzgodnię z rodziną. Postaram się niezwłocznie przylecieć do Polski.

Malinowa Trufla pisze:

*Zapytała mnie kiedyś mała dziewczynka, co to znaczy „cudzołóżyć”. Nie potrafiłam jej odpowiedzieć, bo sama tak naprawdę nie akceptowałam zdrady. Ale paradoksalnie moje życie składało się przeważnie ze zrad. Zdradzałam i oszukiwałam siebie, a życie biegło i nie było dobre. Kiedy wydało mi się, że wreszcie jest inaczej, skończyło się moje szczęście. Było mi przeznaczone na chwilę. Czy to wystarczy? Gdybym została w cieniu zmurszałego drzewa, nie zobaczyłabym nigdy promieni słońca. W sferach niebieskich wyblagałam klucz do wyobraźni i dostałam w prezencie pogląd, który zmienić może cały mój błędny tok myślenia.*

Po...

I minęło kilka następnych dni, które najchętniej wymazałabym z kalendarza. Pierwszą moją myślą po powrocie ze szpitala było, żeby wynająć kawalerkę na mieście. Drugą, że żałobę powinnam odbyć przy chorej matce, czym sama sobie wymierzyłabym karę. Za złe potraktowanie Juliana, za brak zaufania.

Co robiłam całymi dniami, dokładnie nie pamiętam.

W pierwszy dzień świąt szpital przy Szkolnej działał w trybie świątecznym. Byłam umówiona z profesorem, który specjalnie dla mnie tam przybył. Skąd wiedział, że ze mną akurat powinien rozmawiać? Byłam nierodziną, niezoną. Bytem nieważnym w świetle ostrych szpitalnych procedur. Doświadczyłam tego dzień wcześniej, kiedy chciałam odebrać akt zgonu i rzeczy Juliana.

– To był mój przyjaciel, taki ze szkoły średniej jeszcze, stąd wiem, że należą się pani wiadomości – profesor był miły. – On zawsze uciekał, w romanse, w nowe związki, w nowe zajęcia. Mówiłem mu, że to go kiedyś zabije. Śmiał się, on często się śmiał. Ktoś mógłby go wziąć za lekkoducha, ale to była jedna z jego masek. Mawiał, że nie znalazł jeszcze prawdziwej namiętności. Takiej, poza którą nic się nie liczy. Wchodzi się do łóżka i już nie chce się stamtąd wychodzić, ani do pracy, ani żeby coś zjeść. Nie znalazł, mówił jeszcze rok temu. Gdy go ostrzegłem, że tętniak jest groźny, że powinien uważać, przystopować z emocjami, z pożeraniem życia, zaśmiał się tylko. Wybrał życie, cokolwiek to w tej sytuacji znaczy...

Patrzyłam na profesora jak na kolejnego Anioła, który przybył z nieba i ma stamtąd stosowne upoważnienia. Był niemłody, szpakowaty, wysoki, w swetrze z dobrej wełny, a co najważniejsze, z troską patrzący na mnie zza grubych okularów.

– Mówił zawsze o naszej bliskości, o fascynacji, ale jednak nie znalazł we mnie nic takiego, co kazałoby mu zwierzyć się mi ze swej słabości. To czy ja byłam mu naprawdę bliska? Wątpię.

– Nie przyjął wiadomości o tym tętniaku, może to panią pocieszy. Może chciał zapomnieć, a może... Nie, to byłoby do niego niepodobne...

– Może co? Proszę powiedzieć.

– Chciałem powiedzieć, że może chciał sobie ten ostatni rok ubarwić. Gdy na chwilę odzyskał przytomność, tuż po operacji, mówił coś o Melbourne, bardzo niewyraźnie, ale tak zrozumiałem.

– Mieliśmy tam lecieć...

– Nie w tym życiu, przykro mi... Czy jeszcze mogę coś dla pani zrobić?

– Nie, nic, dziękuję... Chociaż może... – Zastanowiłam się. Potem dodałam: – Panie profesorze, tutaj na oddziale leży moja matka, nie chciała mnie widzieć i ja też nie znajduję dość siły, żeby teraz szukać z nią bliskości. Proszę powiedzieć, co jej grozi.

Wystraszyła mnie moja prośba. Zapowiedź powrotu do tamtego...

– Udar nie był rozległy, ale i tak jest porażenie. Prawa strona. – Przeglądał kartotekę. – Niestety, nie została reanimowana w pierwszej godzinie, a to zawsze gorzej. Ale wyjdzie z tego, chociaż w tym wieku każdy udar jest poważny... Proszę być

w kontakcie z lekarzem prowadzącym.

– Zawsze zabierają nam tych dobrych, żebyśmy tęsknili, cierpieli... A zostają ci gorsi, niedobrzy... Po to, byśmy mieli szansę na odmianę naszych złych relacji? Przepraszam, ale to ona mogła umrzeć, nie on! To nie jest sprawiedliwe!

– Sprawiedliwość, przepraszam za bezceremonialność, zawsze zostaje przed szpitalnymi drzwiami. Na oddziale już jej pani nie znajdzie. Dlatego starajmy się być sprawiedliwi dla żywych. To zawsze matka...

Jakby mi ktoś wymierzył policzek. „To zawsze matka!” Tak jakbym nie wiedziała! A kto przeprowadził się do jej domu, żeby ją wspomóc?! Czy taka matka zasługuje na życie? A może jej kalectwo jest karą? Żeby zrozumiała?

W domu natychmiast weszłam do Internetu. I na Allegro.

Aukcja 187223456

Kołatka od razu wpadła mi w oko. Była ciężka, metalowa, jak stara. Nie bawiłam się w licytację. Skorzystałam z opcji „Kup teraz”. To nic, że drożej. Będę mogła na nią patrzeć, będzie mnie cieszyć, wynagradzać coś, pocieszać. Potem zobaczyłam kulę z chryzoprazu. Też kupię! Będę ją trzymać w dłoni. Nie, za duża! Albo w kieszeni. Za ciężka! Będę ją codziennie rano myć w ciepłej wodzie, położę na parapecie. Słońce ją wysuszy. Niech wysuszy i mnie... Niech zasuszy i moje łzy... Chcę być kamieniem!

Całe popołudnia i noce spędzałam w naszej sypialni. Rozmawiałam z Julianem, najpierw o niczym. Potem zapytałam, dlaczego umarł. Nic nie odpowiedział. W pierwszy dzień świąt nad ranem wydawało mi się, że słyszę szmer. Usiadłam na łóżku i poprosiłam, żeby zszedł do mnie po drodze wyznaczonej przez odrzutowce. Wtedy przez chwilę słyszałam jego charakterystyczny chichot. Wsłuchiwałam się, czy się nie powtórzy. Nie zdarzyło się to do rana. Widać i tam, w niebie, romansuje... Znowu ta zazdrość! Te podejrzenia! Ta zaborczość!

Jesteśmy szpetni! My, tutaj, na ziemi.

W drugi dzień świąt w szpitalu miał dyżurować lekarz prowadzący moją matkę. Zastałam go w gabinecie.

– Bardzo pani współczuję z powodu śmierci Juliana Sobkowiaka. To dla nas wszystkich wielka tragedia, znaleźmy go osobiście. Był bardzo sprawnym człowiekiem. Któż z nas, lekarzy, nie dysponuje anegdotą o nim?! Nie chciał się operować, ale często wpadał. I zawsze dowcip miał, jakąś historyjkę. Takie jest życie. Teraz jest pani potrzebna swojej matce. Zaproponowałbym dla pani mamy ośrodek rehabilitacyjny, w początkowej fazie możecie sobie państwo z opieką nie dać rady. Wiem, co mówię, bo moja matka jest po dwóch udarach... To bardzo ciężki etap, ten poszpitalny. Pacjent nie wstaje, ale układ wydalniczy działa normalnie. Pacjent je więcej niż poprzednio, więc może pani sobie wyobrazić, jaką siłą musi pani dysponować...

– Na czym polega opieka w tym ośrodku?

– To wczesna poudarowa opieka w zasadzie dla odciążenia rodziny. Miałaby pani miesiąc, żeby przywyknąć do nowej sytuacji.

– A czy są ćwiczenia rehabilitacyjne?

– W zasadzie ze dwie godziny tygodniowo. Mało, ale dla pani ta sytuacja byłaby



wygodniejsza.

– Panie doktorze, raczej nie...

– Nie wiem, czy dacie sobie państwo radę, dlatego zaproponowałem...

– Zatrudnię pielęgniarkę i poszukam rehabilitanta. Ona musi wyjść z niepełnosprawności. Boję się, czy będzie chciała, zawsze była taka... daleka ode mnie i...

– Niesprawna?

– Nie, leniwa. I uczuciowo obojętna. Wroga w zasadzie...

– Proszę się zastanowić. Jeśli pani będzie zainteresowana, wypiszę wniosek...

– Chyba jednak nie. Ale mam prośbę. Czy mogłaby wyjść ze szpitala jeszcze w tym roku? I czy możemy zachować w tajemnicy, że byłam tutaj i z panem rozmawiałam? O reszcie zresztą też prosiłabym nie mówić. Moja dla niej dobroć stworzy w niej zobowiązanie nie do zaakceptowania. No cóż, zostali mi tylko ci, którzy mną gardzą.

– To dobrze, że stara się pani być pragmatyczna, to wiele ułatwia...

Jak się spędza Nowy Rok, tak jest ponoć w całym nadchodzącym. Zastanawiałam się, czy starczy mi pieniędzy na opłacenie terapeutów, lekarzy i opiekunki.

Dzień po świętach.

Wracając ze szpitala, usiadłam na oblodzonym murku przy Kupcu Poznańskim. Siedziałam i wpatrywałam się w coś, czego nie widziałam. Kolejna „dziewiątka” ruszała z przystanku. Zmierzała tam, gdzie runął nasz dom.

Obok mnie przysiadł kloszard. W brzydkim świetle, tak niesprawiedliwie zdradzającym najlepszych, zostajemy my, sami brzydzy. Bo gdyby się przyjrzeć dokładnie, to tacy jesteśmy. Brzydzy. Mamy wystające brzuchy, obwisłe biusty, pomarszczoną skórę. Bywamy otyli i niepełnosprawni. Jesteśmy też ignorantami i bezmózgowcami. Hipokryci z nas i kłamcy. My, którzy żyjemy! Bo najlepsi z nas szybko odchodzą!

– Jeśli ktoś na tym murku przysiadł na dłużej niż minutę, to musi być w beznadziei – zamamrotał śmieć. Zapijaczoną gębę odwrócił w moją stronę. Ludzie opuszczeni i samotni mówią do nieznanym sobie. W tramwajach, w autobusach, na przystankach. Byłam bardzo samotna. Niebiosa właśnie pokazały mi środkowy palec.

– Zmarł mój Jurand. Mój Redford. Moja miłość. Jest tam, na górze. Jest wspomnieniem, ale przyjdzie do mnie, nieraz, zejdzie po jasnej drodze, niech tylko wystartują odrzutowce, one zrobią mu korytarze i on do mnie zejdzie. Na pewno zejdzie...

– A potem wszyscy po tej drodze wejdziemy... Ale ja do góry nie dam rady, słabe nogi mam... – śmieć zachrypiał zapijaczonym głosem.

– W Wigilię rano w szpitalu zmarł. Nie byłam przy nim. Jestem egoistką, bo tylko egoista pomyśli w takiej chwili o sobie. Powie: „Jak mogłeś mi to zrobić?!” Obarczy zmarłego winą i może spokojnie sobie dalej cierpieć. Koniec mojego Spychowa.

– Najlepiej na to wszystko się napić, na te tragedie, na niesprawiedliwość...

– A moją matkę też tam przywieźli, dwie sale dalej leży... Ale to on zmarł... nie ona.

– To jest uwikłanie w chwilową doktrynę...

– Co pan powiedział?

– Siedząc całe dni na tym murku, można się wiele nauczyć. Niechże pani posłucha, niech pani nie odchodzi. To kawałek o Jurandzie.

Pijus wstał i zaczął deklamować. On też dawno temu już powinien zdechnąć, kiedy Julian... To nie jest sprawiedliwe.

– „Olbrzymi mąż zmienił się w olbrzymiego kościeja. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mleczej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydawał się trupem”. To fragment z *Krzyżaków*, tę książkę czytałem kilkanaście razy. Ten fragment jest o mnie... Jestem trupem. Jestem kościejem. Ale nie zawsze tak było, kiedyś byłem kierownikiem dużych budów. Tak powiedziałem. Nie żebym się chwalił. Gdybym nic nie mówił, to tak, jakbym umarł... Dlatego rozmawiam sam ze sobą, ze mną nikt przecież nie chce... Jestem Kościejem – zawołał, aż odwrócili się ludzie czekający na tramwaj. – Mówią, że śmierdzą. A niech mówią... każdy z nas śmierdzi, tylko inaczej.

– Byłam ekstatycznie szczęśliwa. Dopiero teraz, pierwszy raz w życiu...

– Szczęście zaczyna się w głowie. Czym jest szczęście? Że ma twarz? Że się cieszymy? Czy że się boimy je stracić? Czym? Ja nie wiem. A może... wiem? Ma pani jakieś drobne?

Położyłam przed pijakiem sto złotych i wstałam. Na przystanek właśnie podjeżdżała kolejna „dziewiątka”.

– Pani ma miękkie serce, a ono może czynić z nas darczyńcę albo gnidę – wołał za mną śmieć. – Niech pani pamięta! Szczęście zaczyna się w głowie, w głowie!

„Jak chmura zwiewna życie jest człowieka! Płynie wzwyż, płynie w niż! Śmierć go czeka? Śmierć go czeka! To nic! To nic! To nic! Dopóki sił jednak iść! Przecież iść! Będę iść!”

W domu padłam na łóżko. Rozrzucone kawałki mojego serca nie dawały się złożyć. Ostatnie pół roku było więcej warte niż całe moje życie. Dręczyłam się. Byłam nie dość mu bliska, by powierzył mi swoją największą tajemnicę, że jest chory, że jest słaby. Że wymaga opieki i uwagi. Tymczasem właśnie to dał mi, obdarował mnie też najwspanialszą namiętnością, na przekór lekarskim diagnozom i zaleceniom. Im bardziej analizowałam nasze relacje, tym większe czułam oburzenie na siebie. Za to, że brałam, niewiele dając. I najważniejsze – za to, że nie kochałam miłością leczącą. Piotr przyleciał w drugi dzień świąt, uszanował moją prośbę i zatrzymał się w hotelu. Spotkaliśmy się na mieście. Przypominał Juliana fizycznie, ale także sposobem mówienia i charakterem.

Odbierałam telefony do domu Juliana, było ich mnóstwo. Kolejny raz odpowiadałam na pytania, jak doszło do śmierci, dlaczego zmarł i w jakich okolicznościach. Przyjmowałam nieważne dla mnie kondolencje od obcych ludzi. Piotr zadzwonił około południa i zdał mi relację, jak było u notariusza. Że rodzina miała do siebie wzajemne pretensje o zapis, chociaż każdy został przez ojca zaopatrzony, z wyjątkiem byłych żon. „Pani ma prawo do dwóch ostatnich książek taty”. Tak powiedział. Przypomniały mi się słowa Juliana: „Zobaczysz, Elżuniu, Islandia będzie modnym rejonem turystycznym”. Zmienił też uposażonego na polisie. Gdy się dowiedział, że żyje z bombą w głowie, znacznie podniósł jej wartość, pierwotnie była

wystawiona na wszystkie córki po równo, teraz opiewała na mnie. Szokujące informacje docierały do mnie jak zza zasłony prysznicowej podczas brania tuszu.

– Bałam się, że zostawi mnie dla młodej i przebojowej kobiety, a zdradził mnie z okrutną i wysuszoną staruchą.

Pogrzeb. Po nim na pewno nie było nas.

Malinowa Trufla pisze:

*Świat składa się ze zwyczajnych ludzi. Są sprzedawcami, księgowymi, logistykami czy informatykami. Tylko nielicznym udaje się przybrać intensywne kolory. Ja zawsze byłam szara, przyzwyczajona do złego i brudnego, więc na zło i brud jedynie potrafiłam się godzić. Za późno zetknęłam się ze światem jak z kolorowych gazet. Gdy wyobrażam sobie, że umieram, zaczynam czuć ulgę. Jak we śnie o spadaniu.*

## *Nagie myśli na sprzedaż*

Wyprowadzałam się, zbierałam swój dobytek, chodząc po mieszkaniu Juliana, bez ładu wrzucałam rzeczy do kartonu. Płakałam. W szafie wisiały jego garnitury, koszule. Pozostał zapach. Przytulałam twarz do batystowych koszul, jedwabnych krawatów. Ciemną gawroszkę zabrałam ze sobą. W laptopie coś brzdękało, sygnalizując przychodzące e-maile. Nigdy nie byłam tak samotna. Ze swoimi myślami, z żalnością okrutną, z wyrzutami sumienia, że mogłam inaczej. Że gdyby mi tylko powiedział, byłabym na pewno dla niego lepsza. Nie obwiniałabym o kobiety. Miał przeszłość, jak każdy. Gdyby mi tylko powiedział o swojej chorobie. On nie znosił współczucia. Nie chciał mnie martwić. To dlatego. Wreszcie myślał na pewno, że będzie żył. Powtarzam się, ale wtedy myśli te nieustająco do mnie wracały.

Malinowa Trufla pisze:

*Dlaczego kamienie nie żyją? Poznałam dwa różne światy, ale jak zapamiętać to miejsce w moim sercu, z którego udało mi się wyruszyć i znaleźć ten lepszy kawałek ziemi?*

Miałam wyrzuty sumienia, że tamtej nocy, kiedy się to wszystko zaczęło, nie zajęłam się Julianem, ale pisaniem durnych e-maili do zupełnie nieznanego faceta. Choć w jakiś sposób go rozumiałam i, wbrew rozsądkowi, jednak mu wierzyłam. Skrzynka mailowa była pełna. Zaczęłam czytać.

„Witaj, Elżbieto. Pewnie zauważyłaś, że coś nie pisałem. Trafne spostrzeżenie. Jakoś zeszło ze mnie powietrze i nie mając żadnych pomysłów na święta, wcześniej rano w Wigilię zapakowałem córki do samochodu i pognaliśmy do Zakopanego. Byliśmy tam kilka dni, aż do wczoraj wieczorem. A w Zakopanem pięknie jest. Trafiliśmy na cudowną pogodę, tak więc wyjazd zrekompensował mi przedświąteczne nerwy. Wyobraź sobie... Minus dwadzieścia stopni, skrzypiący śnieg pod nogami i słońce. Dużo słońca, tak dużo, że jestem nawet opalony. Dziewczynki też. Pojeźdzaliśmy sobie z Gąsienicowej, trochę też z Goryczkowej. Dziewczynki już nawet zjadą dobrze z Nosala, ale z Kasprowego jeszcze nie. Oczywiście zaliczyliśmy górę, żeby poczuć się wyżej niż normalnie. Piwo w dużym kuflu wypite w schronisku na Kasprowym to jest to. Wczoraj miałem trochę roboty zaległej, a dzisiaj za chwilę wyjeżdżam do sądu, bo święta świętami, a dochodzenie sprawiedliwości działać się musi. Nie gniewasz się? Pozdrawiam, Jerzy.”

„Elżbieto, piszę dzisiaj do Ciebie ponownie, bo myślę, że na pewno masz jakieś ważne sprawy. Elżbieto, proszę, po odetchnięciu od nich napisz mi dużo ładnie i osobiście – bo takie listy są najsympatyczniejsze. Chciałbym Ci powiedzieć, a raczej napisać, że jestem pewien na sto procent, że nadajemy na tych samych falach. Piszę krótko, po wygranej rozprawie, byś wiedziała, że myślę o Tobie, a w szczególności, by Ci powiedzieć, że pisanie listów stało się moim nawykiem, tak jak sprawdzanie poczty od Ciebie. Elu, może mogłabyś już napisać, że masz chwilkę czasu na spotkanie się ze mną? Mam w grafiku na początku stycznia rozprawę w Sądzie Rejonowym w Poznaniu. Co ty na to?”

„Elżbieto. Milczysz. Ale ja jestem pewien, że jest w nas niespotykana potęga tej

samej emocjonalności. Nie mamy wyboru, nasze drogi się krzyżują i nie możemy temu zapobiec. To jest jak prawomocny wyrok. Nie ma możliwości odwołania się od niego, możemy dostać tylko uzasadnienie. Pisząc ten e-mail, płaczę, chociaż nigdy wcześniej, przez całe moje czterdzieści trzy lata, mi się to nie przytrafiło. Nie wiem, jak ubrać w słowa to, co chcę napisać, ale tak, byś się nie przeraziła i nie uciekła. Nie potrafię. W Trzech Króli pod wieczór będę w Poznaniu, specjalnie przyjadę dzień przed rozprawą, by się z Tobą spotkać. Doceń to, proszę, i nie odmawiaj. Zanocuję w Trawińskim. Głupio mi to napisać, ale proszę, błagam, spotkajmy się w hotelu na kolacji”.

I kolejny, z 29 grudnia. Z dnia poprzedniego.

„Chyba to dziwnie zabrzmiało. Nie bój się, jestem naprawdę zwyczajnym facetem, który zgubił po drodze sens tego wszystkiego. Z powodu wypalenia, z przepracowania, także z tej przyczyny, że nie mam już o co się starać. Posiadłem wszystko, nawet wodospad w swoim biurze. Absolutnie wszystko, z wyjątkiem bliskości. I znając Ciebie, twoje nagie myśli, wiem, że brakuje Ci tego samego, wiem, czuję, że potrzebujesz się ze mną kochać. Będziemy najbliżej siebie, jak to możliwe. Pierwszy raz od dawna czuję harmonię. Przyjedziesz?”

Zaczęłam płakać, nie mogłam się uspokoić. A potem zdarzyło się to, czego moc odkryłam dopiero niedawno, i co musiałam ujarzmić, mocno przyciskając dłońmi podbrzusze.

Odpisałam bez skrępowania. Dlaczego? Nie wiem. Żeby choć chwilę побыć w oddaleniu od smutku, którym nasączona była każda moja komórka? By zawlec do hotelu osamotnienie, przekazać je... Czy znaleźć w ramionach tego obcego mężczyzny tak bardzo mi potrzebne życie? Doświadczyć bliskości i by się popłakać? Nareszcie wypłakać wszystko, do końca. Po wszystkim osuszyć twarz, a potem na nowo stawiać nieporadne kroki.

„Tak, będę około dwudziestej. Proszę Cię, kup butelkę czerwonego wina. Elżbieta”

*Wyzwanie, dla siebie warto, ponoć...*

Poznań, 30 grudnia 2009.

Malinowa Trufla pisze:

*Jestem zaledwie małym akapitem w opowieści o byle jakim życiu, właściwie nikim szczególnym. Jednak postawiłam przed sobą wyjątkowe zadanie – jadę odzyskać swój dom. Wracam, bo muszę w końcu wyjść poza granice świata opowiedzianego samej sobie, pełnego kłamstw, namiastek, ale też iluzji i ucieczek, wypełnionego miejscami, gdzie ukrywałam się przed wszystkim, co budziło mój strach. Przed samą sobą też. Czeka mnie bitwa o tożsamość, bo straciłam Juliana, bo nie mogę wiecznie uciekać. Bo... dla siebie warto podjąć wyzwanie.*

*W tym cholernym mieście nie pozostał mi już nikt bliski, tylko Oni.*

*Tych dwoje!*

*Czy coś osiągnę? Nie wiem, ale spróbuję, odwrócę kolejną kartkę. Już się tak bardzo nie boję.*

Kurier odebrał moje rzeczy z samego rana. Usiadłam na naszym łóżku i zaczęłam się żegnać. Ze straconą miłością. Z uwagi na uświadomienie sobie, jak kruche i mizerne jest nasze życie. Nie doceniałam niczego, co było mi dane. Pasowałam w kwestii rodzinnego domu. A życie przemijało. Najczęściej bez żadnych ozdobników.

Zamknęłam drzwi do mieszkania, w którym jeszcze niedawno byłam u siebie. Klucz wrzuciłam do skrzynki pocztowej. Wraz z zatrzaśnięciem drzwi do kamienicy skończyłam rozdział. Tragiczny. Muszę się pozbierać – myślałam, wsiadając na przystanku do tramwaju. Kilka minut później stary enerdowski klekot wypłuł mnie na placu Cyryła Ratajskiego.

Jestem małym akapitem w opowieści o byle jakim życiu. Właściwie nikim szczególnym. Jadę odzyskać swój dom...